

10,5A

Andre Norton

Gwiezdny krąg

*Autorka pragnie podziękować
Sandrze Helton, która udostępniła
wszystkie materiały astrologiczne
wykorzystane w tej książce.*

1

Zimny poranny wiatr gnał po łące suche liście. Jeden z nich zawirował wokół głowy Gwennan i przylgnął do jej wełnianej czapki. Wcisnęła głębiej brodę w fałdy grubego szala. Gotowa znieść znacznie więcej niż ten dojmujący chłód, stała wciśnięta pomiędzy dwa szorstkie kamienie i wpatrywała się w trzeci, najwyższy, ciemniejący na tle szarego nieba.

Czy te trzy skały były dziełem natury? Skrzywiła się lekko i po raz setny – po raz tysięczny – odpowiedziała sobie przecząco na to pytanie. Czy ujrzy dziś ponownie to, co zobaczyła trzy tygodnie temu? Wiedziała, że nie może na to liczyć.

Od tamtego dnia zaczęła się poważnie interesować tym tematem, przeczytała wiele książek i rozpraw autorstwa tych, którzy przez lata byli wyśmiewani, wyszydzani, a nawet prześladowani przez „autorytety” – naukowców trzymających się kurczowo ogólnie akceptowanych poglądów – tyle że te poglądy także opierały się wyłącznie na hipotezach i spekulacjach.

Na powierzchnię kamienia padły pierwsze promienie słońca.

Gwennan omal nie krzyknęła z radości. Teraz była już całkowicie pewna, że to nie wytwór jej wyobraźni. Na skalnej kolumnie widniały znaki zbyt regularne, by mogły być dziełem natury, zbyt dziwne, by mogły być... Można je było zobaczyć tylko o tej porze, tylko w bladym świetle poranka. Czy powinna podejść teraz do głazu, zdjęć rękawiczkę i dotknąć palcami jego powierzchni? Czy poczuje jakąś różnicę, czy znajdzie potwierdzenie tego, co widziały jej oczy?

Myśl jest załączkiem czynu. Odslonięta dłoń wzdragała się przed zimnem, Gwennan jednak nie zwracała na to uwagi. Dotknęła kamienia –

i cofnęła szybko rękę. Zrobiła to odruchowo, poczuwszy coś, co nie było skałą, ale nie było też powietrzem, nie było...

Jeszcze raz dotknęła kamienia. Dziwne doznanie osłabło, zniknęło niczym zmarszczki na powierzchni wody, do której ktoś wrzucił kamień. Próbowwała teraz odszukać tajemnicze linie, wyczuć je pod opuszkami palców. Pismo ogamiczne? Ten zapomniany język zapisany kreskami umiejscowionymi nad i pod linią? A może runy o ostrych, kanciastych kształtach? Czytała o tym w książkach. Nie, te znaki – które stawały się już wspomnieniem, znikwały w miarę, jak zmieniało się światło – nie należały do żadnego ze znanych jej języków.

Ale ona je widziała. Z całą pewnością tam były! Przyjdzie tu jeszcze nieraz... Spojrzała za skalny nawis, na las widoczny w dolinie. Spośród drzew prześwitywał pochyły dach, równie szary, ponury i stary, jak te trzy kamienne kolumny.

Gwennan próbowała ukryć rozczarowanie, że chwila olśnienia znów była tak krótka. Od trzystu lat, odkąd pojawili się tu osadnicy, ziemia ta pozostawała dla nich obcym terytorium, a zniszczony kamienny mur, ciągnący się wzdłuż alei, stanowił nieprzekraczalną granicę.

Jako rodowita mieszkanka miasteczka akceptowała obowiązujące w nim zasady, chociaż przez wiele lat nie zdawała sobie sprawy, jak dziwna jest historia tej doliny. Nie tylko ze względu na te kamienie, które zaintrygowały ją od pierwszej chwili, ale także z powodu domu Lyle'ów.

W 1730 roku, kiedy pierwsi osadnicy przybyli Białą Rzeką, by z dala od wybrzeża, jego niszczących sztormów i porywistych wiatrów szukać dogodniejszych terenów pod uprawę, dom Lyle'ów już tu stał. Kto go zbudował? Kiedy? Nowo przybyli szybko przestali się tym interesować.

Lyle'owie mieszkali tam wraz z grupką Indian i ciemnoskórych służących – milczących, trzymających się z dala od przybyszy. Ówczesny pan domu Lyle'ów nie przeszkadzał osadnikom. Od czasu do czasu pomagał nawet w budowie miasteczka, wspierał również co biedniejszych jego mieszkańców.

W szkole uczono Gwennan tradycyjnej historii, starego mitu o Kolumbie i jego odkryciu. Tyle że teraz historycy wiedzieli już znacznie więcej. Nim jeszcze Kolumb wyruszył w daleką podróż do Indii Zachodnich, brzegi tego kontynentu odwiedzali angielscy rybacy, którzy na miejscu suszyli i konserwowali swój połów, nie chcąc zdradzić konkurencji, gdzie znajdują się tak bogate łowiska. Pojawiali się tu także wikingowie. Odkąd znaleziono ślady ich wiosek, nikt już nie mógł

uważać tego za niepotwierdzoną hipotezę. Czy był tutaj ktoś jeszcze wcześniej?

A co z ruinami w New Hampshire? Skąd wzięły się te podziemne sale o ścianach wykładanych kamieniami i niezwykle wytrzymałej konstrukcji, które późniejsi osadnicy wykorzystywali jako zwykłe spiżarnie? Wszystkie tego rodzaju znaleziska przypisywano wtedy Indianom. Nikt nie próbował nawet wyjaśnić, dlaczego koczownicy budowali magazyny z kamienia, podczas gdy sami mieszkali w namiotach ze skóry.

Kim byli Lyle'owie i skąd się tutaj wzięli? Wśród mieszkańców miasteczka krążyły opowieści o piracie, który przetransportował w górę rzeki wielki skarb i wraz z pozostałymi członkami załogi założył tu własne małe królestwo. Bez względu jednak na to, jak rzeczywiście wyglądały początki rodu Lyle'ów, ludzie ci stanowili część tej ziemi, czego nie kwestionował otwarcie żaden z osadników. Prawdą było również, że podczas wojen z Indianami nikt nie najeżdżał miasteczka ani okolicznych farm, a Indianie szukali czasem schronienia w domu Lyle'ów. Wojna nigdy nie dotknęła tych terenów. Za pieniądze Lyle'ów wybudowano młyn oraz szkołę. Postawili oni jednak pewien warunek, dość dziwny jak na tamte czasy: wszystkie dziewczynki miały uczyć się na równych prawach z chłopcami. Poza tym rodzina Lyle'ów nigdy nie wywierała bezpośrednich nacisków na osadników, nigdy nie próbowała zmienić sposobu ich życia.

Podczas kolejnych wojen wielki dom Lyle'ów często stał pusty, pilnowała go tylko garść służących, którzy przekazywali swoje obowiązki z pokolenia na pokolenie. Bywało i tak, że aktualny właściciel domu nie wracał doń całymi latami. Czasami z zagranicy nadchodziły wieści o śmierci kogoś z Lyle'ów. Wcześniej czy później na jego miejsce przybywał jednak inny członek klanu, by przejąć obowiązki zmarłego krewnego, i życie toczyło się dalej ustalonym trybem. Obecnie w domu Lyle'ów rządziła kobieta, którą Gwennan widziała tylko raz.

Zachowując tradycję pochodzącą jeszcze z czasów pierwszych osadników, mieszkańcy miasteczka nazywali ją lady Lyle, choć taki tytuł w kraju uchodzącym za wzór demokracji mógł nieco dziwić. W domu Lyle'ów nigdy nie widziano dzieci, nowi właściciele przyjeżdżali zawsze z zagranicy. Wiadomo jednak było, że wszyscy członkowie są do siebie bardzo podobni, zarówno z wyglądu, jak i usposobienia.

Gwennan dopiero niedawno zaczęła zastanawiać się nad inną zagadką: jak ludzie zamieszkujący od stuleci ten sam teren zdołali zachować tak ogromny dystans w stosunku do innych jego mieszkańców?

Gwennan była też ogromnie zafascynowana postacią lady Lyle – ponieważ nigdy dotąd nie spotkała kobiety wyższej od siebie.

Gwennan była najwyższą dziewczyną w szkole i nienawidziła swego chudego, długiego ciała. Lady Lyle była jednak jeszcze wyższa, chodziła dumnie wyprostowana, jej głowę zdobił ciasno zwinięty gruby warkocz z blond włosów, tworzący wspaniałą koronę, którą okrywała czasem wełnianym szalem. Zapewne tak właśnie nosiły się królowe, kiedy jeszcze rodziny królewskie naprawdę rządziły, a nie tylko panowały.

Gwennan, siostrzenica Nessay Daggert, miała bardzo ograniczone kontakty towarzyskie. Panna Nessa prowadziła bibliotekę miejską, a całe jej życie koncentrowało się na związanych z tym obowiązkach. Po śmierci rodziców Gwennan wzięła ją na wychowanie, nie kryła jednak, że robi to bardzo niechętnie i tylko z wrodzonego poczucia obowiązku. Jak na małomiasteczkowe zwyczaje traktowała ją zresztą bardzo dobrze: karmiła do syta, ubierała w sposób niezbyt wyszukany, ale zgodny z tym, co uważała za stosowne – i starała się wpoić jej zasady moralne nieprzystające już do norm świata zewnętrznego.

Gwennan nie podjęła żadnych studiów. Nim skończyła szkołę średnią – nie uchodziła za szczególnie uzdolnioną, jako że uczyła się tylko tych przedmiotów, które naprawdę ją interesowały, pozostałe zaś traktowała jak zło konieczne – panna Nessa padła ofiarą wyniszczającej choroby, której nie chciała poddać się bez walki. Trzymała się kurczowo swego miejsca w świecie, a Gwennan stała się jej rękami i nogami, jej oczami i uszami.

Dziewczynka wcale nie zamierzała się buntować. Codzienne obowiązki pozwalały unikać kontaktów ze światem zewnętrznym, który budził w niej strach i niepewność. Zawsze była samotnikiem, trudno jej było dogadać się z ludźmi. Dlatego też zaczęła czytać książki.

Odkryła w sobie jakąś pasję, na razie jeszcze trudną do sprecyzowania. Czytała książki historyczne, raporty z wykopalisk archeologicznych, wszystko, co dotyczyło dziwnych odkryć i znalezisk, które nie pasowały do schematów przyjętych przez ekspertów. Gwennan nigdy nie miała ochoty zostać naukowcem. Być może dlatego, że kwestionowała zbyt wiele ogólnie uznanych teorii. Choć dla świata zewnętrznego pozostawała posłuszną i cichą siostrzenicą panny Nessay, potajemnie szukała, pytała, badała.

Kiedyś śniła o dziwnych rzeczach. Tego ranka, kiedy stała między kamieniami, wspomnienia tych snów powróciły. W dzieciństwie wierzyła, że wszyscy mają takie niezwykle sny jak ona. Dzieliła się więc z ludźmi swoimi przeżyciami, lecz ci ją wyśmiewali. Wkrótce zrozu-

miała, że jeśli nadal będzie tak szczerą, ludzie odsuną się od niej, uznają za dziwaczkę.

Sny przestały ją nawiedzać już przed kilku laty, co Gwennan przyjęła z ulgą. Zazwyczaj były to bowiem koszmary, które budziły w niej strach i o których starała się jak najszybciej zapomnieć.

Kiedy dwa lata temu panna Nessa umarła, zostawiła Gwennan swój dom, bardzo skromną sumę w banku – choroba pochłonęła większość pieniędzy, które zdołała zaoszczędzić, ograniczając do minimum własne potrzeby – i swoją posadę. Mieszkańcy miasteczka, którzy przyzwyczaili się już do tego, że Gwennan zastępowała pannę Nessę w bibliotece, przyjęli to jako rzecz oczywistą. Jediną odczuwalną zmianą, jaką przyniósł jej ten awans, była niewielka podwyżka wynagrodzenia, dzięki której mogła powiększyć swą prywatną bibliotekę.

Świt ustąpił już pełnemu blaskowi słońca, w którym znaki wyryte na kamieniu zniknęły bez śladu. Gwennan włożyła rękawiczkę, odwróciła się, by ruszyć w drogę powrotną – i zamarła. Nie była sama.

Mężczyzna, który zbliżył się do niej bezszelestnie, nie wszedł na szczyt wzgórza. Stał nieco niżej i patrzył na nią surowo. Był wysoki i miał rysy lady Lyle – ostrzejsze, twardsze, bardziej drapieżne, ale podobieństwo rodzinne było zbyt duże, by Gwennan mogła mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

Pomimo zimna nie nosił czapki. Trzymając głowę lekko odchyloną do tyłu, przyglądał jej się spod półprzymkniętych powiek. Jego gęste złote włosy, ostrzyżone krócej niż nakazywała aktualna moda, odcinały się wyraźnie od opalenizny, która była niespotykana, jak na tę porę roku.

Wpatrzona w nią oczy miały tę samą jasnoniebieską barwę co oczy lady Lyle. Zakłopotana Gwennan przestąpiła z nogi na nogę. Była intruzem na tej ziemi.

– Kim jesteś? – bez ogródek spytał Lyle.

Gwennan postanowiła nie poddawać się strachowi. Odsunęła się o krok od kamiennych iglic.

– Gwennan Daggert. – Jej nazwisko prawdopodobnie nic mu nie mówiło. Gwennan próbowała wymyślić naprędce jakąś wymówkę, która usprawiedliwiłaby to najście. Nie mogła przecież zdradzić swojego sekretu.

– Gwennan Daggert – powtórzył. – I cóż cię tu sprowadza? – Uniósł wreszcie powieki, obdarzając ją bezczelnym, wyzywającym spojrzeniem. Właściwie miał do tego prawo.

– Przypadek... – odparła, wciąż nie wiedząc, jak się z tego wytlumaczyć.

Roześmiał się.

– Przypadek? – Pokręcił powoli głową, odrzucając jej kłamstwo. Na jego twarzy zaszła jeszcze inna zmiana, jakby opuścił ją jakiś cień, pod którym kryło się prawdziwe oblicze młodzieńca. Gwennan wychyłała w nim pogardę: uważał ją za idiotkę, którą łatwo sprowokować do kolejnych kłamstw.

Gwennan była zaskoczona tym spostrzeżeniem. Ponieważ rzadko miała kontakt z młodymi mężczyznami, przypuszczała, że to brak obyczajów każe jej mylnie interpretować jego gesty i miny; uniesienie brwi, lekki ruch twardych, wąskich ust, układających się teraz w uśmiech, który wcale jej się nie podobał.

Właściwie cały ten człowiek budził w niej niepokój. Miała wrażenie, że rozmawia z kimś, kto... Gwennan nie mogła znaleźć właściwego określenia. Nie miała zresztą czasu ani ochoty doszukiwać się w jego zachowaniu jakichś ukrytych znaczeń i podtekstów. Chciała stąd jak najszybciej uciec, być sama, z dala od tego dziwnego Lyle'a.

Kiedy zeszła ze wzgórza, odkryła, że musi podnieść wzrok, by spojrzeć w jego oczy. Choć lady Lyle była naprawdę wysoka, ten człowiek znacznie ją przerastał. Po raz pierwszy w życiu Gwennan czuła się dziwnie mała, jakby przez moment była inną osobą. Sytuacja ta przypominała jej mgliście inne spotkanie z kimś, kto miał nad nią pełną władzę. Kiedy doń podchodziła, miała wrażenie, że zbliża się do czegoś równie tajemniczego i równie głęboko ukrytego, jak kamienie, które od dłuższego czasu budziły w niej ogromną ciekawość. Jednakże to był człowiek z krwi i kości, w dodatku bardzo pewny siebie.

– Gwennan Daggert – znów wypowiedział jej nazwisko, tym razem jakby w innym języku, dziwnie je akcentując. – A więc lubisz spacerować o świcie? – Nie próbował już nawet ukryć szyderczego uśmiechu. – Nawet w taką pogodę? Ach, wy ludzie ze Wschodu, twarde z was sztuki.

Gwennan odzyskała wreszcie panowanie nad sobą.

– Owszem, tacy już jesteśmy. – Miała nadzieję, że Lyle nie dostrzeże żadnych oznak strachu, który ją przedtem ogarnął. – Jeśli chcesz pospacerować, muszę to zrobić wcześniej rano. Potem pracuję. – Podniosła rękę i odsunęła mankiet rękawiczki, by spojrzeć na zegarek.

Jego brwi, nieco ciemniejsze od włosów, które w blasku wschodzącego słońca coraz bardziej przypominały barwą złoto, powędrowały lekko do góry.

– A jakąż to pracę zaczyna się o tej porze? Dopiero świta...

– Co oznacza, że powinnam już wracać – odparła krótko, ostro. Być może była zbyt nieuprzejma, ale nie mogła dłużej panować nad

niepokojem, którego nie rozumiała. Już sam fakt, że w domu przebywał drugi Lyle, nieznanym mieszkańcom miasteczka, był bardzo dziwny. Nigdy nie słyszała, by lady Lyle miała syna. Czy ten młody człowiek w ogóle mógłby być jej synem?

Mimo wszystko ten fakt nie powinien budzić w niej takiego uczucia strachu. Czego właściwie mogła się obawiać? Weszła na prywatny teren, to prawda. Lecz spacer po łące nie był żadnym przestępstwem. Niczego nie zniszczyła, nikomu nie przeszkadzała. Dlaczego więc czuła się winna, zagrożona – jakby ten człowiek miał jakieś ważne powody, by jej nie ufać?

– Dokąd chcesz wracać? – spytał Lyle, wciąż się uśmiechając.

Miała rację – w jego głosie pobrzmiwała nuta szyderstwa. Igrał z nią bezlitośnie. Gwennan zeszytniała. Tłący się w niej strach wybuchnął płomieniem gniewu. Zdecydowanie nie podobał jej się ten człowiek. Choć ogromnie podziwiała lady Lyle, nie mogła polubić jej krewnego – bez względu na to, kim był dla pani domu Lyle'ów.

– Do biblioteki. – Zdradziła mu już swoje nazwisko i nie było powodu ukrywać, kim jest w miasteczku. Zresztą wszyscy dobrze się tu znali.

– Do biblioteki?

Znów powtórzył jej słowa, co zaczęło ją irytować.

– Bibliotekę otwierają znacznie później, zdaje się, że dopiero w południe. Wiem, że moja ciotka zamierza się tam dzisiaj wybrać...

– Zawsze mamy mnóstwo pracy, nawet jeśli biblioteka nie jest jeszcze otwarta – odparła Gwennan sztywno.

Nie wiadomo, dlaczego miała ochotę udowodnić mu, jak zwyczajne i normalne jest jej życie, wymieniając wszystkie obowiązki, z którymi nie mogła się uporać bez względu na to, jak długo by pracowała. Była też głodna – kubek kawy, wypity w ciemnościach obok kuchennego pieca, to za mało jak na normalne śniadanie. Zamierzała wpaść po drodze do piekarni Mary Long i kupić kilka jagodzianek, by potem rozkoszować się nimi przy lekturze nieprzeczytanych jeszcze pism.

– Ach tak, trzeba dać zajęcie beczynnym rękom... choć w dzisiejszych czasach trudno takie znaleźć. Wygląda na to, że Whitebridge wciąż kieruje się starymi zasadami. – Złożył jej lekki ukłon, nie ruszając się jednak z miejsca. Jeśli Gwennan nie chciała zepchnąć go ze ścieżki, musiała zostać tam, gdzie była. Zastanawiała się właśnie, co uczynić, kiedy Lyle sięgnął raptownie do jej głowy.

Uchyliła się instynktownie, a potem zaczerwieńiła, ujrawszy liść, który wyjął z jej włosów. A on znów się roześmiał.

– Czego się boisz, Gwennan Daggert? – Zrobił krok w jej stronę. Gwennan cofnęła się pospiesznie, zaskoczona i zawstydzona swoim zachowaniem. Jego twarz nie wyrażała nic prócz dobrodusznego roz-bawienia, kiedy podniósł liść i obrócił go w palcach. – Zapewniam cię – kontynuował – że nie jadam małych dziewczynek, jeśli nawet wchodzą tam, gdzie ich nie proszono. Małych dziewczynek, które noszą liście na głowie, jakby były nimfami lub driadami...

Nie wiedziała, jak zareagować na tego rodzaju zaczepki. Co bu-dziło w niej taki niepokój, zakłopotanie? Być może szyderstwo, które wyczuwała w jego głosie. Znowu poczuła gniew.

– Jestem pewna, że pan tego nie robi – odparła lodowatym to-nem, naśladując pannę Nessę. – Zdaję sobie sprawę, że weszłam na pana teren. Bardzo przepraszam, panie Lyle. Zapewniam, że to się nie powtórzy.

Nie mogło się powtórzyć. Jak jednak ma zapomnieć o tym kamie-niu, o tej prowokującej zagadce? Miała ochotę spojrzeć przez ramię na najwyższy, środkowy głąz, czuła jednak, że w ten sposób zdradzi się przed nim, wyda coś, co było tylko i wyłącznie jej własnością.

Lyle wyrzucił liść. Znowu wyciągnął ku niej rękę, tym razem chwy-tając ją za nadgarstek, zamykając w uścisku, z którego nie byłaby w sta-nie wyrwać się, gdyby nawet próbowała z nim walczyć. Zresztą nie pozwalała jej na to duma. Lyle wciąż nie przestawał się uśmiechać, lecz w głębi jego oczu kryło się coś, co przeczyło temu uśmiechowi. Gwennan wołała nie wiedzieć, co to takiego.

Potem jego głos uległ zmianie. Stał się głębszy, ostrzejszy.

– Co tu robiłaś? Czego ona chce od ciebie? – W tych słowach znowu pojawił się cień pogardy. Pochylił się nad nią, stając się jeszcze większy i potężniejszy od człowieka, którego przed chwilą widziała.

– Nie mam pojęcia – Gwennan starała się zachować spokój – o czym pan mówi. Jeśli ta „ona”, to lady Lyle...

– Lady! – Jego twarz pociemniała, jakby nagle napłynęła do niej wzburzona krew. – Lady! – powtórzył, zamykając w tym słowie pro-test i obelgę jednocześnie.

– Pani Lyle – poprawiła się Gwennan. – W miasteczku używa się tytułu „lady”, co stanowi wyraz szacunku. Zawsze mówiono tu tak o członkach pańskiej rodziny. Tak czy inaczej, nie rozumiem pana. Prawie nie znam pani Lyle. Rozmawiałyśmy ze sobą tylko raz, i to bardzo krótko, o książkach. Pańska ciotka dopiero niedawno zaczęła przychodzić do biblioteki. Co się zaś tyczy mojej obecności w tym miejscu – Gwennan ośmieliła się w końcu wyrwać rękę z uścisku Ly-le’a i szybko cofnęła się o dwa kroki – nie ma to nic wspólnego z pań-

ską rodziną. Często chodzę na poranne spacer, zwłaszcza o tej porze roku. Lubię las...

Zwrócił oczy w stronę pagórka, jakby chciał w ten sposób powiedzieć, że nie znalazł jej w lesie, lecz w miejscu, które z jakiegoś powodu powinno zostać nietknięte. W tym momencie Gwennan wołałaby znieść wszelkie szyderstwa czy nawet gniew Lyle'a, niż przyznać się, co naprawdę ją tutaj sprowadziło. To była jej tajemnica – zagadka, która na zawsze pozostanie nierozwiązana, jeśli nie będzie mogła zbliżyć się więcej do tych kamieni.

– A teraz żegnaj pana, panie Lyle. – Odwróciła się na pięcie i ruszyła zdecydowanym krokiem, nie oglądając się za siebie. Zaraz wróci do miasteczka, którego ona i jej podobni nigdy nie powinni opuszczać.

– Poczekaj! – zawołał za nią Lyle. Gwennan zaczęła biec. Słyszała szelest trawy pod stopami i jakby echo jego kroków.

– Tor!

Tym razem nie był to jego głos, wołanie dochodziło gdzieś z dala.

Gwennan obejrzała się. Lyle rzeczywiście ruszył za nią, tak jak się tego obawiała. Okrzyk powstrzymał go jednak, kazał mu zwrócić się w stronę pagórka. Spomiędzy drzew okalających dom Lyle'ów wyłoniła się wysoka postać w płaszczu z kapturem. Gwennan nie miała wątpliwości, że to lady Lyle.

Spotkanie z młodszym Lyle'em było już wystarczająco upokarzające, ale obecność lady Lyle... Czuła się jak szpieg przyłapany na gorącym uczynku! Poderwała się do biegu, zwalniając tylko na moment, kiedy musiała przeskoczyć przez mur otaczający posiadłość Lyle'ów. Kiedy była już po drugiej stronie, zatrzymała się wreszcie, by uspokoić oddech i oszalałe serce. Zastanawiała się, dlaczego tak drży. Wydawało jej się, że to spotkanie miało jakieś głębsze znaczenie, którego nie pojmowała. Ruszyła szybkim krokiem, starając się myśleć o czekającej ją pracy.

Jednak choć przez cały ranek próbowała zająć się czymś innym, wciąż wracała myślami do tego, co przeżyła. Widziała już kiedyś te znaki! Ten fakt był ważniejszy od przykrego spotkania z panem Lyle'em. Czy ten człowiek zostanie w domu Lyle'ów? A jeśli tak, to czy będzie miała jeszcze okazję zbadać tajemniczy kamień? Ten nagły przeskok, od nadziei do rozczarowania, wprawił ją w stan, jakiego jeszcze nigdy nie doznała. Czuła się tak, jakby ktoś wyciągnął ją z małej, przytulnej skorupy, w której spędziła całe życie, w której czuła się miło i bezpiecznie. Teraz zmuszona została do konfrontacji z czymś dziwnym i nieznanym, z czymś, czego zawsze unikała – chyba że była to

książka, którą zawsze mogła odłożyć, gdy nie miała dłuższej ochoty na rozmyślanie i spekulacje.

Gwennan siedziała jeszcze chwilę przy biurku, rysując te dziwne, zakrzywione linie – czy zapamiętała je nieświadomie podczas porannej obserwacji, czy też był to tylko twór jej wyobraźni? Zmiała kartkę, wrzuciła ją do kosza i zajęła się przygotowywaniem książek zamówionych wcześniej przez nauczycielkę z miejscowej szkoły.

Wciąż jednak nie mogła pozbyć się wspomnień. Czują dziwne mrowienie na całym ciele, niepokój, jakby czekało ją jakieś trudne zadanie. Jednocześnie powtarzała sobie raz po raz, że to tylko głupie omamy, co wkrótce sama sobie udowodni.

2

Gwennan otworzyła drzwi biblioteki punktualnie o dwunastej trzydzieści, by wpuścić starego pana Stainesa, który postępując i powłócząc nogami, zajął swoje ulubione miejsce przy oknie. Wkrótce potem pojawiła się grupa dzieci wracających po przerwie do szkoły. Gwennan pochłonięta była całkowicie spełnianiem ich próśb i zamówień. Pół godziny później przyszła lady Lyle, otulona tym samym szarozielonym płaszczem, który miała na sobie rano. W pełnym świetle dnia Gwennan dostrzegła błądliwość jej twarzy i zapadnięte policzki, przez co jej kształtny nos wydawał się jeszcze ostrzejszy niż zwykle. Wyglądała znacznie gorzej niż przed tygodniem. Trzymała się jednak dumnie wyprostowana i zachowała dawną energię. Czy przyszła tutaj, by porozmawiać z Gwennan o jej postępkach?

W jej głosie kryła się jednak nieoczekiwana nuta ciepła.

– To dziwne uczucie, kiedy po tylu latach wchodzę tu i nie widzę panny Nesy – powiedziała niespodziewanie ciepłym głosem, jakby były przyjaciółkami i znały się od dawna.

Jej uśmiechnięte wargi były sinawe. Czyżby miała kłopoty z sercem? O Lyle'ach nikt nic nie wiedział.

Lady Lyle wyjęła z kieszeni jakąś listę i podała ją Gwennan.

– Obawiam się, że nie znajdę żadnej z tych książek na półkach, bo to wydawnictwa specjalistyczne. Panna Nesa powiedziała mi jednak kiedyś, że można zamawiać również książki z innych bibliotek...

Gwennan przyjrzała się uważnie ostrym, kreślonym pewną ręką literom. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że tworzą napisy w jakimś obcym języku, lecz po chwili udało jej się je odczytać. Gdy tego dokonała, poczuła jeszcze większy niepokój. Czy lady Lyle w zawo-

alowany sposób chciała ją poinformować, że nie tylko wie o jej najściu, ale zna także jego przyczyny? Gwennan podniosła pióro i postawiła znaczki przy czterech z sześciu pozycji wymienionych na kartce.

– Te książki już tutaj są. Zostały wypożyczone z innych bibliotek i można to jeszcze przedłużyć...

– Co za pomyślny zbieg okoliczności!

Czyżby lady Lyle kipta sobie z niej? Lepiej będzie, jeśli położy temu kres i od razu wyzna jej prawdę.

– To było moje osobiste zamówienie.

Ośmieliła się spojrzeć w twarz starszej damy. Nie ujrzała tam nawet śladu szyderstwa, które tak mocno dał jej odczuć młody Lyle. Zobaczyła natomiast w jej ciemnych, podkrążonych oczach jakby cień radości, podniecenia.

– Interesujesz się tym? Świetnie! Choć odwiedziłam wiele ciekawych i dziwnych zakątków świata, nie wiedziałam, że ostatnio dokonano aż tak wielu nowych odkryć. To mogłoby znaczyć... – zawahała się. Gwennan czuła, że domaga się od niej jakiegoś wyznania. – Co o tym sądzisz? – spytała nagle ostro, niczym nauczyciel chcący uzyskać odpowiedź od ucznia. Pochyliła się do przodu, roztaczając jakiś mocny, korzenny zapach, i wskazała palcem w rękawiczce na trzecią pozycję.

– O strefach geomantycznych i hipotezie, że mogą być z nimi związane potwory w rodzaju Nessie czy nawet doniesienia o UFO? – Gwennan unikała bezpośredniej odpowiedzi, próbując pozbierać myśli. Nigdy jeszcze nie rozmawiała z nikim o swoich zainteresowaniach. Lyle'owie byli znanymi podróżnikami, obywatelami świata. Posiadali wiedzę znacznie większą niż ktokolwiek ze znanych Gwennan ludzi. – Autorzy – dodała po chwili – skłonni są chyba w to uwierzyć, choć nie opowiadają się wyraźnie po stronie żadnego z rozwiązań prezentowanych na końcu książki. Zostawiają wybór czytelnikowi.

– Przytoczywszy uprzednio znane wszystkim fakty. – Lady Lyle skinęła głową. – Bardzo chętnie porozmawiałabym z tymi młodymi ludźmi. Ale co ty o tym myślisz? Która konkluzja wydaje ci się najbardziej prawdopodobna? Z pewnością zastanawiałaś się nad tym.

Gwennan przygryzła wargę. Zaczyna się. Zaraz usłyszy pytania o jej poranną wizytę. Jednak jakby wcale nie interesowało to lady Lyle.

– Zwróciłaś uwagę na stojące kamienie. Rozmawiałaś o tym z córką pana Stevensa, wspominał mi o tym...

Gwennan poczerwieniała. Poprzedniego lata, kiedy tak bardzo chciała z kimś porozmawiać, zapomniała o tym, że świat nie cierpi odmienności. Pewnego dnia odpowiedziała Nancy szczerze na kilka

pytań. I dostała nauczkę, kiedy zaczęto się z niej wyśmiewać, że „poluje na kamienie”. Jeszcze raz przekonała się, jak wiele dzieli ją od innych mieszkańców miasteczka.

– Tak – odparła Gwennan krótko, przechodząc do kontrataku. – Weszłam także na pani teren. Chciałam obejrzeć te kamienie.

– I co o nich myślisz? Czy to tylko głazy pozostawione przez lodowiec, jak zapewniają nas miejscowe władze?

Tak, jak gniew dał jej siłę, by stawić czoło młodemu Lyle’owi, tak determinacja dała jej odwagę, by nie ulec tej kobiecie, nie zaprzeczyć się tego, w co wierzyła. Niech oboje się z niej śmieją, jeśli mają na to ochotę.

– Nie, myślę, że zostały tam postawione celowo.

– I ja jestem tego pewna. – Lady Lyle zniżyła głos, wypowiadając te słowa niemal szeptem. – Takie rzeczy fascynują mnie od wielu lat. Może miałabyś ochotę podyskutować o tym w bardziej sprzyjających okolicznościach? Wiem, że to zaskakująca propozycja, ale czy nie zechciałabyś odwiedzić mnie dziś wieczorem i zjeść ze mną kolacji?

Zaskoczona Gwennan osłupiała. Wiedziała, że dotąd tylko dwóch mieszkańców miasteczka miało okazję odwiedzić dom Lyle’ów: pan Stevens, prawnik, który bywał u Lyle’ów z racji swego zawodu, oraz pisarz i bibliofil, pan Warren, przybywający do miasta tylko na lato, taki sam samotnik jak Lyle’owie.

Przełknęła ślinę i starając się zachować kamienną twarz, odparła:

– Bardzo chętnie. Te książki... – odwróciła się i zdjęła je z półki za biurkiem – miałam zwrócić w piątek. Zadzwoń dziś wieczorem i spytam, czy mogę zatrzymać je jeszcze przez dwa tygodnie, a przy okazji zamówię pozostałe...

– Dziękuję. – Lady Lyle skinęła głową, jakby nie wydarzyło się nic ważnego, jakby normalną rzeczą był fakt, że miejscowa bibliotekarka została zaproszona do domu, który od wieków dla mieszkańców miasteczka pozostawał niedostępną tajemnicą. – Kolację jemy o siódmej. Mój... mój młody krewny przyjdzie po ciebie.

– Och, nie! – Gwennan straciła pewność siebie. – To znaczy... Nie ma potrzeby. Lubię spacerować, a to przecież niedaleko.

Lady Lyle już się nie uśmiechała. Przyglądała się jej badawczo spod kaptura, którym ponownie okryła głowę.

– Nie boisz się chodzić tamtędy po zmroku?

Gwennan roześmiała się.

– Oczywiście, że nie! Wszyscy chodzą tamtędy pieszo, szczególnie przy dzisiejszych cenach benzyny. Poza tym i tak nie mam samochodu...

Lady Lyle znów się uśmiechnęła.

– No tak, oczywiście. Prowadzisz oszczędne życie. Bez zbędnych zachcianek i marnotrawstwa. We współczesnym świecie to naprawdę rzadkie zjawisko. Cóż, skoro tego właśnie chcesz... Radziłabym jednak, żebyś nie schodziła ze ścieżek. Chodzić po polu w ciemnościach...

Gwennan zacisnęła dłonie na krawędzi biurka. Delikatna aluzja do jej porannej wizyty? A więc postanowione: żadnych wycieczek do kamieni, choćby kusily ją mocniej niż kiedykolwiek. Lyle'owie już nigdy nie będą musieli się obawiać, że wkroczy na ich teren.

– Bylebym nie schodziła ze ścieżek?

– Tak będzie bezpieczniej.

Lady Lyle nie powiedziała nic więcej. Zabrała książki i ruszyła do wyjścia.

W miarę upływu czasu zdumienie, z jakim Gwennan przyjęła to niespodziewane zaproszenie, zamieniało się w radość. Podobno dom Lyle'ów pełen był skarbów i pamiątek przywiezionych przez rodzinę z niezliczonych podróży. Stevens nieraz mówił, że przypomina prawdziwe muzeum. Gwennan bardzo chciała zobaczyć to na własne oczy. Przejrzawszy jednak zawartość swojej szafy, pokręciła głową ze smutkiem.

Prawdopodobnie Lyle'owie przestrzegają sztywnych reguł i ubierają się jak ci ludzie, których widziała czasem w ilustrowanych piśmiach. A ona nie miała żadnej sukienki, która nadawałaby się na taką okazję.

W końcu włożyła kraciatą spódnicę, bluzkę i aksamitny żakiet, jedyne porządne ubranie, które posiadała i które miało jej służyć jeszcze przez wiele lat. Wygładziła rękawy, a potem założyła naszyjnik z kameą, który zostawiła jej panna Nessa.

Ciemno robiło się już o szóstej. Kiedy pół godziny później Gwennan wyszła z domu, zabrała ze sobą latarkę, którą schowała do głębokiej kieszeni płaszcza. Była zadowolona ze swoich ciepłych butów, lecz kiedy wiatr podniósł skraj jej sukienki, pożałowała, że nie ma długiego do kostek płaszcza, jak lady Lyle.

Dom panny Nessy stał na skraju rozrastającego się miasteczka. Kiedyś był częścią farmy. Ta dzielnica miasta nie miała oświetlenia, ale oczy Gwennan szybko przywykły do ciemności. Na razie nie wyjmowała latarki. O tej porze mało kto jeździł tą drogą, a w wieczornej ciszy już z daleka usłyszałaby zbliżający się samochód.

Po chwili brukowana ulica zamieniła się w wąską polną drogę, wytyczoną wówczas, gdy Lyle'owie sprowadzili do Whitebridge

pierwszy samochód, gdy babcia Gwennan była jeszcze młodą dziewczyną. Niebo pokrywała warstwa chmur wystarczająco gruba, by zasłonić wschodzący księżyc. Przedzierając się przez sterty suchych liści, Gwennan pomyślała przelotnie, że warto byłoby obejrzeć tajemnicze kamienie w blasku księżyca. Szkoda, że nie uczyniła tego, kiedy nie było jeszcze za późno na taką wyprawę.

Dotarła już niemal do dwóch wysokich słupów, znaczących miejsce, w którym od głównej drogi odchodziła aleja prowadząca do domu Lyle'ów, gdy zauważyła dziwną zmianę w mrocznym krajobrazie. Zapadła niezwykła cisza. Nawet najmniejszy powiew wiatru nie poruszał źdźbłami traw, nie podnosił suchych liści. Umilkły nocne ptaki. Cisza stawała się przytłaczająca, niemal groźna. Gwennan zacisnęła dłoń na latarce.

Po chwili jednak odsunęła od siebie ten dziwny niepokój. Z pewnością nie miała się czego obawiać. Chodziła tą drogą wiele razy, zarówno w nocy, jak i w dzień. Jeszcze kilka kroków i zobaczy dom Lyle'ów zasłonięty teraz przez krzewy – jeszcze tylko kilka kroków.

Poczuła nagle straszliwy smród, który uderzył ją niczym pięścią. Nie był to skunks. Było to coś mocniejszego, wstrętniejszego od wszystkiego, z czym dotąd się spotkała. Smród skupiony na niewielkiej przestrzeni, wymierzony prosto w nią. Zachłysnęła się, przez moment myślała, że zwiomiotuje.

Jakaś padlina?

Gwennan wyjęła latarkę, nacisnęła przełącznik i skierowała na drogę promień światła. Starając się nie oddychać zbyt głęboko, by nie wciągać w nozdrza tego paskudnego odoru, przyspieszyła kroku. Ze strachu nie rozglądała się na boki.

Smród zaczął wreszcie tracić na sile. Musiała już minąć jego źródło. Był właśnie sezon polowań i zawsze trafiali się jacyś bezmyślni myśliwi, którzy zostawiali ranione zwierzę własnemu losowi, pozwalając mu umierać powoli, w męczarniach.

Z pewnością jednak ktoś z mieszkańców domu odnalazłby padłe zwierzę, nim osiągnęłoby taki stopień rozkładu. Gwennan podświadomie wciąż czegoś nasłuchiwała, ale jedynym dźwiękiem zakłócającym nocną ciszę był chrzęst jej butów na żwirowej drodze. Ten dźwięk wydawał jej się bardzo głośny... za głośny... Dlaczego? Gwennan przyspieszyła jeszcze kroku.

Wyszła wreszcie zza pozbawionego liści żywopłotu i ujrzała wypełnione światłem okna domu. Mimo to nie wyłączyła latarcki aż do chwili, gdy stanęła przed frontowymi drzwiami. Były ciężkie, wykonane z grubych, poczerniałych ze starości desek, zawieszane na ma-

sywnych, ręcznie kutych zawiasach. Pośrodku znajdowała się kołatka o niezwykłym, wyszukanym kształcie. Gwennan podniosła ją i niechęcący, ku własnemu zakłopotaniu, narobiła ogromnego hałasu.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, rzucając na nią strumień jasnego światła. Gwennan weszła do ogromnego holu, jakże innego od wszystkich pomieszczeń, jakie widziała do tej pory. Tak wiele rzeczy przyciągnęło od razu jej wzrok, że nie wiedziała nawet, kto jej otworzył, dopóki nie usłyszała głosu:

– Panna Daggert... Więc to pani jest tym nieustraszonym wędrowcem, którego nie przeraża nawet najciemniejsza noc.

Oczywiście, był to Tor Lyle we własnej osobie. Nawet tutaj jego złota głowa wciąż przyciągała światło, błyszczła. Trudno uwierzyć, że włosy mogą mieć tak metaliczny połysk. Być może wydawały się tak jasne poprzez kontrast, Tor ubrany był bowiem w czarną koszulę ze stójką i marynarkę z ciemnego aksamitu. Na szyi nosił złoty łańcuch, przyćmiony nieco blaskiem jego zdumiewających włosów. Wisior na łańcuchu pokryty był tak gęstą siecią linii, że bez bliższych oględzin nie dało się określić, jaki właściwie tworzą wzór.

Wzdłuż ścian holu znajdowały się w równych odstępach nisze z lampkami oświetlającymi wystawione w nich przedmioty. Gwennan dojrzała jakieś małe posągi, płytki, pas przedziwne plecionej lub wyszywanej tkaniny. Rzeczywiście było to muzeum!

Gospodarz, jakby czytając w jej myślach, wyciągnął rękę w teatralnym geście, zapraszając ją ku najbliższej niszy. Znajdował się w niej posązek przedstawiający kobietę, której nogi zamieniały się w pień drzewa, okryty grubą, szorstką korą. Wyciągnięte w górę ramiona tworzyły gałęzie, z czubków palców wyrastały liście, zaś długie włosy przekształcały się w cieńsze gałązki, także porośnięte liśćmi.

Całość utrzymana była w pastelowych barwach, liście lśniły zielenią, choć na ich krawędziach pobłyskiwało także złoto, zaś ciało kobiety, w jego najbardziej człowieczej części, wykonane było w całości z tego cennego kruszcu. Małeńkie oczy w owalnej twarzy kobiety były otwarte, a odpowiednio ustawione światło odbijało się w nich żywym blaskiem, podczas gdy jej twarz wyrażała dziką ekstazę pomieszaną z bezbrzeżnym smutkiem.

Gwennan wpatrywała się w posązek jak urzeczona, ogarnięta siłą wyobraźni, którą tłumiała w sobie przez tak wiele lat. Wydawało jej się – choć bez wątplenia był to tylko efekt wywołany starannym ustawieniem lampki – że liście drżą, że włosy kobiety lekko falują. Czuła się tak, jakby zaglądała przez okno do innego świata, zamieszkanego przez nieznaną jej istotę.

– Podoba ci się Myrrah? – Pryśł czar zaklęcia, które rzucił na nią posążek. Gwennan zamruwała gwałtownie, zaczerwieniła się. Nie lubiła tego człowieka, bo tak łatwo ją przejrzał, irytowało ją, że z taką pogardą traktował jej dziecięcy zachwyty. Wyczuwała w nim coś złego, co zagrażało jej w sposób, którego jeszcze nie rozumiała. Nie była w stanie określić tego, co czuła.

– Myrrah?

– Piękna córka drzew. Ludzie nazywali kiedyś takie istoty nimfami. – Tor Lyle spojrzął na posążek. – Piękna rzecz, prawda? Nie znamy nawet nazwiska twórcy. Jednak patrząc na to, człowiek gotów jest uwierzyć w te stare legendy, że kiedyś nawet drzewa miały dusze. Widziałas już Myrrah, obejrzymy teraz Nikon. Ciekaw jestem twojego zdania. Znajduję w tych dziełach pewne podobieństwo.

Podeszli do następnej niszy. Krył się w niej inny posążek, przedstawiający istotę stojącą na szeroko rozstawionych nogach, całkiem podobnych do ludzkich, tyle że w miejscu stóp znajdowały się obłe, bezpalce zakończenia przypominające szerokie płetwy. Skóra miała srebrny połysk, a blask ukrytej lampki podkreślał okrywające ją misternie rzeźbione, maleńkie łuski. Postać pochylała się lekko do przodu, wyciągając przed siebie zakrzywione ramiona, jakby chciała coś objąć. Te szczupłe ręce zakończone były zwierzęcymi łapami, z których wyrastały ogromne szpony, rozstawione szeroko, jakby za chwilę miały coś rozszarpać. Wrażenie to pogłębiała jeszcze wciśnięta w ramiona głowa, wyraźnie przygotowana do ataku. Głowa ta była karykaturalnym połączeniem ludzkiej i małpiej fizjonomii. Nie okrywały jej włosy, za to od środka niskiego czoła aż do karku biegł poszarpany grzebień. Pomiędzy wyłupiastymi oczami znajdował się płaski nos, oznaczony jedynie przez niewielką dziurkę. W lekko rozchylonych ustach, znajdujących się tuż nad krawędzią pozbawionej brody żuchwy, połyskiwały ostre zęby, zadziwiająco białe i lśniące. Było to potworne, koszmarnie stworzenie, równie obce, jak nimfa, ale całkowicie przesiąknięte złem.

– Nikon. – Gwennan znów powtórzyła imię. Zmarszczyła brwi, starając się nie przyglądać posążkowi ze zbyt wielkim zainteresowaniem, choć bardzo ją to kusilo. Te dziwne stworzenia pochodziły z zupełnie nieznanej jej mitologii. Imiona podane przez Tora nie budziły u niej żadnych skojarzeń.

– Tak. – Znów usłyszała szyderstwo w jego głosie. Przez moment spodziewała się niemal, że wyśmieje głośno jej ignorancję. – Tutaj, z kolei...

– Panno Daggert... – Ten przyjazny głos był niczym orzeźwiająca bryza. Usunął przykrą atmosferę, jaką usiłował stworzyć Tor Lyle. Gwennan odwróciła się, by powitać gospodynię.

Pani domu miała na sobie aksamitną długą suknię o prostym kroju. Strój ten dodawał jej powagi – przypominała kapłankę z innego świata, jakże odmiennego od tego, w którym żyła Gwennan.

Szara suknia przewiązana była w pasie ozdobnym sznurem. Na szyi lady Lyle miała srebrny łańcuch, na którym wisiał okrągły dysk z odwróconym rogami do góry sierpem księżycy.

– Tak... – Lady Lyle zerknęła na Tora. Gwennan, która nigdy nie uważała się za szczególnie spostrzegawczą, wyczuła teraz wyraźnie jakieś napięcie; jakby między tym dwojgiem toczył się jakiś spór, niezrozumiały dla zwykłych ludzi.

Tor ustąpił bez słowa protestu, choć na jego twarzy widać było wyraz szyderstwa. Gwennan cofnęła się, pozwalając, by lady Lyle zaprowadziła ją do sąsiedniego pokoju.

Była oczarowana, oszołomiona, zachwycona jak nigdy dotąd. Lady Lyle usiadła u szczytu ciemnego starego stołu, na krześle z wysokim, wygiętym w łuk oparciem. Swą postawą i zachowaniem przypominała królową na tronie. Gwennan czuła się zagubiona, siedząc na podobnym krześle. Od czasu do czasu przesuwała palcami po misternie rzeźbionych poręczach, nie mogąc im się dobrze przyjrzeć.

Tor Lyle zajął miejsce naprzeciwko Gwennan, po drugiej stronie tego wielkiego stołu, na którym kryształ, porcelana, obrus i serwetki tworzyły nieco jaśniejsze wysepki. Ani razu nie włączył się do rozmowy prowadzonej przez lady Lyle. Co jakiś czas sięgał do pucharu na wysokiej nóżce i popijał małymi łydkami bursztynowe wino. Gwennan na wszelki wypadek wołała nie pić żadnych trunków. W gospodarstwie panny Nessy nie było miejsca na takie zbytki i nie wiedziała, jak zareaguje na alkohol.

Lady Lyle przyjęła jej odmowę skinieniem głowy, jakby pochwałała tę decyzję. Gwennan zauważyła z ulgą, że i ona nie pozwoliła napełnić swego kielicha.

Tor Lyle nie odzywał się ani słowem. Jego oczy, lekko przymrużone, jak podczas ich pierwszego spotkania przy kamieniach, zwracały się raz ku Gwennan, to znów ku lady Lyle. Wyglądał jak człowiek, który musi koniecznie rozwiązać jakąś zagadkę.

Kiedy skończyli już jeść, pani domu zaprowadziła ich do innego pokoju, którego ściany wyłożone były deskami pokrytymi licznymi rysunkami o barwach tak świeżych, jakby nie imał się ich czas. Można było odnieść wrażenie, że artysta dopiero przed chwilą oderwał wilgotny

pędzel od powierzchni malowidła. Obrazy przedstawiały ludzkie postaci, za którymi wznosiły się mury miast – niektóre z nich narysowane zostały bez zachowania perspektywy, tak, jak malowano w przeszłości. Poszczególne obrazy jakby łączyły się ze sobą. Gwennan zrozumiała, że przedstawiały jakąś jedną historię, bowiem występowały na nich te same postaci.

Nie miała jednak czasu przyjrzeć im się dokładniej, gdyż lady Lyle położyła na stole całkiem współczesne fotografie. W porównaniu ze ściennymi malowidłami wyglądały szaro i ubogo. Gwennan od razu rozpoznała sfotografowane miejsca. Zdjęcia przedstawiały kamienie, które oglądała minionego ranka.

Lady Lyle skinęła głową, przyglądając się uważnie twarzy dziewczyny.

– Tak – powiedziała z ożywieniem. – Tego właśnie powinniśmy szukać. Te kamienie znajdują się na ścieżce, która... – Gwałtownym ruchem dłoni odsunęła fotografię na bok, odsłaniając mapę, na której wyrysowano szkarłatną linię, tak intensywnie czerwoną, że zdawała się pulsować własnym życiem. Poza tym mapa była pociemniała ze starości, a pozostałe linie mocno wyblakłe. Gwennan musiała przyjrzeć się jej bardzo uważnie, by rozpoznać znane sobie punkty orientacyjne. Z pewnością była to mapa doliny, choć nie zaznaczono na niej żadnych budynków ani farm. – ...krzyżuje się z inną ścieżką, biegnącą z północy.

Rzeczywiście, na mapie była druga kreska, niegdyś zapewne również czerwona, teraz ledwie różowawa.

– Widzisz, skrzyżowanie jest dokładnie przy kamieniach na wzgórzu!

– Nigdy nie patrzyłam stamtąd na północ. – Gwennan ośmieliła się przesunąć palcem po tej starszej, wyblakłej linii. – Te znaki... – z pewnością nie były to jakieś przypadkowe plamki, lecz celowo naniesione oznaczenia – to także kamienie?

– Na tym pagórku znajduje się trójkątna skała ustawiona tak, by wskazywała w tę stronę. – Lady Lyle dotknęła palcem mapy. – Leży na mniejszych kamieniach, podparta w trzech punktach. Ciekawe, co powiedzieliby o tym eksperci od gładów polodowcowych!

– Strefy geomantyczne... A punkty przecięcia, to...

– Miejsca Mocy! Tak jest. Niektóre znacznie większe od tego. Stonehenge czy Canterbury, od wieków uznawane za miejsca święte, Glastonbury... Wszędzie tam znajdują się strefy geomantyczne. Strefy te, jak wiesz, to linie siły magnetycznej, co po części zostało już dowiedzione czy też odkryte na nowo. Wcześniej czy później ludzie,

którzy mówią o tym od lat, zostaną przywróceny do łask. Kiedyś wiedziano, jak korzystać z tych sił, jak nad nimi panować. Ludzie dysponowali Mocą, jakiej współcześnie nie mogą sobie nawet wyobrazić. – Mówiła coraz szybciej i szybciej, na jej twarzy ukazał się rumieniec. Widać było, że naprawdę pasjonuje ją ten temat. – Zapomniana... – Lady Lyle zamknęła oczy. Oddychała szybko, płytko, jej ręka osunęła się bezwładnie na skraj stołu.

Gwennan zerwała się na równe nogi. Zaniepokojona dotknęła jej bezwładnych, zimnych dłoni. Lady Lyle bez wątpienia była chora. Gwennan spojrzała na Tora Lyle'a, który cały czas siedział spokojnie na swoim miejscu, nie biorąc udziału w rozmowie. Teraz także się nie poruszył, choć widział z pewnością, że lady Lyle potrzebuje pomocy.

– Ona jest chora! Powinniśmy wezwać doktora Hughesa!

Tor przecząco pokręcił tylko głową. Na jego usta znów powrócił drwiący uśmiech.

Potem wstał, by pociągnąć za sznur wiszący obok wielkiego kominka. Lady Lyle poruszyła się lekko, uniosła powieki i spojrzała prosto w oczy Gwennan. Jej twarz była śmiertelnie blada, a dłonie, zamknięte w uścisku dziewczyny zimne, bezwładne. Odetchnęła głęboko kilka razy, potem uśmiechnęła się, choć był to ledwie cień uśmiechu, którym przywitała Gwennan.

– Przestraszyłam cię, moje dziecko? To nic takiego. Gdy ktoś żyje tak długo jak ja, czasami nawet odrobina emocji może mu zaszkodzić. Nie martw się, zaraz wrócę do siebie...

Gwennan wypuściła jej dłonie, kiedy do pokoju weszła śniada służąca. Postawiła na stole przed lady Lyle tacę z pucharem wykonanym z zakrzywionego rogu, tak małym, że stworzenie noszące owe rogi nie mogło być większe od kota. Lady Lyle wyciągnęła powoli rękę, podniosła niezwykle puchar i wypila jego zawartość. Kiedy go odstawiła, usiadła prosto, natychmiast odzyskując dawny wygląd i energię.

3

Gwennan schowała się głębiej pod kołdrę, gdy domem zatrzęsł potężny grzmot. Sekundę później noc rozjaśniła kolejna błyskawica, której towarzyszył huk podobny do wystrzału armatniego. Piorun musiał uderzyć w jedno z pobliskich drzew.

Jednak to nie grzmoty wyrwały Gwennan ze snu. Obudziła się w jednej sekundzie, jakby na czyjeś wezwanie, potężniejsze od błyskawic i burzy szalejącej za oknem.

Z trudem przełknęła ślinę. Leżała przejęta strachem, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zaznała. Zmagając się z obezwładniającym przeżeniem, zdołała w końcu wysunąć rękę spod kołdry i włączyć lampkę na nocnym stoliku. Odetchnęła z ulgą, gdy pokój wypełnił złoty blask żarówki – bała się, że burza może skazać ją na całkowite ciemności.

Deszcz siekł o szyby. Gwennan usiadła na łóżku, podciągnęła kołana pod brodę i okryła się kołdrą niczym szalem, wciąż nasłuchując. Było bardzo zimno. Jesienią zawsze zamykała pokoje na piętrze i przenosiła się do małej sypialni na parterze, tuż obok kuchni.

Błyskawica – i kolejny ogłuszający grzmot. W ciemnościach kryło się jednak coś jeszcze, coś, czego nie potrafiła nazwać. Gwennan zsunęła się z łóżka i nie wkładając nawet kapci, przeszła na palcach przez pokój. Kiedy zapaliła drugą lampę, za oknami przetoczył się kolejny grzmot.

Napełniając wodą szklanekę, spojrzała w lustro zawieszone nad umywalką. Włosy miała w grubych, wilgotnych od potu strąkach, a twarz dziwnie nabrzmiała i bladą. Wypiła wodę, zastanawiając się, czy, skoro i tak już nie śpi, nie powinna zagrzać sobie mleka.

Miała złe sny, które zapewne spowodowała nadciągająca burza. Teraz nie pamiętała już żadnych szczegółów, ale obudziła się zdyszana, spocona, obolała. Serce wciąż biło jej szybko i choć tłumaczyła sobie, że nie ma się czego bać, nie mogła się uspokoić.

Czego się bała? Przeżyła już setki takich burz, choć o tej porze roku pojawiały się bardzo rzadko. Nagle uchwyciła się krawędzi umywalki, ponieważ zakreśliło jej się w głowie. Już po chwili odzyskała równowagę, lecz ten dziwny atak osłabił ją i jeszcze bardziej przestraszył.

– Nic się nie dzieje – powiedziała do siebie spokojnym tonem – to tylko burza. Nic się nie dzieje!

Opierając się jedną ręką o ścianę, w obawie przed nawrotem dziwnej słabości, wróciła do sypialni, lecz nie położyła się do łóżka. Stała w kręgu światła rzucanego przez lampkę i rozglądając się dookoła, patrzyła na tak dobrze jej znane przedmioty, mającące w półmroku. Na krześle leżało jej ubranie przygotowane na rano, czytana przed snem książka, zegarek, którego wskazówki wskazywały trzecią w nocy.

Wszystko było na swoim miejscu, jak każdej zimowej nocy, którą spędzała w tym pokoju. Dlaczego miałyby być inaczej? Przysiadła na skraju łóżka, okryła się kołdrą.

Nie powinna tak łatwo poddawać się nastrojom. Wydarzenia ostatnich dni zbyt mocno rozbudziły jej wyobraźnię. Gwennan podłożyła

sobie poduszkę pod plecy – nie chciała jeszcze się kłaść ani wyłączać lampki. Może poczyta przez chwilę...

Pomyślała o znajomości, która zaczęła się tak nagle i w pewnym sensie zmieniła jej życie. Każda kolejna wizyta w domu Lyle'ów jakby wciągała ją w głębiej w zaczarowany świat.

Lady Lyle najbardziej zależało na podtrzymywaniu tej znajomości, co wciąż zdumiewało Gwennan. Co mogła ofiarować w zamian tej kobiecie, której świat był tak odmienny od wszystkiego, co Gwennan знаła do tej pory?

Wydawałoby się, że taka dziewczyna jak ona – niezbyt wykształcona, niezbyt towarzyska ani dowcipna – nie może interesować lady Lyle. Rozmyślając o przeszłości, Gwennan nie mogła uwierzyć, że minęły ledwie trzy tygodnie, odkąd po raz pierwszy weszła do tej skarbnicy, którą od wieków zamieszkiwali Lyle'owie. Od tej pory widziała już wiele niezwykłych rzeczy, zachwycała się wszystkim, co kryły w sobie te szare, kamienne ściany. Każdy pokój, do którego zapraszała ją lady Lyle, był nowym odkryciem – choćby biblioteka ze starymi mapami i księgami, a nawet pergaminami, które pozwolono jej rozwinąć i obejrzeć z bliska. Niektóre woluminy zamykane były na żelazne lub srebrne klamry. W salonie stały przeszklone gabloty, szafki i skrzynie pełne skarbów tak licznych, że trudno je było ogarnąć wzrokiem. Gwennan była zafascynowana, oczarowana w pełnym znaczeniu tego słowa.

Nigdy jednak nie miała okazji obejrzeć domu sama jedna – gdy tylko przekraczała próg domu Lyle'ów, gospodyni brała ją pod swoją opiekę i starała się cały czas zajmować czymś jej uwagę. Gwennan odpowiadała na jej pytania, umiejętnie wciągana w rozmowę. Dopiero gdy wracała do siebie, zdawała sobie sprawę, jak zręcznie lady Lyle dowiadyuje się od niej różnych szczegółów i jak mało mówi o sobie samej.

Lady Lyle pytała ją o rodziców, ale nie dowiedziała się zbyt wiele na ten temat. Panna Nessa, o czym Gwennan przekonała się jeszcze we wczesnym dzieciństwie, bardzo nie lubiła człowieka, którego poślubiła jej młodsza siostra. Nazywała go lekkomyślnym włóczęgą. Mówiła, że przez niego zginęli, podróżując na dalekie południe, na miejsce jakichś idiotycznych wykopalisk. A ona spełniła swój obowiązek, przyjmując dziecko zrodzone z tego nieudanego związku i dokładając wszelkich starań, by Gwennan nie poszła w ślady rodziców.

Umiejętnie kierując rozmową, lady Lyle prowokowała także Gwennan do tego, by opowiedziała ona o swoich zainteresowaniach. Znalazłszy po raz pierwszy kogoś, kto podzielał jej pasję, kto traktował

poważnie rzeczy, których nikt inny tutaj nie rozumiał, Gwennan mówiła i mówiła czasami zbyt szczerze. W obecności lady Lyle czuła się tak, jakby ktoś ofiarował jej klucz do drzwi, których długo szukała.

Na szczęście – bo wciąż mu nie ufała i nie lubiła go – Tor Lyle nie był przy tym obecny. Zniknął po pierwszej wizycie Gwennan, a lady Lyle nie wspominała ani słowem o przyczynach jego wyjazdu. Zdało się, że lady Lyle wcale za nim nie tęskni.

Tor Lyle. Gwennan poprawiła się na poduszkach – wiedziała, że brakuje jej ogłady, że nie umie obcować z ludźmi. Za każdym razem, gdy go spotykała, boleśnie uświadamiał jej te mankamenty. Kpił z niej otwarcie. Z pewnością nie podobało mu się też, że jego ciotka darzy ją takim zainteresowaniem. Jednakże to lady Lyle rządziła w tym domu i liczyły się tylko jej życzenia.

Cóż, nawet gdyby wszystko to skończyło się następnego dnia, gdyby lady Lyle także wyjechała, miałyby wiele materiału do przemyśleń. Była...

Gwennan zeszywniała, zasłoniła dłonią usta, wpatrując się w okno szeroko otwartymi oczyma. Burza przeszła, dając o sobie znać tylko odległymi pomrukami. Okno jednak nadal było zamknięte. Jak więc mogła to słyszeć – to dziwne szuranie, jakby ktoś wszedł na gałęzie, którymi w zeszłym tygodniu tak starannie otuliła fundamenty domu, chroniąc je w ten sposób przed zimnem – mieszkańcy miasteczka robili to od wieków. Odwróciła powoli głowę. Znów ogarnął ją strach, który mącił jej umysł, zniewalał ciało. Okno, ciemny kwadrat...

A w nim...

Gwennan nie mogła się poruszyć, nie mogła odetchnąć. Strach odbierał jej świadomość. Może nawet zemdląca na moment – nigdy potem nie była tego pewna. Dłonie miała tak mocno zaciśnięte na kołdrze, że bolały ją palce.

Czerwone oczy! Tak, była tego pewna. Głowa, w której tkwiły, pozostawała ciemną, niewyraźną plamą. Jednak te oczy – niczym rozżarzone węgle, płonące jednolitym, stałym blaskiem – patrzyły na nią. Zadrżała ze zgrozy. W tych oczach płonęła tak straszliwa nienawiść, że nie mogłaby jej stawić czoła żadna ludzka istota.

To nie był sen. Tam, w ciemnościach, czaiło się coś, co nie należało do normalnego świata. W okolicznych lasach widywano niedźwiedzie, w zeszłym roku nawet pumę... Ale to nie było zwierzę – to coś różniło się od wszelkich stworzeń, które знаła, w które byłaby w stanie uwierzyć.

Gwennan wydała z siebie cichy jęk. Nieznane stworzenie wciąż na nią patrzyło, gdy tak siedziała w świetle lampy. Nasłuchiwała ko-

lejnych szelestów, brzęku tłuczonego szkła. To... to coś jej nienawidziło. Była tego pewna.

Gwennan nie miała pojęcia, jak długo czekała skulona na atak potwora. Początkowo nie była w stanie poruszyć się, przykuta do miejsca spojrzeniem przerażających oczu. Potem, dokonawszy największego wysiłku w swym życiu, zaczęła przesuwać się na drugą stronę łóżka, jak najdalej od okna, wreszcie opadła na podłogę. Przekonana, że nogi nie byłyby teraz w stanie jej udźwignąć, pochwyciła się wezłowania łóżka, przywarła do niego.

Telefon. Trzeba zadzwonić po pomoc! Zdobyła się na kolejny wysiłek i odwróciła oczy od okna. By dotrzeć do telefonu, musiała przejść przez hol do kuchni, która zgodnie z miejscową modą pełniła także rolę salonu.

Gwennan zaczęła czołgać się do drzwi. Wyteżając wszystkie siły, przesuwała się centymetr po centymetrze, aż wreszcie ogarnęła ją ciemność holu. Musiała podnieść się na kolana, by otworzyć drzwi kuchni, gdzie w piecu wciąż palił się ogień.

Dysząc ciężko, wsparła się o krawędź sofy i podniosła na tyle, by usiąść na krześle przy małym stoliku. Kiedy już tego dokonała, ręce trzęsły jej się tak mocno, że nie była w stanie przysunąć do siebie telefonu. Nie mogła też wybrać numeru – dopiero za trzecim razem udało jej się wykręcić w ciemnościach numer alarmowy.

– Coś tu na pewno było, Gwen, pogniotło wszystkie gałęzie pod oknem. To na pewno nie deszcz, a nie słyszałem, żeby niedźwiedzie zapuszczały się aż tak blisko miasta. – Zastępca szeryfa, Hawes, stał oparty o stół, podczas gdy Gwennan nalewała mu już drugi kubek gorącej kawy. – Niestety po ostatnich przymrozkach ziemia zrobiła się tak twarda, że nawet po deszczu nie widać na niej żadnych śladów. Jak się rozjaśni, Sam przywiezie psy. Zastanawia mnie tylko ten smród, nigdy nie czułem czegoś takiego. Dosłownie wywraca człowieka na bebeczy. Niedźwiedzie na pewno tak nie śmierdzą, nawet skunks, jak zadrze ogon, nie potrafi tak nasmrodzić. Wiesz co, Gwen, może nie powinnaś mieszkać tu sama, tak na uboczu. To niebezpieczne. Od domu Newtonów dzieli cię kawał pola, a przez ten żywopłot nawet nie widzą, co się u ciebie dzieje. Ty zresztą też ich nie widzisz... – Ed wskazał na okno, za którym pokazywał się już szary blask poranka. – A jeśli po okolicy krąży jakiś niedźwiedź...

Gwennan otuliła się szczelniej ciepłym szlafrokiem. Zdobyła się na ogromny wysiłek i odzyskała panowanie nad sobą, nim jeszcze

przyjechał do niej Ed Hawes. Przynajmniej nie widział jej roztrzęsionej, zupełnie ogłupiałej ze strachu. Był od niej starszy o dwa lata, ale kiedyś jeździli razem do miasteczka szkolnym autobusem. Wiedziała, że Ed nie odnacza się zbyt bujną wyobraźnią, ale w tym wypadku może to i dobrze.

Starła się, by jej relacja była spokojna i rzeczowa. Powiedziała o czerwonych oczach, ale nie wspomniała jednak o strasliwym przeżeniu, jakie w niej wywołały. Cieszyła się w duchu, że intruz pozostawił po sobie wyraźne ślady i nie wyszła na idiotkę, wzywając pomoc...

– Dlaczego niedźwiedź miałby zaglądać do okna? – zapytała.

– Może to wcale nie takie dziwne, jak ci się wydaje, Gwen. Niektóre niedźwiedzie są ciekawskie. Słyszałem o jednym takim, który dwa lata temu kręcił się po lesie Scotta. Niezłe nastraszył jedną turystkę. Wsadził głowę przez okno i patrzył, jak się przebierała. Może zważyło go światło w twoim oknie. Psy Sama na pewno podejmą ślad. Świetna kawa, Gwennan, dzięki. Pójdę do samochodu, żeby zadzwonić. Poczekam na Sama na zewnątrz. Zrobiło się już jasno, może znajdę coś nowego. Ten smród to naprawdę dziwna sprawa. Niedźwiedzie nie pachną fiołkami, ale i nie cuchną aż tak bardzo.

Kiedy wyszedł, Gwennan udała się do sypialni, by się przebrać. Osmielona obecnością Eda, podeszła do okna. Tak, gałęzie pod oknem zgniecione zostały przez jakieś bardzo ciężkie stworzenie. Strach opuścił ją zupełnie. Pozostała tylko złość – częściowo na własną hysteryczną reakcję, a częściowo na zwierzę, które ją wywołało.

Zarzuciwszy płaszcz na ramiona i owinąwszy głowę chustą, wyszła na zewnątrz. Co za zapach! Ten sam okropny smród, który poczuła tamtego wieczoru, gdy po raz pierwszy wybrała się z wizytą do domu Lyle'ów. Czyżby to stworzenie było wtedy w pobliżu? Miała szczęście, że go nie spotkała!

Choć gałęzie były zgniecione, na ziemi zostały zaledwie dwa niewyraźne ślady. Unoszący się wokół odór był tak odrażający, że nie mogła podejść bliżej, żeby przyjrzeć im się dokładniej.

Na drodze pojawił się pikap, z którego dochodziło szczekanie psów. Kiedy ciężarówka zatrzymała się obok radiowozu, wysiadł z niej Sam Grimes. Po krótkiej rozmowie z Edem opuścił tylną klapy, wypuszczając trzy psy, które ujadając, rozbiegły się dokoła. Sam wziął je na smycze i przeszedł przez bramę, prowadząc je w stronę domu.

Nie uszedł daleko. Radosne ujadanie zamieniło się nagle w wycie. Psy zatrzymały się raptownie i przysiadły na zadach. Sam krzyknął jakąś komendę i wycie ustało – zamieniło się w skomlenie, żalós-

ną skargę, od której włos się jeżył na głowie. Zwierzęta przypadły do ziemi, choć Sam ciągnął je w stronę domu. Nie mogąc ruszyć ich z miejsca, wyrzucił z siebie wiązanekę takich przekleństw, jakich Gwen-nan nie słyszała nigdy w życiu.

– Wstawaj, Pete! – zawołał do największego, najstarszego spośród psów. – No, wstawaj! Co się z tobą dzieje, do diabła? Ruszaj się!

Potężne szarpnięcie przesunęło psa o kilkanaście centymetrów do przodu. Potem Pete uniósł głowę i zawył tak przeraźliwie, jakby oszalał z przerażenia. Sam spojrzął nań raz jeszcze, a gniew malujący się na jego twarzy ustąpił wyrazowi zdumienia.

Przykłęknął na jedno kolano i pogłaskał drżącego psa.

– W porządku, stary, w porządku. – Podniósł wzrok na Eda. – Nigdy nie widziałem, żeby zachowywały się w ten sposób. To nie mógł być niedźwiedź; dobrze znają niedźwiedzie i żaden nie nastraszyłby tak starego Pete’a. – Podniósł głowę, pociągnął nosem i skrzywił się z obrzydzeniem. – To nie jest zapach niedźwiedzia. Ed, nie wiem, co to było, ale na pewno nie niedźwiedź!

– Więc co? – zirytował się Ed. – Popatrz tylko na to okno; gałęzie całkiem zgniecione. Coś stało tutaj i patrzyło na Gwen. Było ciemno, więc widziała tylko czerwone oczy i coś czarnego.

Po raz pierwszy Sam zwrócił uwagę na Gwennan. Przez dłuższą chwilę jakby się nad czymś zastanawiał.

– Patrzył na nią czerwonymi oczami... – powiedział cicho, już bez gniewu. – To nie wygląda najlepiej. Minęło wiele lat...

– Od czego? – zainteresował się Ed.

– Odkąd pojawił się tu ostatnio Czarny Diabeł. Wy, młodzi, pewnie nigdy o tym nie słyszeliście. To było dawno temu, ludzie zdążyli już zapomnieć; chętnie zapomina się o tym, co złe. Zdarzyło się to, kiedy mój dziadek był jeszcze dzieckiem. To coś pojawiło się kilka razy w czasie burz z piorunami. Przestraszyło jedną kobietę na śmierć. Miała słabe serce, a to coś patrzyło na nią przez okno. Jej córka usłyszała krzyk i zbiegła na dół. Zobaczyła, jak jej matka pada na podłogę, a od okna odsuwa się jakieś stworzenie z czerwonymi oczami. Myśliwi urządzili wielkie polowanie, ale nie znaleźli żadnych śladów, niczego, co wskazałoby im drogę. Na pewno jednak nie był to wtedy żaden niedźwiedź. Tak jak i teraz. Moje psy wam nie pomogą, Ed. I jeśli masz choć odrobinę rozumu, to nie ruszaj tu niczego.

Sam wziął do ręki smycze i zaprowadził ciche, przestraszone psy do ciężarówki, każdym gestem dając do zrozumienia, że chce jak najszybciej wynieść się z tego miejsca. Bez słowa wskoczył do szoferki i odjechał.

Ed Hawes patrzył nań w milczeniu, jakby zdumienie odebrało mu mowę.

– Co mu się stało? – spytał, kierując to pytanie raczej do samego siebie niż do Gwennan. – Nigdy nie słyszałem o żadnym Czarnym Diablu, ale Sam chyba nie wymyślałby takich bzdur. Muszę zameldować o tym szeryfowi, Gwen. Poczekam, aż zamkniesz dom i odprowadzę cię.

Gwennan pokręciła głową.

– Nie sędzę, żeby to jeszcze tutaj wróciło, przynajmniej nie za dnia. Możesz mnie spokojnie zostawić samą.

Ed spojrział na nią niezbyt przekonany.

– Jak chcesz... Po drodze wpadnę jednak do Newtonów. Mieszkacie tu na strasznym odludziu. Do tej pory nikt się tym nie martwił...

– Teraz też się nie martwię – zapewniła go Gwennan. – Nic mi nie będzie, Ed. – Spojrzała na zegarek. – Muszę być dzisiaj wcześniej w bibliotece. Zjem śniadanie i zaraz tam pojadę. Ale... – zawahała się na moment – nie wydaje mi się, żeby Sam zmyślał. Przejrzę stare gazety i dokumenty, popytam ludzi. Jeśli szeryf będzie coś wiedział na ten temat, daj mi znać, proszę.

– Jasne, Gwen. Przynajmniej dobrze, że już tak tu nie śmierdzi. Nie mogłabyś tego długo wachać. Wolałbym jednak nie zostawiać cię samej...

– Nonsens! – Gwennan odzyskiwała pewność siebie. – Nic mi nie będzie. Może to była puma? Słyszałam, że niektóre są naprawdę bardzo duże, a kocie ślepią świecą przeciwieź w ciemności.

Ed pokręcił głową.

– Koty tak nie śmierdzą. Opowiem o wszystkim szeryfowi, gdy tylko wróci. Musiał pojechać wczoraj do Haversville, wróci dziś rano.

Patrząc na odjeżdżającego Eda, Gwennan zastanawiała się, czy nie postąpiła zbyt pochopnie, rezygnując z jego pomocy. Orzeźwiający wiatr przeganiał jednak okropny smród, a blask poranka dodawał jej pewności siebie. Dom wyglądał tak normalnie, tak znajomo, gdy wracała do kuchni. Zatrzymała się raz jeszcze, by spojrzeć na zgniecione gałęzie. Niewyraźne ślady, które dostrzegła wcześniej, zostały teraz pokryte niesionymi przez wiatr liśćmi. Wątpliwe, by tajemnicze stworzenie zostało kiedykolwiek wytopione – z pewnością nie mogły zrobić tego psy Sama.

Czarny Diabeł, Czarny Pies – podobne istoty od dawna były bohaterami mitów i legend. Przygotowując sobie tost i smarując go dżemem z jeżyn, Gwennan przypominała sobie różne historie o rzeczach, które pojawiały się i znikaly, które nie miały żadnych ziemskich od-

powiedników, a jednak zaobserwowane zostały przez osoby godne zaufania. Badacze niewyjaśnionych zjawisk, podobnie jak ufolodzy, zbierali relacje ze spotkań z tymi dziwnymi istotami, które pojawiały się znikąd, przesyładowały, a czasem nawet atakowały ludzi, by potem zniknąć bez śladu.

Autorzy jednej z książek na ten temat zauważyli, że w Anglii do podobnych spotkań dochodziło najczęściej w pobliżu stref geomantycznych – tajemniczej sieci kanałów siły magnetycznej, pokrywającej podobno cały świat. Mapa w domu Lyle'ów ukazywała podobne linie, zbiegające się w miejscu, gdzie stały trzy głazy. Stworzenia z innego świata prześlizgiwały się przez bramy otwierane mocą stref. Była to szalona hipoteza, ale dowiedziono już rzeczy dziwniejszych.

Gwennan odstawiła kubek i podeszła do telefonu. Chciała zadzwonić do lady Lyle, podzielić się z nią tą myślą. Kiedy jednak podniosła słuchawkę, zawahała się. Pani domu Lyle'ów czuła się ostatnio coraz gorzej. Jej służąca zadzwoniła do Gwennan poprzedniego wieczoru, by odwołać zaplanowaną wcześniej kolację. Nie, nie można jej teraz niepokoić.

Choroba, która zaatakowała lady Lyle, rozwijała się bardzo szybko, o czym Gwennan mogła przekonać się naocznie. Tylko raz odważyła się zapytać lady Lyle, czy była już u lekarza, ta zapewniła ją jednak, że ma jak najlepszą opiekę. Powiedziała to tonem, który świadczył wyraźnie o tym, że nie życzy sobie więcej żadnych uwag na ten temat.

Choć lady Lyle była dla niej bardzo miła, Gwennan zdawała sobie sprawę, jak wiele barier je dzieli – barier, których nie próbowała nawet przekroczyć. Darzyła starszą damę ogromnym szacunkiem, czuła się zbyt młoda, zbyt głupia, by jej się narzucać.

Skończyła śniadanie, posprzątała i poszła do miasta. Choć słońce świeciło już pełnym blaskiem, było zimniej niż o świcie. Pewnie wkrótce spadnie pierwszy śnieg. Czasami zima mocno dawała im się we znaki – podczas zamieci i burz śnieżnych miasteczko bywało odcięte od świata. Nie musieli być tak samowystarczalni jak mieszkańcy farm, ale nie mogli lekceważyć sił natury.

Nigdy dotąd Gwennan nie myślała o tym, że jej dom znajduje się na odludziu. Właściwie była zadowolona z faktu, że ma wokół siebie tak dużo przestrzeni. Teraz... nie, nie da się zastraszyć, nie pozwoli, by jeden incydent zmienił jej życie. Zresztą, nawet gdyby chciała się przeprowadzić, to w miasteczku nie było już żadnych wolnych mieszkań. Motel przy drodze zamykano wraz z końcem sezonu turystycznego, nie słyszała też, by ktokolwiek wynajmował prywatnie pokoje.

Poza tym miała telefon i w każdej chwili mogła zadzwonić do Newtonów.

Zmagając się z wiatrem, Gwennan dotarła wreszcie do biblioteki, otworzyła drzwi i weszła szybko do środka, by zdjąć wierzchnie ubranie. W bibliotece było już całkiem ciepło – James Quarles sumiennie pilnował pieca. Powróciwszy do dużej, środkowej sali, Gwennan zatrzymała się, by spojrzeć na centralny plac, a właściwie trawnik miasteczka. Właśnie wtedy zobaczyła pana Stevensa, adwokata, wychodzącego z białego domu po południowo-zachodniej stronie placu. Dość wcześniej wybrał się do biura. Nie, wcale nie szedł w tamtą stronę – zmierzał prosto do biblioteki.

Dlaczego tutaj? Należał co prawda do zarządu, ale co mogłoby sprowadzać go do biblioteki o tej porze?

– Widziałem, jak tu wchodziłaś – oświadczył pan Stevens bez żadnego powitania, co było zupełnie doń niepodobne. – Pomyślałem, że chciałabyś o tym wiedzieć. Lady Lyle zadzwoniła do mnie wczoraj wieczorem. Jej stan bardzo się pogorszył, musi przenieść się do szpitala w mieście, potem może przewiozą ją helikopterem na zachód, do jakiejś wielkiej kliniki. Pracuje tam lekarz, który zajmował się nią już wcześniej. Poprosiła, bym pożegnał cię w jej imieniu. Była wczoraj bardzo słaba – ciągnął z z troską miną. – Spakowała swoje rzeczy i przygotowała dla mnie wszystkie dokumenty. Z drugiej jednak strony bardzo ufa temu lekarzowi, do którego się wybiera.

– Czy... czy zostawiła jakiś adres? – Dlaczego zadzwoniła do niej służąca, by odwołać kolację, dlaczego lady Lyle nie pożegnała się z nią osobiście? Może... może świadczy to o tym, że ich znajomość nigdy nie była taka, jak wydawało się Gwennan, że wcale nie były przyjaciółkami. Miała poczucie bolesnej pustki, straty.

– Nie, nie zostawiła żadnego adresu. Powiedziała, że skontaktuje się ze mną, gdy tylko będzie mogła. Z pewnością jednak bardzo cię polubiła, Gwennan. Jesteś pierwszą osobą z miasteczka, której okazała zainteresowanie. Kazała mi, żebym jak najszybciej powiedział ci o wszystkim. – Przyjrzał się Gwennan, jakby szukając w niej tego, co tak bardzo zainteresowało panią domu Lyle'ów. Potem skinął głową. – To wszystko. Dam ci znać, gdy tylko czegoś się dowiem. Albo ona skontaktuje się z tobą sama, kiedy dojdzie trochę do siebie.

– Tak – przytaknęła Gwennan, choć w głębi duszy mocno w to wątpiła.

Gwennan pospiesznie umyła ręce. Za dwadzieścia minut miała się rozpocząć godzina biblioteczna dla dzieci, a ona spędziła zbyt dużo czasu w magazynie, przeglądając zawartość zakurzonych pudeł wypełnionych luźnymi kartkami, czasopismami, notesami i broszurami o zbrązowiałych i postrzępionych ze starości stronicach. Wszystkie informacje, jakie udało jej się wydobyć z tego śmietnika przeszłości miasta, zmieściły się na jednej kartce notesu.

Opowieść Sama Grimesa skłoniła ją do przejrzenia darowizny pani Crowder. Pani Bertha Crowder umarła przed pięciu laty i, jako ostatnia z rodziny, przekazała wszystkie swoje zbiory – pudła wypełnione po brzegi – miejskiej bibliotece. Przywieziono je jeszcze za ostatnich dni panowania panny Nessy i złożono od razu w magazynie. Nikt nie miał czasu ich przeglądać.

Crowderowie od kilku pokoleń, z krótkimi przerwami, pracowali jako miejscy urzędnicy i prowadzili skrupulatną dokumentację – przynajmniej tak mówiła panna Nessa. I miała rację. Gwennan odnalazła tu zapiski dotyczące nie tylko tej wizyty Czarnego Diabła, o której mówił Sam, ale i wzmianki o tym, że stworzenie to gościło w dolinie już wcześniej.

Niestety nie miała już czasu na dalsze poszukiwania, musiała spieszyć się na górę. Biblioteka mieściła się w domu Pyrona, jednym z pierwszych budynków wzniesionych w miasteczku. Niektóre ściany usunięto zeń wcześniej, kiedy służył jeszcze jako sala zebrań, a potem jako kościół, gdy ten właściwy spłonął w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Pozostałe pokoje miały teraz przedziwne kształty, kryły pełno zakamarków, a w zimie było w nich ciemno. Pomimo licznych próśb, które Gwennan adresowała do władz miasta, nie zainstalowano dodatkowego oświetlenia.

Przedtem Gwennan nie przejmowała się tym zbytnio, ale teraz ciągle rozglądała się w koło, nasłuchując wszelkich dziwnych odgłosów – szczególnie gdy w bibliotece było niewielu czytelników. Tego popołudnia nie mogła wręcz doczekać się godziny bibliotecznej, kiedy będzie tu tłoczno i gwarno.

Dwie matki pilnujące dzieci, miały wyraźnie zatroskane miny, podobnie jak sama panna Graham. Pod koniec zajęć złapała Gwennan za łokieć i powiedziała z wahaniem, jakby nie wiedząc, w jaki sposób wyrazić to, co musiała przekazać.

– Nie przyjdziemy trzydziestego. W tym tygodniu zostanie zmieniony plan zajęć w szkole...

– Plan zajęć?

– Tak. Rodzice ze Spring Road i Hardwick Trace nie chcą, żeby wożono dzieci tak wcześnie, zwłaszcza teraz, kiedy rano jest jeszcze ciemno. Domagają się, żeby po południu dzieci jak najszybciej wracały do domu. Zorganizowali spotkanie z panem Adamsem i postanowiono zmienić plan. Dlatego trzeba będzie w tym semestrze zrezygnować z wielu zajęć dodatkowych.

– Nie chcemy, żeby dopadł nas ten stary diabeł. – Za plecami panny Graham pojawił się Thaddy Parker. – Tata mówi, że musimy wracać teraz do domu przed zmrokiem. To na pewno ten stary diabeł zjadł kurczaki Haskinsów!

– Dość! – Panna Graham posiadała coraz rzadszą w tych czasach zdolność uciszania rozmówcy jednym słowem. Thaddy wycofał się pospiesznie.

– To tylko pantera – powiedziała nauczycielka – ale rozpetano taką histerię, jakby ścigała nas cała gromada krwiożerczych tygrysów. Trudno się też dziwić, że rodzice są zaniepokojeni po tym, co stało się u Haskinsów.

– A co się tam stało? – Gwennan przez cały dzień tak była pochłonięta własnymi sprawami, że nagle poczuła się zupełnie odcięta od świata. W miasteczku wszystkie wieści rozchodziły się bardzo szybko i trudno było ich nie usłyszeć.

– Jakieś zwierzę dostało się do ich wielkiego kurnika – wiesz, w zeszłym sezonie zajęli się produkcją jajek, wysyłają większość do tej nowej restauracji we Freemont. Z tego, co słyszałam, to zwierzę po prostu rozszarpało większość kur, wcale ich nie jedząc. Najstarszy syn Haskinsów znalazł potem na skraju pola kukurydzy sarnę zabita w ten sam sposób. Nie wiem, czy to zwierzę nie jest po prostu chore na wściekliznę. Kiedy próbowano je wytropić, psy nie chciały iść tropem. Teraz wszyscy powtarzają te stare opowieści o... Jakieś stare legendy.

– Wiem. O Czarnym Diabie.

– Co ty właściwie widziałas tej nocy? – Panna Graham przyjrzała jej się uważnie. Gwennan nie była tym zaskoczona. Bez wątplenia wieść o jej nocnej przygodzie obiegła już całe miasteczko, a może i cały okręg, podsycając jeszcze bardziej atmosferę strachu i sensacji.

– Niewiele, bo było ciemno. Za oknem stało coś czarnego, wielkiego. – Nie zamierzała opowiadać o panicznym strachu, jaki wzbudził w niej ten widok.

– A ty mieszkasz całkiem sama! – Panna Graham pokręciła głową. – Nie zastanawiasz się nad przeprowadzką?

– Jeszcze nie. – Gwennan uśmiechnęła się. – Muszę jednak przyznać, że mój telefon jest teraz niemal przez cały czas zajęty, dzwoniли

do mnie chyba wszyscy ludzie z miasteczka. A co do Diabła – nie hoduję kurczaków, które mogłyby go skusić. Jestem pewna, że ma pani rację: to pantera, może rzeczywście chora na wściekliznę. Wcześniej czy później zostanie zastrzelona, a wtedy wszystko wróci do normy.

Wypowiadając te słowa, Gwennan starała się uspokoić raczej siebie niż pannę Graham. Obecna sytuacja w zbyt wielu punktach przypominała nie tylko historie opisane w książkach – czarne psy, diabły, przerażające stworzenia widywane czasami podczas burzy – ale i te, które znalazła w archiwum Crowderów. Zło, nienawiść, którymi emanowały tamte czerwone oczy... i ten straszliwy smród...

Czy jakiegokolwiek ze znanych ludziom zwierząt mogło tak cuchnąć? Czy farmę Haskinsów splądrowało to samo stworzenie, które widziała tamtej nocy? Opis pasował jak ulał do tego, co przeczytała w swych książkach, ale nie zamierzała mówić o tym nikomu z mieszkańców miasteczka.

Kiedy jakiś czas później zamknęła drzwi biblioteki, omal nie krzyknęła ze strachu, ujrawszy jakąś wysoką postać wychodzącą z cienia.

– Panno Daggert...

Miała nadzieję, że nie zauważył jej reakcji.

– Pan Lyle! Czy są jakieś wieści od pana ciotki? – Nie przychodził jej do głowy żaden inny powód, dla którego Lyle mógłby jej szukać.

– Od Saris? Nie kontaktowałem się z nią. Oczekiwała pani jakiejś wiadomości? – spytał ostro.

– Nie, ale słyszałam, że jest bardzo chora. Martwię się o nią...

– Oczywiście. – W jego głosie znów pojawiła się nuta szyderstwa. – Jednak nie jestem posłańcem. Raczej... można by nazwać mnie ochroniarzem. W okolicy grasuje Czarny Diabeł. Zdaje się, że miała pani już okazję przekonać się o tym osobiście. A czeka panią długa droga do domu, droga, która dla samotnej osoby może okazać się bardzo niebezpieczna.

– Przemierzałam tę drogę dwa razy dziennie przez większość mojego życia – odparła Gwennan, z trudem skrywając irytację. Nie zamierzała przyznawać się przed Torem Lyle'em, że dręczą ją jakiegokolwiek obawy, choć, nim wyszła z biblioteki, myślała o ciemnych miejscach przy drodze i wielkich odległościach pomiędzy domami.

– Tak, ale to było przed pojawieniem się Diabła. Proszę mi powiedzieć, panno Daggert, którą teorię pani popiera: czy jest to chora na wściekliznę pantera, czy też może coś z odległej przeszłości?

Ruszyła krokiem szybszym niż zazwyczaj, on jednak bez trudu nadszedł za nią. By pozbyć się jego towarzystwa, musiałaby pod jakimś

wymyślonym naprędce pretekstem zawrócić do miasta albo po prostu bezceremonialnie go odprawić.

– Nie mam pojęcia, co to może być...

– Pantera – kontynuował Tor – powinna zostawić wyraźne ślady. Diabeł, będąc istotą nie z tego świata, może pozostawiać nieuchwytny – jeśli tylko tego zechce. Na przykład wkrótce po tym, jak przybyli tu pierwsi osadnicy, pewien kowal nazwiskiem Haskins – to zadziwiająco, od jak dawna utrzymują się tutaj te same nazwiska – stracił cennego wołu, dosłownie rozszarpanego na strzępy przez jakieś tajemnicze stworzenie. Kilka dni później on sam musiał uciekać z lasu przed czymś, czego nie był w stanie opisać. Głównie dlatego, że biedak popadł w coś, co nazwano wtedy stuporem, i nigdy już nie odzyskał zmysłów. W 1745 roku, gdy grupa Francuzów i Indian zamierzała napaść na osadę, jeden z Francuzów został rozszarpany, podobnie jak inne ofiary Diabła. Pozostali napastnicy uciekli w popłochu i żaden z nich nigdy już nie ośmielił się zapuścić w te okolice. Diabeł grasował jeszcze przez kilka tygodni, zabił dwie krowy i doprowadził pewną starszkę niemal do takiego samego stanu co Haskinsa. O tak, Diabeł lubi odwiedzać od czasu do czasu te okolice.

– Widzę, że poważnie zajmował się pan tym tematem – odparła Gwennan. Ona sama dowiedziała się tego i owego, przeszukując archiwum Crowderów, jednak Tor Lyle najwyraźniej miał dostęp do bardziej szczegółowych informacji.

– Prowadziliśmy swego rodzaju kronikę miasteczka. Wielu Lyle'ów spisywało swe wspomnienia, prowadziło dzienniki. To doskonałe źródło wiedzy o przeszłości. Może miałaby pani ochotę, panno Daggert, odwiedzić mnie i przejrzeć owe zapiski? Nie wiem, czy znaleźlibyśmy jakieś informacje, odnoszące się do tego właśnie przypadku, ale z pewnością byłaby to przyjemna rozrywka. Jutro jest sobota, więc, o ile mi wiadomo, kończy pani pracę w południe. Czy zechciałaby pani zjeść ze mną obiad i...

– Nie – odparła krótko i stanowczo. Natychmiast zdała sobie sprawę, jak niegrzeczna była ta odmowa. Dlatego też dodała: – Jutro jest comiesięczne spotkanie zarządu biblioteki. Muszę przedstawić raport z działalności.

– Więc w niedzielę...

– W niedzielę idę do kościoła, a potem jem obiad z panią Graham i jej matką.

– A więc zostaje nam...

– Panie Lyle, będę z panem szczerą. Nie mam zamiaru odwiedzać domu Lyle'ów, dopóki nie zaprosi mnie tam pańska ciotka.

Wydawało się, że ta odpowiedź zbiła go z tropu, choć na jego ustach wciąż błdził szyderczy uśmiezek. Wreszcie, po dłuższej chwili, powiedział:

– Mógłbym pokazać ci rzeczy, o których nawet ci się nie śniło, rzeczy, które zmieniłyby całkowicie ten ograniczony, nudny świat. Wcześniej czy później i tak je poznasz, byłoby jednak lepiej, gdybyś zechciała zaakceptować mnie jako przewodnika. Zdecydowanie lepiej i... być może... bezpieczniej...

Niepokój, który zawsze odczuwała w jego obecności, szybko zamienił się w irytację.

– Nie interesuje mnie to. Chciałabym, żeby pan to zrozumiał: po prostu mnie to nie interesuje! – Nie miała odwagi powiedzieć mu wprost, że go nie lubi, że źle się czuje w jego obecności i że im rzadziej go będzie widywała, tym lepiej.

– Jednak kiedyś cię zainteresuje. Kiedy więc nadejdzie wreszcie ten czas, gdy zrozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi, daj mi tylko znać.

Gwennan pokręciła głową. Widząc, że nie zdoła się pozbyć Lyle'a, choć tak jawnie okazała mu swą niechęć, spróbowała skierować rozmowę na inne tory. Wyczuwała w jego zachowaniu nutę samozadowolenia, która zbijała ją z tropu, uświadamiała jej, że być może nie radzi sobie najlepiej z tą sytuacją.

– Dokąd wyjechała lady Lyle? Czy nadal leży w szpitalu? Chciałabym do niej napisać...

– Przekonasz się wkrótce, jeśli jeszcze tego nie rozumiałaś, że Saris to kobieta kapryśna. Ma kilka miejsc, w których ukrywa się przed światem, gdy czuje się zbyt nim znużona.

– Ależ ona jest chora! – zaprotestowała Gwennan.

– Saris może być zdrowa, może być chora, wszystko zależy tylko od jej widzimisię. Moja młoda przyjaciółko, nie powinnaś liczyć na trwałe zainteresowanie Saris. Ona zawsze traktowała ludzi w ten sposób; nagle kogoś polubiła, udawała przyjaźń, a potem, gdy już znużyła ją ta znajomość, porzucała ją bez słowa wyjaśnienia. A Saris bardzo łatwo się nudzi, mogą cię o tym zapewnić. Choroba to najwygodniejszy pretekst do zerwania znajomości.

– Widziałam ją przecież, naprawdę wyglądała na chorą – nie poddawała się Gwennan, próbując zapanować nad irytacją i rodzącą się w niej podejrzliwością. Czyżby on miał rację? Nieraz zastanawiała się, dlaczego lady Lyle zaprasza ją do siebie. Czy naprawdę tylko bawiła się z nią? Nie, nie mogła, nie chciała w to uwierzyć.

– Oczywiście. Saris to także urodzona aktorka...

Gwennan zatrzymała się w pół kroku i odwróciła do niego.

– Nie wiem, czego pan chce, dlaczego mówi mi pan o tym wszystkim. Skoro uważa pan, że pańska ciotka nie chce mnie już więcej widzieć w domu Lyle’ów, to dlaczego mnie pan tam zaprasza? Co się za tym kryje?

Choć cień uśmiechu wciąż nie opuszczał jego ust, była pewna, że w jego oczach pojawił się błysk irytacji. Podczas ich pierwszego spotkania oczy Tora wydawały jej się nienaturalnie jasne, roziskrzzone – teraz jednak, późnym popołudniem, jakby przygasły, upodobniły się do tafli lodu, stały się nie tylko matowe, lecz i lodowato zimne.

– Chcesz poznać prawdę? Proszę bardzo. Próbowiałem oszczędzić ci przykrości, bo... bo mnie ciekawisz, a w tym nudnym miasteczku trudno o cokolwiek interesującego. Masz inne życie, życie ukryte pod tym płaszczem obojętności, którym tak szczelnie się okrywasz. Jak już mówiłem, moja droga ciotka jest osobą kapryśną, często okazuje nagłą sympatię do ludzi, których nigdy wcześniej nie spotkała. Nudzi się jednak równie szybko, szczególnie gdy musi przebywać w tym rodzinnym grobowcu. Bo tym właśnie jest dom Lyle’ów, mauzoleum Lyle’ów – kawałkiem nadętej historii, która już nikogo nie może interesować. Ty stałaś się dla niej lekarstwem na nudę, ulotną rozrywką i niczym więcej. Z drugiej strony...

Gwennan wciąż patrzyła mu w oczy.

– Nie interesuje mnie to – przerwała mu bezceremonialnie. – Czy pan także potrzebuje lekarstwa na nudę, panie Lyle? Już panu odmówiłam. Wydaje mi się, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. A teraz, jeśli pan pozwoli...

Już miała odejść, lecz przytrzymał ją w miejscu.

– Nie możesz... – W jego głosie pojawiło się coś nowego, coś zupełnie niepasującego do tej rozmowy.

Gwennan nie była już w stanie dłużej zapanować nad irytacją.

– Panie Lyle, zupełnie nie rozumiem, dlaczego chce pan kontynuować tę rozmowę. Po prostu nie mamy sobie już nic do powiedzenia.

Szyderczy grymas zniknął z jego twarzy. Opuścił powieki, jakby chciał ukryć przed nią chłód swych oczu. Zdawało się, że myśli nad czymś intensywnie, jakby próbował znaleźć właściwe słowa.

Podniósł rękę na wysokość jej oczu i poruszył lekko palcem. Zrobiło jej się nagle słabo, poczuła zawrót głowy niemal równie silny, jak wtedy, gdy zdołała wyzwolić się z obezwładniającej mocy spojrzenia czerwonych oczu potwora. Ogarnął ją ogromny gniew, podniosła obie ręce, by odepchnąć go od siebie. W tej samej chwili jej głowę przeszył

ostrzy ból – jakby coś w niej wybuchło, próbowało wydostać się na zewnątrz, uwolnić.

Przez mgłę, która na kilka sekund przesłoniła jej wzrok, dziewczyna dojrzała kolejną zmianę w wyglądzie Lyle’a. Jego oczy otworzyły się szeroko, rozbłysły jasnym, oślepiającym błękitem. Jego usta poruszały się wypowiadając słowa, których nie słyszała.

Gwennan chciała go ominąć, ale znów natrafiła na jego rękę. Odepchnęła ją mocno. Ręka opadła, a Gwennan oddaliła się szybkim krokiem, zbyt dumna, by biec, choć właśnie to nakazywał jej instynkt.

Czego tak naprawdę chciał od niej ten człowiek? Z pewnością zamierzał zapobiec większej zażyłości pomiędzy nią i panią domu Lyle’ów – choć jednocześnie sam miał wobec niej jakieś plany.

Gwennan pokręciła głową. Być może w tym, co mówił, było wiele prawdy. Jego wersja wydarzeń brzmiała całkiem rozsądnie. Tyle że jakaś cząstka jej duszy nie chciała tego zaakceptować. Nie mogła, nie wierzyła, że lady Lyle upozorowała chorobę i wyjechała tylko po to, by uwolnić się od niej, Gwennan Daggert. Nie musiała w tym celu prowadzić aż tak skomplikowanej gry – mogła po prostu nie zapraszać jej więcej. Z pewnością wiedziała, że Gwennan nie narzucałaby jej się ze swoją przyjaźnią.

Może była to tylko kwestia zazdrości – może Tor chciał wyrównać rachunki z lady Lyle? Dlaczego jednak próbował zaskarbić sobie sympatię Gwennan, chciał, by przybyła do domu Lyle’ów jako jego gość?

Gwennan ani na moment nie zwalniała kroku. Po chwili uświadomiła sobie, że mimowolnie zwraca uwagę na krzewy i żywopłoty ciągnące się wzdłuż drogi. Opowieści Lyle’a – prawdopodobnie część historii rodziny – oraz rzeczy, których dowiedziała się na własną rękę, nie zachęcały do samotnych spacerów po zmierzchu.

Minęła dom Harrisów i znalazła się przed posiadłością Newtonów. Okna ich domu były już oświetlone, co dodało jej pewności siebie. Wreszcie dotarła do końca żywopłotu, z którego spadały ostatnie suche liście, i weszła na swój własny chodnik. Dom Gwennan był mały, niski. Obite deskami ściany wydawały się równie szare, jak jesienne niebo. Panna Nessa uznała, że biała farba to ekstrawagancja i od lat malowała dom na szaro.

Wiatr przeganiał po podwórku sterty zeschniętych liści. Gwennan miała wrażenie, że dom wygląda inaczej niż zwykle – a może po prostu rzadko patrzyła nań tak uważnie. Zazwyczaj pokonywała jak najszybciej dystans dzielący ją od drzwi, nie rozglądając się na boki. Nigdy nie była ogrodnikiem i nie interesowała się kwiatami ani krzewami, które mogłyby upiększać w lecie jej ogród.

Teraz wydawało jej się, że dom przycupnął tuż nad ziemią, jakby coś mu groziło, jakby czegoś się bał. Odganiając od siebie te dziwaczne myśli, podeszła szybkim krokiem do drzwi, przekręciła klucz w zamku, zapaliła światło, weszła do jasno oświetlonego wnętrza domu i znieruchomiła.

Pamiętała jeszcze dobrze smród zła bijący od stworzenia, które zaglądało przez jej okno. Teraz znów poczuła obcy zapach, znacznie słabszy, niekojarzący się ze złem.

Pannę Nessę nie mniej niż książki interesowały zioła. Dopóki jeszcze miała dość sił, by pracować w ogrodzie, hodowała niemal wszystkie gatunki ziół, jakie mogły przetrwać w tym surowym klimacie. Gromadziła także różne przyprawy, a zapach goździków, cynamonu czy curry roznosił się po całym domu, gdy Gwennan przygotowywała zapasy na zimę.

Teraz także poczuła lekki korzenny zapach, z pewnością niemający nic wspólnego z gotowaniem.

Powoli przeszła przez hol, trzymając wysoko głowę, jakby naśladowując psy Sama Grimesa wietrzące nowy trop.

Przeszła do kuchni, włączyła światło i rozejrzała się dokoła. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak w chwili, gdy wychodziła rano z domu. Pojawił się może tylko delikatny zapach jabłek ułożonych w koszyczku na stole, nic więcej.

To, czego szukała, znajdowało się gdzie indziej. Pozostawała tylko jej sypialnia. Gwennan, zrzucając wierzchnie ubranie na sofę w kuchni, ruszyła pewnym krokiem w tę stronę.

Drzwi były zamknięte. Czy nie zostawiła ich rano otwartych?

Jej ręka powędrowała do klamki i zawisała w powietrzu. Światło – nikłe, lecz widzialne w półmroku zalegającym tę część holu – ciągnęło się cienką linią przed jej stopami, w miejscu, gdzie dolna krawędź drzwi nie sięgała wypaczonych desek podłogi. Było zbyt słabe, by mogło pochodzić od lampy.

Gwennan przełknęła z trudem ślinę. Zaszcło jej nagle w gardle, choć dłonie wilgotne miała od potu. Położyła dłoń na klamce i jednym szarpnięciem otworzyła drzwi. Tym razem nie musiała zapalać światła. Pokój był już oświetlony dziwnym, przytłumionym blaskiem, pulsującym rytmicznie, jakby w zgodzie z oddechem jakiegoś stworzenia.

Na kufrze ustawionym u nóg łóżka dostrzegła kulę wykonaną z jakiegoś żółtawego kryształu – to właśnie z jej wnętrza wydobywała się tajemnicza poświata. Kula spoczywała na rzeźbionej podstawie wielkości dłoni, ustawionej pośrodku tacy przypominającej talerz. Nad tacą

unosily się smugi niebieskawego dymu, które szybko niknęły w powietrzu. To właśnie one wypełniały dom intrygującym zapachem.

Gwennan zbliżała się powoli do kufra. Miała wrażenie, że światło przybrało na sile, zaczęło szybciej pulsować. Znów poczuła ten ostry, przenikliwy ból nad oczami, był tak silny, że upadła na kolana, złapała się za głowę. Wiedziała, że coś się z nią dzieje, zaczęła drżeć ze strachu przed nieznanym, przed tym, co ją czekało.

Kulę zaczęła otaczać delikatna mgiełka. Czy wydobywała się ona z wnętrza kryształu, czy też była złudzeniem wzrokowym? Gwennan powoli uświadamiała sobie, że została uwięziona przez coś, czego nie rozumiała, że nie jest w stanie się poruszyć, jakby ktoś ją spętał.

Tuż pod powierzchnią kryształu przesuwały się jakieś kształty. Cienie pojawiały się i znikaly, a wszystko to bez wątplenia miało określony cel. Po chwili stały się wyraźniejsze, ostrzejsze. Przez moment wydawało jej się, że widzi posążek z domu Lyle'ów – kobietę, która była także drzewem. Tyle że teraz kobieta ta żyła – wiatr poruszał jej włosami w kształcie gałęzi, trzymała szeroko rozpostarte ramiona, jakby witała nadchodzącą burzę.

Potem pojawił się obok niej ktoś inny, odziany w zbroję lub ubranie o metalicznym połysku. Kobieta poruszyła ręką, jej porośnięte listowiem palce dotknęły głowy wędrowca. Roześmiała się, kiedy odskoczył, w jej otwartych ustach zawirowały liście.

Potem oboje zniknęli. Gwennan patrzyła na brzeg morza, gdzie fale uderzały o piasek, zostawiając na nim koronkę białej piany. W falach poruszały się, skakały jakieś ciemne stworzenia, których Gwennan nie rozpoznawała, wiedziała jednak, że nie są to ani ryby, ani ptaki morskie, lecz formy życia różne od tego, co jej świat uznawał za racjonalne.

Tymczasem dym wciąż wpływał do jej nozdrzy, powieki ciążyły jej coraz mocniej, czuła się senna – jakby nic poza kulą nie miało teraz żadnego znaczenia.

Scena we wnętrzu kryształu znów się zmieniła. Tym razem rozpoznała wzgórze, widziała wyraźnie trzy skały, wysokie, wysmukłe, otoczone Mocą twardszą niż ich kamienna powierzchnia. W pewnym sensie stanowiły drzwi...

Otępały umysł Gwennan z trudem formułował myśli.

Jej dłonie spoczywały na wieku skrzyni, po obu stronach tacy. Po powierzchni tacy krążyły drobiny niebieskiego żwiru – tak przynajmniej wyglądała dla niej substancja, z której wydobywał się dym – pomiędzy nimi jednak nie było nawet śladu żaru czy płomieni. Gwennan

oddychała powoli, głęboko, w rytm pulsującego światła. We wnętrzu kryształu nie pojawiały się już nowe obrazy, blask jakby przygasł, tracił na sile, dym zaś płynął w powietrzu coraz cieńszymi smugami, aż wreszcie zniknął całkowicie.

5

Dym rozwiął się w powietrzu, światło przygasło, zniknęło z kuli. Gwennan uniosła rękę – czuła jeszcze na czubkach palców resztki ciepła. Podniosła tacę, na której spoczywała ta dziwna lampa, wstała z klęczek i zaniiosła ją do kuchni.

Gdy postawiła ją na wyszorowanej powierzchni wielkiego, drewnianego stołu, lampa nie zniknęła – była równie rzeczywista, jak ów stół. Szklana lub kryształowa kula, idealnie okrągła, wypolerowana, teraz jednak przezroczysta i pusta. Gwennan dotknęła jej ostrożnie. Kula przesunęła się lekko, stoczyła z podstawy i spadła na tacę, rozgniatając resztki niebieskiego żwiru. Dopiero teraz Gwennan mogła zobaczyć, co się pod nią kryło. Podstawa wykonana była z ciemnozielonego błyszczącego kamienia, wyrzeźbionego na kształt spienionej morskiej fali, pośrodku zaś...

Gwennan wpatrywała się w kamień z niedowierzaniem. Widziała to już wcześniej, za każdym razem, gdy spotykała się z lady Lyle. Był to łańcuch złożony z misternie rzeźbionych, splecionych ze sobą kawałków srebra o dziwnych kształtach, pobłyskujących zieloną, miłą dla oka poświatą, i srebrny wisior – koło zwieńczone dwoma rogami, księżyc w pełni złączony z księżycem w nowiu.

Druga strona wisiora, na którą patrzyła teraz Gwennan, nie była jednak tak gładka, jak powierzchnia srebrnego kręgu, który widywała wcześniej. Przyjrząwszy się jej z bliska, Gwennan zauważyła, że dysk podzielony jest na równe części ozdobione różnymi symbolami, niczym tarcza zegara. Tyle że emanujące zieloną poświatą symbole wcale nie były cyframi. Choć maleńkie, zostały precyzyjnie i kunsztownie wyrte. Były to znaki zodiaku. Tarcza nie miała wskazówek wyznaczających godziny czy minuty. Pośrodku lśnił trójkąt, którego rogi dotykały trzech spośród tych symboli.

Gwennan nie miała pojęcia, jak i dlaczego ten skarb trafił do jej domu. Wiedziała jednak, czuła, że należy do niej, że ma go przyjąć. Była tego tak pewna, jakby lady Lyle wręczyła go jej osobiście.

Bała się go dotknąć. Czuła się tak, jakby stanęła przed jakimiś drzwiami; czy jeśli je otworzy, jej życie ulegnie radykalnej zmianie?

Tak, tego także była pewna, jakby wraz z tym prezentem otrzymała jakąś obietnicę. Czy gotowa była otworzyć te drzwi, wkroczyć do środka, wejść w... W co?

Gwennan opadła na krzesło, położyła łokcie na blacie stołu i oparła brodę na rękach, przyglądając się temu, co przed nią leżało. Miała wolny wybór. A jednak wiedziała, że choć nie uczyniła jeszcze niczego, wybór został już dokonany. Oblizła wargi, wyciągnęła rękę i podniosła wisior. Łańcuch zakołysał się, a potem owinął wokół jej ręki, jakby kierowany własną wolą. Świetlny trójkąt na tarczy dysku przesunął się niczym wskazówki zegara, wyznaczając trzy nowe symbole.

Metalowy krąg był ciepły w dotyku. Gwennan wiedziała, że nie mogłaby wypuścić go teraz z dłoni, nawet gdyby chciała. Wyprostowała łańcuch, odszukała zapinkę i zawiesiła go na szyi. Podobnie jak lady Lyle, ukryła oznaczoną symbolami tarczę, zwracając na zewnątrz gładką powierzchnię wisiora.

Usiadła prosto, potrząsnęła głową, jakby budząc się z przedziwnego snu. Była nieco oszołomiona, choć jednocześnie czuła coraz bardziej, że postąpiła słusznie, że wybrała najlepszą drogę postępowania. Najlepszą dla kogo? Odsunęła od siebie tę myśl.

Wstała i obeszła cały dom, sprawdzając wszystkie drzwi i okna, jak robiła to każdego wieczoru od czasu tamtej burzy. Doszła wreszcie do frontowych drzwi i w świetle latarki obejrzała zewnętrzny zamek. Żadnych zadrapań, żadnych śladów świadczących o tym, że ktoś próbował go sforsować, a tylko ona miała klucz do tych drzwi. Więc jak się tutaj dostano?

Ktoś tutaj wszedł. Ciężki wisior na szyi, kula spoczywająca na kuchennym stole – to były dowody, jednoznaczne i niepokojące. Tor Lyle?

Podniosła kryształową kulę i ustawiła ją ponownie na podstawie w kształcie fali. Czy miał to być żart z jego strony? Przecież wisior należał do lady Lyle, nie do Tora. A ona wyjechała.

Czy któryś z jej ciemnoskórych, milczących sług posiadał umiejętność pozwalającą mu włamać się do domu Gwennan i pozostawić ten prezent? Czy rzeczywiście był to prezent? Na chwilę obudził się w niej niepokój, jednak równie szybko ją opuścił.

Gwennan odwróciła się do kredensu, przesunęła puszki i słoiki, by na szerokiej najniższej półce zrobić miejsce dla tacy i kryształu. Potem zasłoniła je ponownie puszkami i zamknęła szybko drzwi. Stała przez chwilę w bezruchu, uspokajając przyspieszony oddech. Może powinna ukryć też wisior... Podniosła ręce, potem jednak opuściła je bezwładnie. Nie, zatrzyma go przy sobie.

Jeśli Tor prowadził z nią jakąś grę, musi jak najszybciej przejrzeć jego zamiary. Lady Lyle stanowiła klucz do całej sprawy – Gwennan była tego pewna. Może kadzidło, z którego pochodził dym, zostało nasączone jakimiś środkami odurzającymi? Wiedziała jednak, że lady Lyle bardzo ceniła sobie ten wisior. Zaczynała ją boleć głowa.

Co znaczyło dzisiejsze spotkanie z Torem, jego zaproszenie do domu Lyle'ów? Zacisnęła dłonie w pięści, uderzyła nimi w stół z siłą, która mogła nabawić ją siniaków. Dała się wciągnąć w coś, czego nie rozumiała. Mogła liczyć tylko na to, że uda jej się utrzymać wyobrażenie na wodzy, żyć tak, jak żyła do tej pory. Podeszła do sofy i wyjęła z kieszeni płaszcz notes. Nie spojrzała nawet na zapiski, które sporządziła na podstawie starych dokumentów. Dość tego, nie będzie już zajmowała się żadnymi diabłami, kamiennymi kolumnami, niczym, co ma związek z mieszkańcami domu Lyle'ów!

Gwennan chciała wrzucić notes do paleniska, ale nie mogła się na to zdobyć. Schowała go więc do szuflady biurka stojącego w rogu, obok sofy. Potem zaczęła przygotowywać kolację, starając się myśleć jedynie o faktach i liczbach związanych z raportem, który musiała sporządzić tego wieczoru.

Na dworze zapadł już mrok, słychać było szum wiatru. Choć o tej porze roku burze zdarzały się niezwykle rzadko, Gwennan słyszała odległy pomruk grzmotów. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że raz po raz zerka na okna. Widziała w nich jedynie odbicie oświetlonej jasno kuchni. Przez moment żałowała, że nie ma zasłon, którymi mogłaby odgradzić się od świata. Na zewnątrz nie było nic prócz ciemności i wiatru gnającego suche liście. Nie!

Jałda powoli, kęs po kęsie, lecz jedzenie nie miało dla niej smaku. W ustach czuła taką suchość, że co chwila popijała czekoladę, którą przygotowała wcześniej. Jedzenie zalegało jej ciężko w żołądku, bała się, że znów dostanie mdłości, które tak często dręczyły ją podczas ostatnich miesięcy opieki nad panną Nessą, kiedy stale nasłuchiwała odgłosów z drugiego pokoju. Teraz także słuchała, całym ciałem, wiatru i czegoś, co musiało być odległym grzmotem. Tak dalekim, że nie widziała nawet światła błyskawicy.

Gwennan pozmywała naczynia. Nigdy dotąd nie czuła się tak samotna. Może gdyby miała kota... Kotka Newtonów ciągle rodziła młode. Panna Nessa nie lubiła zwierząt, powtarzała stanowczo, że to więcej kłopotu niż pożytku. Jednak obecność jakiejś żywej istoty doдалaby jej teraz otuchy.

Otuchy? Co się z nią dzieje? Nigdy dotąd nie potrzebowała niko-go. Uważała, że obecność innej osoby tylko skomplikowałaby jej ży-

cie. Jeśli nawet jej życie wydawało się innym nudne i jałowe, była z niego w pełni zadowolona.

Zabrała się do pracy nad raportem, rozłożyła na stole dokumenty. Rachunki zawsze sprawiały jej wiele trudności i musiała się całkowicie skoncentrować się na tym zajęciu.

Liczby tworzyły piramidy, kiedy dodawała, odejmowała, po kilka razy sprawdzała wyniki. To nie były już liczby – to były solidne skalne bloki, wieże, iglice sięgające nieba! Gwennan krzyknęła, pióro wysunęło się z jej dłoni i potoczyło po kartce papieru.

Patrzyła na trzy skalne bloki. Widziała je najpierw jako niewyraźne kształty. Potem zaczęły nagle wyrastać ze stołu, przybrały trójwymiarową postać – kamienne iglice na pagórku, pod nocnym niebem. Choć niebo zasnuwały chmury, głązy były doskonale widoczne, promieniowały światłem, pulsowały życiem, podobnie jak kryształowa kula. Gwennan pochwyliła kartkę z liczbami, zmięła ją w dłoni i rzuciła na ziemię. Jednak na następnej kartce znów zaczęły wyrastać znajome kształty...

– Nie! – Gwennan odsunęła się od stołu. Nie podda się temu! Jest w swoim własnym domu.

Wstała i podeszła do sofy. Ręce nie słuchały jej jednak. Wzięła płaszcz, włożyła go na ramiona. Kierowała nią jakaś obca siła. Sięgnęła po szalik i czapkę...

– Nie! – Słyszała, jak jej własny głos niesie się echem po domu. Była w nim jakaś przerażająca nuta. Czy nadal była odurzona, czy też żyły w niej dwie osoby? Jedna Gwennan uwięziona w ciele drugiej?

Tocząc beznadziejną wewnętrzną walkę, na sztywnych nogach wyszła z kuchni, przeszła przez hol. Jej ręce – te zdradzieckie ręce – otworzyły zamek przy drzwiach.

Po niebie przetoczył się grzmot. Była już na zewnątrz. Wiatr wyrwał jej z dłoni drzwi, ostatni fragment rzeczywistości, i zatrzasnął je z hukiem. Dokoła wirowały liście. Widziała w dali światło błyskawicy, choć nie spadała jeszcze ani kropla deszczu.

– Nie! – krzyknęła, próbując sprzeciwić się temu, co robiła. Nie miała już jednak żadnej drogi ucieczki, żadnej szansy na odwrót. Została uwięziona w koszmarze, z którego sama nie mogła się wyzwolić.

To, co rządziło jej ciałem, przejęło nad nią pełną kontrolę. Nie potykała się już, lecz szła pewnym, szybkim krokiem, po chwili zaczęła nawet biec. Wiedziała, dokąd idzie – do kamieni!

Strach był gorszy od fizycznego bólu – wypełniał ją bez reszty, sprawiał, że chciała krzyczeć, rzucić się na ziemię, przytrzymywać każdego mijanego drzewa i krzewu. A mimo to nie mogła robić nic

innego, jak tylko iść do przodu, poddając się niezrozumiałemu nakazowi. Zaczęła myśleć o tym, że choć nie może nic zrobić teraz, musi zachować siły na chwilę, gdy będzie miała okazję się uwolnić.

Nagle wyrósł przed nią mur okalający posiadłość Lyle'ów. Gwennan wspięła się nań, uderzając się boleśnie w kolano. Dalej zaczynał się las. Gwennan stoczyła ze sobą walkę. Dobrze, pójdzie do kamieni, ale nie przez las!

Najwyraźniej pozwolono jej na to małe zwycięstwo, nie przebiegła bowiem przez las, lecz okrążyła go i wyszła na łąkę.

Podobnie jak w scenie, którą zobaczyła na kuchennym stole, kamienie błyszcząły na tle ciemnego nieba. Emanowały białym blaskiem, a ze szczytu najwyższego wyrastała cienka smuga światła skierowana ku niebu, niczym płomyk świecy. Pomimo porywistego wiatru ta świetlista chorągiew trwała w bezruchu, co jeszcze bardziej zdumiało Gwennan.

Dziewczyna doszła do podnóża pagórka. Wzdłuż brzegów najwyższego kamienia widniały teraz symbole, które przedtem stanowiły tylko niewyraźne linie. Świeciły mocnym stałym blaskiem. Gwennan miała wrażenie, że poruszają się lekko, gdy jednak skupiła wzrok na którymś z nich, nieruchomiał. Krok po kroku zaczęła się zbliżać do trzech skał.

Poczuła dziwne ciepło na piersiach.

Wisior! Zapomniała o wisiorze. Przypomniała sobie wyraźnie tarczę dysku z ruchomym promieniem światła dotykającym poszczególnych symboli – jakby tworzył jakiś wzór, gromadził siłę. W miarę jak rosła w niej ta siła i ciepło, strach ustępował. Czowała się przygotowana na wszystko.

Gwennan doszła do kamieni w momencie, gdy światem zatrzęsł kolejny grzmot. Piorun uderzył w las, oślepiając na moment Gwennan.

Potem usłyszała... nie, to nie był kolejny grzmot, lecz pomruk, groźne warczenie. Dostrzegła jakiś ruch na skraju lasu skrywającego dom Lyle'ów. Zobaczyła jakąś bardzo słabą poświatę.

Latarka... Tor? Czyżby czekał na nią? Czy to on sprawił, że tutaj przyszła? Coraz bardziej była przeświadczona o tym, że Tor kierował czymś, czego nie rozumiała.

Źródło światła odsuwało się coraz bardziej od linii drzew. Nie była to latarka ani pochodnia, lecz raczej zarys jakiejś postaci, wciąż zbyt niewyraźny, by mogła ją rozpoznać. To właśnie ta postać emanowała światłem.

Nagle wiatr przyniósł do niej straszliwy smród, który czuła już wcześniej dwukrotnie. Wiedziała, że postać czająca się w mroku to

nie czarny potwór, który przyszedł kiedyś do jej domu, czuła jednak również, że jest to stworzenie nie z tego świata, przerażająco obce.

Gwennan nie ośmieliła się zejść z pagórka, przebiec przez otwartą przestrzeń poniżej. To był myśliwy. Ta świadomość przyszła do niej wraz z zapachem, jaki wydzielało jego ciało. Wyczuwała w nim dojmujący głód, potrzebę pogoni... zabijania...

Gwennan wsunęła dłoń pod połę płaszcza, zacisnęła ją mocno na wisiorze, jak na talizmanie. Tak niewiele chroniło ją przed stworzeniem, które zmierzało w jej stronę. Zbliżyła się jeszcze o krok do skał, wsunęła pomiędzy nie, dotykając ramionami bliźniaczych głazów. Jak jednak mogły ją ochronić...

Czy to grzmot rozdarł świat na dwoje – czy też jakaś inna, jeszcze potężniejsza siła? Siła, której Gwennan nie знаła do tej pory? Została oślepią – lecz nie przez błyskawicę, raczej przez ciemność, gęstą i namacalną, która otuliła ją niczym płaszcz, uwięziła. Ciemność i chłód – i przyprawiające o mdłości poczucie braku stabilności, odrwania od wszystkiego, co jej rodzaj uznawał za normalne i słuszne.

Ciemność opadła wreszcie – nie uniosła się, nie rozproszyła, lecz została rozerwana na strzępy, niczym płócienna torba, by zwrócić jej wolność. Nie było już nocy, otaczało ją światło. Siedziała w kucki na ziemi, oparta ramionami o kamienie, a przed nią rozciągał się dziwny krajobraz – nie była to łąka ani pole przed domem Lyle'ów, lecz zupełnie inne miejsce.

Gwennan krzyknęła, zasłoniła ręką oczy. Co pozostało ze znanego jej świata? Czy upadła, uderzyła się w głowę, czy to, co teraz widziała, było tylko snem, halucynacją? Jednak ten obraz się nie zmieniał. Nie widziała słońca, choć krajobraz zalany był zielonym światłem. Wisior, który trzymała w drugiej ręce, stał się cieplejszy. Jego dotyk dawał jej poczucie bezpieczeństwa, jakby ten medalion był kotwicą utrzymującą ją w bezpiecznym miejscu. Stoczywszy krótką walkę z własnym strachem, opuściła rękę i rozejrzała się dokoła.

Wokół niej rozciągała się otwarta przestrzeń, choć na horyzoncie dostrzegła cień, który oznaczał prawdopodobnie skraj lasu – wyższego, gęstszego, groźniejszego od tych, jakie dotąd znała. Ziemia dokoła pokryta była niską gęstą roślinnością przypominającą mech. Tu i ówdzie monotonię tę przerywały niewielkie obszary nagiego, złotego piachu lub kępy niskich, białych kwiatów.

Było coś dziwnego w tych jasnych plamach. Łachy piasku wydawały się miłe dla oka, podczas gdy kwiaty były dziwnie odpychające. Gwennan podniosła głowę, by spojrzeć na niebo. Nie widziała słońca ani żadnego innego źródła zielonego światła. Dopiero gdy spoglądała

ponownie na ziemię, dostrzegła iskry złotego blasku zawieszono tuż nad piaskiem, zaś nad kwiatami smugi ołowianej szarości.

Nic się tu nie poruszało, nie czuła najmniejszego tchnienia wiatru. Nie mogła też dojrzeć na odległej ścianie lasu żadnego ruchu liści, kołysania gałęzi. Wyglądało to zupełnie jak sztuczna scenografia, krajobraz wymalowany na tylnej ścianie sceny teatralnej.

Gwennan przestała się już temu dziwić; jej zmysły oteptały od nadmiaru wrażeń. Dotyk wisiora bronił ją przed strachem, zamiast niego budziła się w niej ciekawość. Na razie jednak nie zamierzała opuszczać swej skalnej kryjówki. Przesunęła dłonią po powierzchni najbliższego kamienia, jakby chciała sobie udowodnić, że wszystko to nie jest tylko wytworem jej wyobraźni.

Żadnego ruchu... żadnego dźwięku...

Nagle – niczym uderzenie kruszące na drobne kawałki szklaną tafelę – ciszę rozdarł głos rogu. Gwennan odwróciła głowę w prawo. Na tle leśnej ściany pojawił się jakiś ruch. Z jego ciemnej krawędzi wychyły się smukłe sylwetki sunące nisko nad ziemią. Kiedy zbliżyły się do niej, usłyszała ich głos, dźwięki przypominające radosne ujadanie psów, które poczuły właśnie świeży trop. Widziała, jak przebiegają przez obszary nagiego piasku, omijały jednak kępy kwiatów. Nie były to ziemskie psy. Okrywała je śnieżnobiała sierść, choć łapy, ogony i uszy mieniły się złotem. Oczy, lśniącej jasnozielonym blaskiem, wydawały się zbyt duże w stosunku do ich wąskich głów.

Znów zagrał róg. Tym razem z lasu wybiegł kłusem ogromny jelen – czy rzeczywiście był to jelen? Gwennan próbowała przypisać tym istotom znane sobie określenia, choć żadne z nich nie pasowało do tej rzeczywistości. Stworzenie to dorównywało wzrostem największym z ziemskich koni, a jego rozłożyste poroże było złote, podobnie jak kopyta. Na jego grzbiecie siedział bez siodła jeździec.

Była to kobieta. Złote włosy miała spięte na karku, a pojedyncze kosmyki opadały jej na twarz. Ubrana była w spodnie koloru fal morskich i w kaftan tej samej barwy, spod którego wystawały nagie ręce, ozdobione szerokimi złotymi bransoletami, sięgającymi od nadgarstków niemal po łokcie. W jednej ręce kobieta trzymała zakrzywiony róg, w drugiej zaś krótką włócznię ze złota. Jej ostrze lśniło jasno, jakby wypełnione jakimś wewnętrznym światłem.

Kiedy podjechała bliżej, w ślad za sforą psów, Gwennan zobaczyła wyraźnie jej twarz. Zadrżała ze zgrozy. To nie był jej świat – a jednak widziała przed sobą lady Lyle, a właściwie jej młodszą kopię.

Jelen zatrzymał się, stał niespokojny, przebierając w miejscu nogami, uderzając kopytami o ziemię, podczas gdy psy, dotarłszy do

wzgórza, jakby straciły nagle ślad. Rozproszyły się, biegały wokół pagórka, obwąchując ziemię i omijając z daleka kępy kwiatów, obszczekując je.

Żadne ze zwierząt nie dostrzegало ani nie wyczuwało Gwennan. Kobieta także nie zwracała na nią uwagi. Spoglądała w stronę lasu po lewej stronie, jakby spodziewała się, że lada moment ktoś stamtąd wychynie.

Tym razem ciszę przerwał nie czysty głos rogu, lecz chrapliwy, nieprzyjemny dla ucha ryk. Psy zbiły się w ciasną gromadę wokół wierzchowca. Kobieta zawiesiła róg na ramieniu i pochwyciła w obie ręce włócznię, która wydawała się zbyt mała i delikatna, by mogła być skuteczna.

Gwennan wpatrywała się w skraj lasu. Znów dostrzegła jakiś ruch między drzewami. Z cienia wybiegły przygarbione postacie powłóczące nogami, przemieszczające się jednak z zadziwiającą szybkością. Niektóre stały na dwóch nogach, niczym istoty ludzkie, kilka poruszało się na czterech łapach. Wszystkie wyglądały jak zdeformowane monstra z najgorszych ludzkich koszmarów. Było wśród nich stworzenie ze skrzydłami i głową przypominającą głowę sowy. Choć jednak bez ustanku machało skrzydłami, nie mogło oderwać się od ziemi.

Inne przypominało karykaturę człowieka o ciele całkowicie pokrytym sierścią. Jego ciężkie, rozkołysane ręce zakończone były długimi, zakrzywionymi pazurami. Trzecie biegło na czworakach. Przednie nogi przypominały wilcze łapy, tylne były nogami człowieka. Pozostałe potwory były równie przerażające, równie zniekształcone. Od niektórych Gwennan szybko odwracała wzrok, gdyż ich widok przyprawiał ją o mdłości. Te stworzenia także miały swego pana, który dosiadał wierzchowca. Śladem potworów sunął ogromny, pokryty łuską gad. Wzdłuż grzbietu miał szereg ustawionych pionowo kościanych płytek. Pomiedzy dwoma największymi siedział mężczyzna. Jego złote kręcone włosy i jego rysy znane były dobrze Gwennan – smoczy jeździec miał twarz Tora.

Podobnie jak kobieta ubrany był w spodnie do konnej jazdy, buty z cholewami i kaftan, lecz jego ubranie było szare, podobne do skóry bestii, której dosiadał. W ręce trzymał czarną różdżkę pozbawioną ostrza, pewnie stanowiącą jakiś rodzaj broni.

Gromada potworów sunęła jeszcze przez chwilę do przodu, by zatrzymać się wreszcie w pewnej odległości od kobiety i jej psów. Dwie grupy stały naprzeciwko siebie w milczeniu, nie wydając żadnych dźwięków, tylko patrzyły na siebie z nienawiścią, gotowe do ataku.

Czy tych dwoje jeźdźców komunikowało się ze sobą bez słów? Całkiem możliwe. Bez wątpienia było to spotkanie odwiecznych wrogów, żaden z nich jednak nie chciał wdawać się w otwartą walkę.

Ruszyła się lekko, by ulżyć ścierniętym nogom, i...

Wisior w jej ręce jakby się poruszył, napał mocniej na jej dłoń. Miłe ciepło zamieniało się nagle w palący żar. Przestraszona Gwennan krzyknęła z bólu i wypuściła wisior z dłoni. Jego zdobna tarcza była teraz zwrócona ku górze, symbole płonęły żywym ogniem.

Krzyk Gwennan przyciągnął uwagę przywódców obu grup. Zwrócili gwałtownie głowy w jej stronę. Gwennan wyczuła ich zdumienie, choć twarze mieli nadal niewzruszone. Jeleń i smok ruszyły powoli w stronę wzgórza, utrzymując jednak stałą odległość między sobą. Gwennan wstała z klęczek. Nie wiedziała, jakiemu niebezpieczeństwu przyjdzie jej stawić czoło, była jednak zbyt dumna, by zachowywać się jak przerażone zwierzę zapędzone w ślepy zaułek.

Tor i lady Lyle... To byli oni, pomimo dziwnego przebrania i niesamowitej świty. Ich oczy patrzyły prosto na nią, a Gwennan miała wrażenie, że dostrzegła w nich coś więcej niż lekki błysk, który mógł świadczyć o tym, że została rozpoznana. Pierwsza przemówiła lady Lyle.

– Wędrowcze, witamy cię bez względu na to, co nam przynosisz...

Tor roześmiał się głośno.

– To prawda, krewniaczko. Pewnie myślisz, że uda ci się ją skłonić, by stanęła po twojej stronie w trakcie bitwy? Nie ludź się. Nikt nie może teraz stawić się na twoje wezwanie, bez względu na to, jak słodką nutą będzie brzmiał twój róg. Czy nie mam racji, cudzoziemko?

Ponieważ Gwennan milczała, ciągnął dalej:

– Moja krewniaczka uważa, że dołączysz do jej świty. Nie wątpię, że uczyniła wiele, by do tego doprowadzić. Ale co nasza wojna ma z tobą wspólnego? Jesteś jedną z innych, żyjesz krótko, odchodzisz z zapomnieniem. Na tym świecie nie ma dla ciebie niczego prócz... – Strzelił palcami, a stworzenie z głową sowy odwróciło się do Gwennan, ukazując czerwone kręgi ognia w miejscu, w którym powinny znajdować się oczy. – Prócz bliższego spotkania z jednym spośród moich wiernych i posłusznych sług. – Mówił niskim głosem przypominającym mruczenie ogromnego kota, który pewien jest, że jego ofiara nie zdoła mu już umknąć. – Jesteś śmiertelnikiem, a moje bestie zawsze łakną świeżej krwi. Czy nie tak, moi wierni słudzy?

Z gromady stworzeń, które zbliżyły się wraz z nim do wzgórza, dobiegły przerażające pomruki, warknięcia i głośne wycie wilkołaka.

Gwennan próbowała zaprotestować, ale nie mogła wydobyć głosu z gardła. Zamiast niej przemówiła kobieta, która tak bardzo przypominała lady Lyle:

– Rzeczywiście, masz wybór. Ta walka toczy się od wielu, wielu lat w każdym z nas – i w każdym z was, ludzi innej krwi. Choć ty tego nie rozumiesz, spotykasz się z tym tylko w snach.

Śmiech Tora zagłuszył jej słowa. Jedna z bestii – przerażająca, owłosiona karykatura człowieka – rozłożyła szeroko łapy, jakby chciała dosięgnąć dziewczyny i ściągnąć ją w dół.

– Nie masz żadnego wyboru! – wykrzyknął arogancko Tor. – Przyłączysz się do tej walki, czy tego chcesz, czy też nie. Musi być w tobie choć odrobina starej krwi, kobieto z innego świata, inaczej nie dotarłabyś tak daleko. Teraz jedno z nas może wykorzystać twoją siłę do swoich celów!

Głazy podtrzymywały ją, otaczały niczym mur obronny. W pewnym sensie ten szorstki kamień łączył Gwennan z rzeczywistością. Jednak to wisior był dla niej punktem oparcia. Trzymała go mocno w obu dłoniach. Metal pulsował ciepłem, był coraz gorętszy. Gwennan nie wiedziała, jak się tutaj znalazła, i nie ufała niczemu w tym zielonym krajobrazie. Kobieta na wierzchołcu miała co prawda twarz lady Lyle, lecz wcale nie uspokajało to Gwennan. Wszystkie te stworzenia otaczała aura obcości. Gwennan nie zamierzała sprzymierzać się z żadnym z oponentów. Spojrzała w dół zbocza. Potwór o wyglądzie małpy stał już u podnóża wzniesienia.

Gwennan zacisnęła mocniej dłonie na dysku. Chciała jak najszybciej stąd uciec, wrócić do swego świata, gdzie nie było miejsca na koszmary, gdzie po ziemi nie chodziły takie potwory!

Nagle jakby sama siła jej strachu wystarczała do przekręcenia niewidocznego klucza, znów zanurzyła się w ciemności – powróciła w miejsce, które istniało poza czasem i przestrzenią. Znów czuła zawroty głowy, przeszywający ból, dotyczący bardziej jej ducha niż ciała. Chłód, ból – i znów światło.

Nie wróciła do swego świata, do nocy rozświetlanej błyskawicami, ani do zielonego świata myśliwych i ich bestii. Zamrugła powiekami na wpół oślepią, wciąż oszołomiona podróżą przez inny wymiar, który tak trudno było jej zrozumieć, w który trudno było jej nawet uwierzyć.

Jej – czyli komu? Ta niepewność własnej tożsamości podsyciała ból, który dręczył ją podczas podróży przez ciemność. Nie mogła

nawet do końca sformułować myśli, czuła się rozbita... Kto – i gdzie? Kolory – masa barw na tle wysokiego muru. Wznoszący się i opadający dźwięk tajemniczej pieśni. Wiedziała, że wszystko to pomaga jakiejś części jej jestestwa, scala na powrót fragmenty jej rozbitej tożsamości – lecz układa je w nowy wzór. Gwennan, ta druga Gwennan, przepadła. Świadomość tego dotarła do niej niczym rozpaczliwy krzyk z głębi duszy – gasnące wołanie o pomoc, na które nie mogła odpowiedzieć.

Nazywała się Ortha, była prorokinią Wielkiej Świątyni. Czyż nie siedziała teraz na swoim miejscu, na trójnogim krześle prorokini, przed mroczną powierzchnią Lustra Przyszłości? Część jej osobowości, będąca Orthą, bez trudu zidentyfikowała fale kolorów – były to szaty Szlachetnej Krwi, której pozwalano gromadzić się tutaj podczas proroczego seansu. Wystarczyło tylko, by odwróciła głowę, a ujrzałyby Wysokie Trony, a na nich Głos Przeszłości i Przyszłości oraz Ramię Celu Wybranych tego pokolenia.

Tak! Wyprostowała się dumnie, kiedy znajome dźwięki hymnu napełniły ją energią, przygotowały do tego, co musiała zrobić. Przypomniała sobie teraz wyraźnie, że nie było to jedno z regularnych prococtw – lecz spotkanie wyjątkowe, wywołane jakąś krytyczną sytuacją. Pojawiło się jakieś zagrożenie, a ona miała przed nim ostrzec.

Należało skoncentrować się w pełni na lustrze, odepchnąć w najdalsze zakamarki umysłu ten niepokój, to uczucie, że była kimś innym zamkniętym w tym ciele – kimś bardzo odmiennym od Orthy obdarzonej mocą prorokowania.

Pod jej spojrzeniem mroczna powierzchnia Lustra zaczęła się zmieniać. Najpierw pośrodku pojawiła się chmura, mgła, która rozprzestrzeniała się na wszystkie strony, płynęła falami ku ramie podtrzymującej tafłę lustra. Mgła stawała się coraz gęstsza. Tu i ówdzie ciemniała bardziej niż w innych miejscach.

Te ciemne plamy pogłębiały się, wciągały w siebie resztę mgły, stawały się coraz wyraźniejsze, coraz bardziej oddzielone od całunu, który je stworzył. Widziała ludzi – małych, wyraźnych, choć pozbawionych barw, gdyż Lustro przekazywało jedynie ich siłę życiową, ukrytą w ich wnętrzu iskrę.

Za tymi iskrami życia wznosiły się wieże i mury miasta. Scena zmieniała się szybko, poszczególne elementy zastępowane były nowymi. Ortha patrzyła na miasto z góry, niczym ptak zawieszony nad tętnącymi życiem ulicami.

Było to ogromne, potężne miasto. Sprawowano stąd władzę nad całym światem. Wspaniałe gmachy rozciągały się na wielkim obsza-

rze, tworząc najpotężniejszy monument, jaki kiedykolwiek zbudowała ludzkość. Teraz jednak zmałało na tyle, że Ortha mogła zobaczyć także ziemię leżącą poza jego murami.

Z miejsca, w którym się unosiła, Ortha nie dostrzegała już tych iskier życia. Były zbyt małe. Widziała jasną wstęgę rzeki uchodzącej do morza. Na powierzchni wody unosiły się maleńkie kreseczki – okręty, duma szkutników i marynarzy – łączące ze sobą różne części świata. Gdy wzniosła się jeszcze wyżej, nie widziała już nawet tych drobinek zagubionych na bezkresie oceanu.

Potem z ciemnej powierzchni nieba, pod którym się unosiła, wytrysnęło nagle światło – kula tak jasna, że rozproszyła całkowicie mrok zalegający na krawędziach lustrzanego obrazu. Jej blask oślepiłby każdego śmiertelnika.

Kula ognia leciała ku ziemi, a towarzyszył jej deszcz mniejszych płomieni. Gdy wreszcie uderzyły w morze, świat, na który patrzyła Ortha, oszalał.

Z wody podniósł się gigantyczny obłok pary, potem sama pokrywa ziemi jakby rozdarła się w wielu miejscach, spod wybrzuszonych krawędzi wystrzelił płynny ogień. Woda, która nie wyparowała w starciu z żarem, runęła w stronę brzegu – rozpędzone fale rosły z każdą chwilą, sięgały powyżej szczytów gór. Widziała, jak pierwsza fala uderza z wściekłością o brzeg, zmiata wszystko, co stoi jej na drodze.

Fale sunęły coraz szybciej w głąb lądu. Ortha była teraz bliżej, widziała więc wyraźnie, jak morze zwycięża nad ziemią i niesie jej zagładę. Miasto portowe zniknęło w jednej chwili, jakby nigdy nie istniało. Jednak fale nadal z furją pędziły naprzód. Wydawało się, że dzieło zniszczenia dodaje im jeszcze energii. Pędziły szybciej niż jakikolwiek statek powietrzny, niż sam wiatr.

Na północy pojawiły się gejzery ognia wytryskujące z powierzchni ziemi, tak jak przed chwilą wystrzeliwały z dna morza. Ogromne połacie lądu ginęły pod rozpaloną lawą i chmurami popiołu, wyrzucając ku niebu mnóstwo rozżarzonych kamieni.

Tymczasem masy wody wciąż gnały w głąb kontynentu, coraz wyższe, coraz bardziej przerażające – poniżej zaś leżało miasto, ogromne mrowisko nieświadome jeszcze zbliżającej się zagłady. Zdawało się, że woda przystanęła na moment, przedłużając bolesne oczekiwanie, by wreszcie runąć na miasto i pochłonąć je w jednej chwili.

Widziała, jak przewracają się wieże, które знаła przez całe swe życie – wśród nich ta najwyższa, do obserwacji gwiazd na niebie. Woda... ogień... Nagle wyzwolił się gniew sił uspiionych od początku świata. Żaden człowiek nie mógł przeżyć pośród takiej furii. Lustro

ukazywało jej koniec świata, koniec ludzkości. Ortha załkała, z jej ust wyrwał się głośny szloch.

– Śmierć – zawołała zeszywniałymi wargami. – Śmierć... Ten, który wędruje przez niebo, przynosi śmierć... śmierć od wody... od ognia... Śmierć przyjdzie do nas wszystkich!

Zakołysała się na swoim krześle. Jej głos zamienił się w przerażliwe zawodzenie:

– Na niebie zabłyśnie nowy księżyc, przyćmi ten, który znamy od wieków. Z nim przyjdzie upadek i zagłada – deszcz śmierci. Przed zagładą nie uchroni nas nawet Moc, która płynie. Nie zostanie nic prócz wody, ognia i otwartych ran ziemi...

– Kłamiesz!

Słowo to rozbrzmiało czysto i wyraźnie, przecięło przerażającą wizję niczym ostrze noża. Ortha została gwałtownie wyrwana z transu, wstrząśnięta, obolała od tego, co zobaczyła, wytrącona z równowagi brutalną interwencją.

Jej ręce zwisały sztywno wzdłuż tułowia, palce wciąż zaciskały się kurczowo na krawędzi stołka. Odwróciła powoli głowę, by spojrzeć na Wysoki Tron, czuła, jak ślina wąską strużką spływa jej po brodzie.

Ta, która była Głosem Mocy, pochyliła się do przodu, a jej oczy były niczym ostrza włócznie o zimnym blasku, gdy oskarżały ją o kłamstwo.

Głos Mocy wstała, posągowe ciało okryte miała tylko cienką tkaniną złotej szaty, a klejnoty przy pasku równie twarde i zimne, jak oczy. Na jej ramiona spływały pukle złotych włosów, tak bardzo podobnych do sukni, że trudno było powiedzieć, co jest odzieniem, a co naturalnym welonem.

– Kłamiesz albo zostałeś dotknięta przez Ciemność – oświadczyła powoli i wyraźnie.

Przez tłum zgromadzony pod ścianami przebiegł pomruk zdumienia.

– Zdaje się – kontynuował Głos – że nie widzisz prawdy, prorokini. Czas więc, byś została osądzona, a Moc znalazła sobie nowego sługę.

Ortha pokręciła powoli głową. Wciąż miała przed oczami straszliwą wizję. Nie mogła uwierzyć, że ktoś kwestionuje jej proroctwa. Wszyscy wiedzieli, że żadna prorokini nie zdoła zafalszować tego, co pokazuje jej Lustro. Dlaczego więc Głos miałby temu zaprzeczać?

Spojrzała na drugi z Wysokich Tronów, na Ramię Celu. Ten popatrzył najpierw na Orthę, potem na Głos, nie uczynił jednak żadnego

ruchu, nie przemówił ani słowem. Głos podniosła rękę, wydając w ten sposób polecenie.

Dwóch mężczyzn stanęło po obu stronach Orthy. Ręce zacisnęły się z okrutną siłą na jej ramionach, zmusiły ją do wstania. Ten świętokradczy dotyk wyrwał ją wreszcie z mocy Pełnego Proroctwa. Żaden człowiek, kapłan ani strażnik, nie miał prawa jej dotykać. Czują, jak rośnie w niej płomień gniewu. Mężczyźni, którzy ją pojmali i zmusili do powstania, byli młodszymi kapłanami, sługami Ramienia, który nie wydał przecież żadnej komendy, ani gestem, ani słowem.

Odwrócili ją od Lustra, by mogła spojrzeć prosto na swego oskarżyciela. Głos wciąż mierzyła ją zimnym wzrokiem, jakby prowokując do jakiegoś protestu, do odwołania się do Mocy w samym centrum jej świątyni.

– Ty... – zaczęła Ortha, ale jeden z kapłanów zasłonił jej usta dłonią, zacisnął ją tak mocno, jakby chciał rozgnieść jej wargi.

Głos odwróciła się lekko, spoglądała na tych, którzy mieli prawo Mocy, szepczących niespokojnie między sobą.

– To oczywiście oszustwo. Badacze obserwują uważnie niebo; nie ma tam niczego, co mogłoby nam zagrozić. Być może Ciemność znalazła jakiś słaby punkt w naszych szeregach i chce napełnić nas strachem. A może ta prorokini za długo już patrzy w Lustro. Nie będzie nas więcej okłamywać.

Głos uniosła ramiona do góry, objawiając Moc, która w niej mieszkała. Z czubków jej rozcapierzonych palców wypłynęły falujące wstęgi światła. W ich blasku mieniły się wszystkie kolory świata, zieleń i błękit morza, róż i złoto świtu, czysta biel, która oznaczała pełną Obecność. Promienie pulsowały w powietrzu, rozprzestrzeniały się, by zawisnąć nad głowami zebranych i przynieść im pokój i radość, podarunki Mocy.

Ortha czuła jednak tylko gniew i strach, wiedziała bowiem, że Moc pokazała jej prawdę i że zagłada ukazana w Lustrze spadnie na świat, choć nie wiadomo jeszcze kiedy. Dlaczego więc Głos zaprzeczała prawdzie? Ortha wciąż nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia, kiedy dwaj kapłani prowadzili ją przez hol – a zebrani odsuwali się od niej pospiesznie, jakby w obawie przed jakimkolwiek kontaktem z tą, która zdaniem Głosu naznaczona została przez Ciemność.

Zdumienie i niedowierzenie rosło w niej z każdą chwilą, nigdy bowiem nie słyszała o takim czynie. Jej poprzedniczki zawsze korzystały z Lustra, a ukazywane w nim obrazy były prawdą zaświadczoną przez Moc – dlaczego więc ktoś miałby jej przeczyć? Głos także nie mogła skłamać, jeśli skorzystała z Mocy. Taki paradoks mógł być

wymysłem Ciemnego, który chciał w ten sposób poróżnić sprawiedliwych.

Nie wiedziała, dokąd ją prowadzą, była bowiem nie tylko oszołomiona, lecz i ogromnie wyczerpana, jak zawsze po prorocztwie. Wiedziała jednak, że tym razem nie może liczyć na pomoc Thrasy, jej osobistej służącej, która czekała na nią z zimnym, orzeźwiającym napojem, a potem pomagała ułożyć się do snu na miękkich poduszkach. Gdy Ortha ocknęła się z letargu, siedziała na szorstkiej, kamiennej półce w naturalnej jaskini, którą wykorzystano jako celę. Czowała wilgoć, słyszała plusk spadających kropel. Ortha nigdy nie była w tym miejscu oczekiwania na wyrok, wiedziała jednak, że jest więźniem zdanym na decyzję Głosu i Ramienia.

Oparwszy się o zimną kamienną ścianę, którą czuła aż nazbyt wyraźnie przez cienką materię tuniki, Ortha próbowała ogarnąć całą sytuację. Zmysły ponaglały ją, by wróciła do tego bytu, który tylko przeczuwała. Żeby zobaczyła, gdzie tak naprawdę sięgają korzenie wojny z Mocą.

Wszystkie żywe stworzenia wiedziały, że Moc jest centrum życia, że każdy został zrodzony po to, by nosić w sobie jej iskrę, służyć jej na tym realnym świecie. Wracano do niej, przynosząc to, czego nauczono się za życia, by po jakimś czasie narodzić się na nowo. Ortha podczas długich transów, w jakie wchodziła jeszcze jako kandydatka na prorokinię, czasami zapamiętywała niektóre obrazy z dawnych żywotów, co było jej potrzebne w obecnym wcieleniu.

Była niegdyś córką rybaka i potrafiła porozumiewać się z morskimi stworzeniami w czasach, gdy obawiano się jeszcze takiej wiedzy. Zginęła przebita harpunem przez własnego brata, gdy porwała jego sieci, by uwolnić jedno ze stworzeń, z którymi pływała niegdyś i bała się w falach.

W innym życiu była mężczyzną, kowalem, który potrafił uczynić metal tak twardym, że zjeżdżali do niego władcy z odległych części świata, prosząc, by sprzedał im swój sekret. Aż pewnego dnia kowal spotkał na swej drodze władcę zazdrosnego i chytrego, który wydobyl zeń sekret torturami, a potem go zabił.

Teraz napływało jakieś inne wspomnienie, którego Ortha nie doznała podczas żadnego z transów. Było nowe, jeszcze bardzo żywe, jakby związane z obecną chwilą, z tym miejscem.

Ponieważ mogło to mieć coś wspólnego z przyczynami jej obecnych kłopotów, Ortha wyteżyła pamięć.

I nagle stanęło jej przed oczami imię Gwennan – tak wyraźnie, jakby ktoś wypisał je w wilgotnym powietrzu. Nie pochodziło z przeszłości, więc skąd?

Ortha wypowiedziała je głośno, niczym element rytuału, który miał oczyścić jej pamięć. Zamknęła oczy, starając się zapomnieć o celi i ciemności.

Choć została wyszkolona na prorokinię, zawsze świadoma była owych innych talentów związanych z liniami energii. Świątynia Świątła wzniesiona została w miejscu, gdzie krzyżowały się liczne kanały tej Mocy, która była naturalną krwią planety. Już przed wiekami wiedziano, że tu właśnie zbiegają się jej arterie.

Dlatego właśnie w tym miejscu wibracje ziemi były bardzo silne. Głos i Ramię zostali wyszkoleni do tego, by przywoływać tę Moc, korzystając z niej dla dobra wszystkich, tak jak korzystała z niej – choć na inny sposób – prorokini. Ortha była tylko naczyniem, które napępniało się wizją, gdy zasiadała przed Lustrem. Nigdy nie próbowała wykorzystywać Mocy do swych własnych celów.

Dopiero teraz, w chwili całkowitego oszołomienia, kiedy instykt podpowiadał jej, że coś złego dzieje się ze światem, ze wszystkim, co uznawała za jego podstawy, odważyła się na ten krok. Gdyby zgrzeszyła, gdyby choćby na moment straciła panowanie nad sobą, została by zniszczona przez to, co chciała wykorzystać.

Ortha zacisnęła pięści, skupiła na tym zadaniu cały umysł, całą siłę woli. Odtworzyła w myślach sieć linii Mocy, błyszczących niczym płynne złoto w blasku słońca – oplatających ziemię i niosących jej spokój i dobrobyt. Właśnie tutaj, pod nią znajdował się centralny punkt tej siatki – musiała o tym pamiętać.

Kim więc była Gwennan? Czy to jakaś część jej własnej istoty, która walczyła teraz o wolność? I co miała wspólnego z jej obecną sytuacją?

– Gwennan... – powiedziała cicho, łagodnie, jakby próbując oswoić przestraszone zwierzę, wywabić je z kryjówki.

Linie, dajcie mi Mocy! Pałaca potrzeba zamieniła tę modlitwę w żądanie.

– Gwennan! – Tym razem był to rozkaz, w który Ortha włożyła całą swoją energię.

Jej otwarte oczy znów utkwione były w Lustrze. Teraz patrzyła na pole i wzgórze, na którym stały trzy wysokie kamienie. W kamieniach tych kryła się Moc, z której od dawna nikt już nie korzystał, nie przywoływał jej.

Przy kamieniach stała jakaś kobieta. Była noc, niebo pokrywały chmury. Jednak Moc ukryta w kamieniach oświetliła jej twarz. Ortha omal nie krzyknęła ze zdumienia, nie spodziewała się bowiem, że będzie to jej twarz! Nigdy dotąd tożsamość przechodząca z jednego życia

na drugie nie przybierała takiego samego wyglądu. Musiała być to rzeczywiście jakaś nieśmiertelna część jej istoty, zamknięta w innej płocie. Tyle że ta kobieta była tego nieświadoma. Pograżyła się w straszliwej duchowej ciemności.

Ciemność! Nie, nie otaczała jej aura zła – raczej poczucie całkowitego zagubienia, albowiem Gwennan, która kiedyś była Orthą, należała do przyszłości.

Przyszłość! Ortha wstrzymała oddech. Czyżby rzeczywiście zobaczyła nieprawdę, źle prorokowała? Z pewnością świat, który uległ zagładzie, nie mógł mieć żadnej przyszłości. Jak mógł ktoś ocaleć? Ludzkość była zbyt krucha, by oprzeć się tym straszliwym żywiołom.

A przecież miała dość talentu i Mocy, by rozpoznać tę, która stała przy kamieniach. Nawet te kamienie nie pochodziły z czasów Orthy. Przypuszczała, że to jakaś namiastka świątyni, miejsce czerpania energii z linii Mocy. A więc jeśli nawet jej świątynia zostanie zmieciona z powierzchni ziemi, ukryta w niej wiedza nie ulegnie całkowitemu zapomnieniu.

Próbowała odsunąć od siebie spekulacje związane z kamieniami, skoncentrować się wyłącznie na kobiecie – dowiedzieć się od niej, co się wydarzyło na przestrzeni lat.

Tak czy inaczej, kiedyś, w odległym czasie, stanie się tą Gwennan. Świat miał więc przed sobą przyszłość. Ortha westchnęła, żałując szczerze, że nie potrafi otworzyć drzwi do umysłów innych ludzi. Nie dowiedziała się też niczego, co pozwoliłoby zrozumieć jej, dlaczego uznana została za oszustkę.

Świadoma była jednak zmiany, jaka w niej zaszła. Próba odczytania myśli tej drugiej kobiety zmieniła ją w zasadniczy sposób. Do tej pory miała spełniać tylko i wyłącznie jedną rolę w służbie świątyni. Zgodnie z prawem nie powinna nigdy próbować przekroczyć swych obowiązków. Ponieważ jednak to uczyniła, jej horyzonty poszerzyły się gwałtownie. Czują, że rośnie w niej coś nowego. Oczywiście, nie była Głosem, nie mogła kontrolować takich sił, wykorzystywać Mocy jako narzędzia – a jednak Moc odpowiedziała na jej wezwanie.

Była ogromnie zmęczona, drżała, czuła się pusta, słaba, kiedy to, co trzymała w sobie przez chwilę, opuściło ją, wyciekło z niej niczym krew z głębokiej rany. Być może rzeczywiście zapłaci śmiercią za to zuchwalstwo i zostanie po niej tylko pusta powłoka. W ten sposób potwierdzą się w części zarzuty Głosu.

Niech i tak będzie. Ortha nie czuła strachu – tylko rozczarowanie. Nie miała już nawet sił, by o tym myśleć. Pograżyła się w stanie, który nie był snem ani zapomnieniem – tylko znużoną obojętnością.

Straciła poczucie czasu. Była głodna. Głód i pragnienie dręczyły ją coraz mocniej, stawała się coraz słabsza. Czasami wydawało jej się, że opuściła celę, że stoi między wysokimi kamieniami i trzyma w dłoniach przedmiot, który pulsuje niczym serce – ten puls był jedynym, co podtrzymywało ją przy życiu.

Nie słyszała nawet, jak ktoś otworzył drzwi do celi. Obudził ją dopiero blask lampki. Odwróciła głowę i spojrzała na człowieka, który ją trzymał. Przyszedł sam, nie był to jednak kapłan, który miał zabrać ją na sąd.

Ordził kaptur płaszcz, jakby chciał mieć pewność, że zobaczy go i rozpozna. Światło odbiło się od jego jasnych loków, utworzyło wokół jego głowy złotą aureolę, ukazując Moc, którą zawsze trzymał w sobie.

A więc był to Ramię Mocy we własnej osobie. Ortha obserwowała go obojętnie, zastanawiając się, czy jej zbrodnia – wciąż nie rozumiała, na czym polegała – zmusi go do tego, by zabił ją potajemnie, bez sądu i wyroku.

Jak miała umrzeć? Od ognistego pioruna, którymi mógł miotać do woli, tak jak zwykły człowiek używa noża? Być może za moment jej ciało zamieni się w garść popiołu.

7

Ramię Mocy nie przerywał milczenia, nie wykonał też żadnego gestu, lecz przyglądał jej się badawczo, jakby chciał jej zadać jakieś pytanie i szukał teraz właściwych słów. Ortha czuła, jak opuszcza ją strach, a w jego miejsce pojawia się złość. Niemal chciała, by przemówił, potępił ją, jak zrobiła to Głos. Nie będzie błagała go o litość.

Ramię zrobił jeden krok, drugi, a potem uśmiechnął się mile, jakby spotkali się ze sobą w słoneczne popołudnie w ukwieconych ogrodach świątyni.

– Tak, mała siostrzyczko... – szepnął. – Przekonałaś się, że są różne prawdy, niektóre mniej przyjemne od innych.

Ortha nadal uparcie milczała. Ramię mówił w sposób wieloznaczny, jego słowa można było różnie interpretować. Orthę uczono, że tak formułowane przepowiednie były równie fałszywe, jak kłamstwa, którymi Ciemność świadomie zwodziła ludzi. A on mówił do niej właśnie takim słowami!

– Tak – skinął głową, jakby czytając w jej myślach. – Zbyt długo trzymano cię pod kloszem, ukrywano prawdę o tym, jaki naprawdę

jest świat, jacy naprawdę są ludzie, jakie nadeszły czasy. Szkoda, że nikt nie powiedział ci przed dzisiejszym proroctwem, iż powinnaś grać na zwłokę, kluczyc...

Ortha odzyskała wreszcie głos.

– Nie rozumiem cię. Patrzyłam w Lustro i widziałam tam śmierć, zagładę świata... – Zadrżała, przeniknięta ogromnym przerażeniem. Była pewna, że widziała prawdę, tak jak pewna była również, że nigdy nie poddała się działaniu Ciemności, bez względu na to, co sądzi o tym Głos.

– Tak, widziałas prawdę.

Nie drwił z niej, jak początkowo sądziła, lecz zgadzał się z nią. Ale jeśli tak było, to dlaczego Głos, która dzieliła z nim najwyższą władzę, zwróciła się przeciwko niej? Uczciwie ostrzegła przecież wszystkich o zagładzie, przed którą nie było ucieczki.

– Och, jest pewna droga ucieczki, siostrzyczko. – Znów zbliżył się o krok. Zapach pleśni, wilgoci i grzybów, którymi wypełniona była jaskinia, ustąpił przed korzennym aromatem jego szat, wonnych olejków, które wcierano w jego skórę.

Ortha pokręciła głową.

– Widziałam, jak morze pożarło ląd, otworzyła się ziemia, a z jej ran wypłynął ogień. Miasto zniknęło. Kto mógłby przeżyć coś podobnego?

– Ci, którzy zostali ostrzeżeni jeszcze wcześniej, którzy przygotowali się na to – odparł Ramię. – Badacze nieba od lat już przypuszczali, że może pojawić się wędrowiec, który zniszczy naszą planetę. Po raz pierwszy sformułowano takie ostrzeżenia za czasów Aideny. Potem zaczęły się sekretne przygotowania...

– Aideny? Ale to było pięć pokoleń temu.

– Tak jest. Nasz księżyc Lilith pojawił się na niebie w podobny sposób. Tak przynajmniej mówią starożytne źródła. Teraz zbliża się do nas kolejny wędrowiec, a wraz z nim deszcz meteorów. Tam, gdzie upadną, zniknie znana nam ziemia, lądy i morza. Mamy coraz mniej czasu. Posłuchaj mnie, siostrzyczko. – Stanął przed nią, podniósł rękę i ujął ją pod brodę. Ich spojrzenia spotkały się ze sobą i Ortha poczuła potencjał zgromadzonej w nim Mocy. Lecz Moc ta nie wpływała zeń, by ją pochłoniąć. – Masz dar. Obserwowałem cię od dawna, choć nie byłaś tego świadoma.

– Jestem prorokinią. Do dzisiaj nikt nie kwestionował mych zdolności, nikt nie przeczył temu, co widziałam – odparła z uporem.

– Jesteś najlepsza w tym, co robisz – odparł powoli. – Dlaczego? Odpowiedź na to znajduje się w naszych archiwach. Spędziłaś na zie-

mi wiele żywotów, w czasie których byłaś także Obserwatorem Lustra, siostrzyczko. I w każdym kolejnym żywocie rosła ukryta w tobie Moc. Tak, jak ktoś, kto pracował kiedyś rękami i wytwarzał piękne przedmioty, następnym razem urodzi się obdarzony takimi zdolnościami – większymi niż poprzednio, bo wzbogaconymi o doświadczenie – tak też inne talenty rosną z wcielenia na wcielenie. Tak, jesteś prorokinią, ale wcale już nie potrzebujesz Lustra, którym zwyczaj każe ci się posługiwać. Nigdy nie pozwalano ci w pełni wykorzystać twych możliwości, nie uczono cię tego. Zdziwiłabyś siebie i innych, dokonując tego, co jesteś w stanie dokonać, gdyby tylko otwarto przed tobą właściwe drzwi. – Uśmiechnął się do swych myśli.

– Więc dlaczego Głos nazwała mnie oszustką, sługą Ciemności? – wybuchnęła Ortha. – Skoro ty wiesz o mnie to wszystko, czy można ukryć to przed Głosem?

– Głos nie pozwoliłaby ci zbliżyć się do Lustra, gdyby było to możliwe. Jednak prawo nie pozwala jej na to. Tak, ona dobrze wie, że mówiłaś prawdę, że...

– Więc dlaczego...

– Bo czasami prawda może być Ciemnością. Jak myślisz, co działyby się na świecie, gdyby wszyscy ludzie dowiedzieli się o nadchodzącej zagładzie? Próbowала nie dopuścić do proctwa. Jednak rada Vahal nie dała się zwięść. Teraz musimy przekonać wszystkich, że jesteś szalona, albo że zostałaś uwiedziona przez Ciemność. Nie łudź się, ludzie Głosu nie będą mieli dla ciebie litości. Czeką cię śmierć, spowodowana jakoby przez siły, które niewłaściwie wykorzystawałaś. Rozumiesz teraz, siostrzyczko? Umrzesz jako pierwsza, by można było ukryć to, co oni zrobią, co robią już teraz...

– Czyli co?

– Planują, jak uciec przed zagładą, którą oglądałaś. Spośród milionów żywych istot, ocaleć może ledwie garść... To właśnie jest ich celem. Jeśli rozgłosisz wszem i wobec, że zbliża się zagłada, lecz garstka ludzi może przed nią ocaleć, dojdzie do rozlewu krwi, zbrodni i szaleństwa. Właśnie tego chcą uniknąć. Musisz więc pozostać fałszywą prorokinią. Dzięki temu Głos wygra swą bitwę... a właściwie tylko pierwszą potyczkę.

– Swą bitwę? Przecież nie można rozdzielić Głosu i Ramienia.

Ramię zacisnęło mocniej usta.

– Od kilku lat ścierają się ze sobą dwa poglądy. Ich propozycja jest całkiem racjonalna. Nie możemy uratować wszystkich na tym świecie. Nie wszyscy też przyjmują do wiadomości, że zniszczenia będą tak straszne, tak wielkie. Jeśli ktoś przeżyje, będziemy potrzebować ludzi

wyszkolonych, obdarzonych takim talentem, jak ty. Posiadasz siłę, z której nie zdajesz sobie nawet sprawy. Wykorzystując całą dostępną nam wiedzę, próbowaliśmy wyszukać na planecie miejsca, których nie dosięgnie niszczycielska moc. Właśnie takie miejsce znajduje się w pobliżu świątyni. Chciałbym, żebyś je dla mnie odszukała...

– Odszukała? – powtórzyła Ortha ze zdumieniem. – Przecież jako Ramię Mocy musisz już o nim wiedzieć!

Ramię zmarszczył brwi.

– A jednak nie wiem. Stałem w opozycji do pewnych planów. Nie mogliśmy się zgodzić co do tego, kto powinien zostać ocalony. Niedawno odkryłem, że zostałem oszukany, że pokazywano mi fałszywe schronienie, bowiem Głos przekonała innych do zmiany planów. Jednak przy pomocy takiej prorokini, jak ty, która może wędrować przez przyszłość i przeszłość, mógłbym odszukać prawdziwą kryjówkę. Możesz zajrzeć w przyszłość, zobaczyć tych, którzy przeżyją, miejsce, w którym się schronili. Wtedy ja wraz z tymi, którzy są ze mną, dołączymy do nich. To prawda, że zniknie wszystko, co teraz znamy. Czyż więc ci, którzy wiedzą, jak posługiwać się Mocą, nie powinni przekazać swej wiedzy innym?

Pomyślała, że Ramię mówi o tym, co rzeczywiście uznaje za sprawę najwyższej wagi. Rozumiała także, dlaczego uważa ją za klucz do realizacji swych planów. Jednak fakt, że tutaj, w samym sercu Mocy, doszło do rozłamu, był czymś przerażającym, czymś niewyobrażalnym. Ortha próbowała uciec przed tą myślą, tak jak uciekałaby przed jednym z tych potworów, które wynurzały się z Ciemności, gdy słabły bariery wzdłuż którejś z linii Mocy.

– Zapewni to bezpieczeństwo nie tylko tobie siostrzyczko, ale i innym, wielu innym – powiedział łagodnie, jakby pewien już zwycięstwa. – Wśród nich są także ci, którzy zostali obdarowani wielkim talentem. Czy nie rozumiesz, że jeśli świat pogrąży się w Ciemności, którą widziałas w Lustrze, ktoś będzie musiał poprowadzić ocalałych z zagłady, nauczyć ich na nowo sztuki życia?

– Ale ja widziałam... – Ortha pokręciła głową. – Z pewnością nikt nie przeżyje tego, co widziałam w lustrze.

– Wcale nie jest to takie pewne. – Jeśli dręczyły go jakiegokolwiek wątpliwości, nie okazywał tego. – Powstanie nowy świat, a kto nadaje się bardziej do sprawowania władzy niż ci, którzy potrafią przyzywać Moc, mogą z niej czerpać dzięki wrodzonej sile? To już zostało przez kogoś przewidziane...

Ortha zeszytniała. Proroctwo dokonane przez kogoś innego? Tutaj, w świątyni? Dlaczego o tym nie wiedziała? Jej własny talent,

nawet gdyby nie była wtedy obecna przed Lustrem, ożyłby natychmiast w odpowiedzi na wysiłki kogoś, kto próbowałby kroczyć tą samą ścieżką co ona. Lustró... kto mógłby używać Lustra prócz niej samej? Wiadomo było przecież, że każda prorokini jednoczy się z Lustrem aż do końca swych dni. Kiedy odchodzi, Lustró pęka. Potem należy przygotować nowe Lustró i połączyć je z tym, kto zajmie miejsce prorokini na trójnogim stołku.

– Kto to widział? – spytała ostro, z rozpaczą i gniewem.

Ramię roześmiało się cicho.

– Czujesz się tym dotknięta? Tak, zawsze porusza nas myśl, że oto pojawił się rywal. Nie, nikt nie prorokował w tej świątyni. Jednak na południowym kontynencie jest prorok, który potajemnie zaglądał już kilkakrotnie w przyszłość, zarówno dla mnie, jak i dla Głosu. Nie wszyscy ludzie zginą w katastrofie. Jesteśmy gatunkiem, który wiele może przetrwać. Niektóre okręty zdołają uciec przed sztormem, jeśli nawet załoga straci nad nimi kontrolę i zda się na łaskę morza i wiatru. Niektórzy ludzie przeżyją w jaskiniach. Gdy ucichną żywioły, z ukrycia wyjdzie garść istot naszego rodzaju. Wyjdą na świat tak dziwny, że wielu z nich ogarnie szaleństwo, zapomną o swym dziedzictwie, upodobnią się bardziej do zwierząt niż ludzi. Będą jednak i tacy, którzy powrócą przygotowani, zdolni zachować swe człowieczeństwo, i to oni udowodnią raz jeszcze, że możemy panować nad czasem, lądem i morzem... To właśnie ci będą rządzić światem, siostrzyczko. Kiedy wyjdą ze swych kryjówek, będą potężniejsi, niż jesteśmy w stanie teraz to sobie wyobrazić. Możesz znaleźć się wśród nich – tak jak i ja. Jednak tylko wtedy, jeśli odkryjesz miejsce ich schronienia.

Obrócił nagle głowę, spojrział na zamknięte drzwi celi. Usta zacisnęły mu się w ponurym grymasie, oczy wypełnił chłód. Spojrział ponownie na Orthę, położył dłonie na jej ramionach.

– Mamy bardzo mało czasu – zasyczał jak wąż gotowy do walki. – Będziesz mi służyć, chcę tego. Chodź!

Ponownie spojrział na drzwi. Potem wypuścił ją z rąk tak nagle, że Ortha omal się nie przewróciła.

– Zrobisz to, co ci każę – powiedział, podkreślając każde słowo. Jego oczy zapłonęły oślepiającym blaskiem, światło przenikało do jej umysłu, naginało jej wolę...

Przez moment stał w bezruchu, gromadząc energię, gotów zniszczyć wszelki opór, jaki mogła mu stawić. A Ortha odkryła, że rzeczywistość może się bronić, choć była to bariera chwiejna i niepewna...

– Gwennan... – Czy wypowiedziała to dziwne imię na głos, czy też tylko w myślach? Ta druga osobowość stawała się coraz silniejsza.

Wolna była od zagrożeń świata Ramienia. Przybyła z dalekiej przyszłości, nie znała Mocy, miała własnych, obcych, dziwnych strażników.

Z pewnością Ramię pokonałby ją wreszcie, ale okazało się, że nie ma czasu. Znów zaczął nasłuchiwać. Potem, z grymasem niezadowolonia na twarzy, podszedł szybko do wyjścia, wymknął się na zewnątrz. Ortha usłyszała głuchy huk zasuw po drugiej stronie drzwi. Znów była uwięziona. Może odrzuciła jedyną szansę na uwolnienie? Jednak wszystko to, co powiedział jej Ramię, było tak dziwne, że nie mogła mu uwierzyć.

Objęła się ramionami, pochyliła do przodu, jakby chciała się zwinąć w kłębek.

W zatęchłym powietrzu celi pojawił się nowy zapach – przybierał na sile z każdym jej oddechem. Wiedziała, co się dzieje. Zjawia się tutaj stworzenia, które nawiedzały linie Mocy – nie w tym świecie, na innej płaszczyźnie. Potwory, dzieci Ciemności. Podczas szkolenia widziała kilka takich stworzeń. Zawsze jednak stał obok niej ktoś, kto miał nad nimi władzę – mogła je zobaczyć, ale była bezpieczna.

Smród stawał się coraz silniejszy. Ortha spojrzała ze strachem na drzwi. Wyobraźnia podpowiadała jej, co czai się po drugiej stronie. Być może było tam nawet kilka tych stworzeń. Przybywszy na ten świat, zabijały, okaleczały, szerzyły grozę, o której Ortha wołała nawet nie myśleć.

Została porzucona, pozostawiona w tej najniższej części świątyni, by stać się ich łupem – czy tak właśnie miała wyglądać jej kara? Wolałaby już zostać uśmiercona przez Moc! Z pewnością Głos nie była aż tak okrutna!

Ortha nie mogła się już dłużej łudzić. Zza drzwi dochodziły jakieś szmery i powarkiwania, nie tłumiła ich nawet gruba warstwa desek. To coś szukało ofiary... Ortha wbiła palce w swe ciało, zacisnęła je mocno. Dlaczego Ramię odszedł i zostawił ją na pastwę tego potwora... skoro była dlań aż tak ważna? Stworzenia z innego świata nie stanowiły dlań żadnego zagrożenia.

Bezszykownie usiłowała przypomnieć sobie Słowa Posłania. Nie wierzyła, by stworzenia Ciemności mogły działać bezkarnie w takim miejscu.

Chyba że rozpoczęła się już zagłada świata. Być może linie i ścieżki Mocy zostały już przerwane, jej przepływ zatrzymany. Wiadomo, że energia świata zawsze przyciągała potwory, że ich inwazję powstrzymywał precyzyjny system ochronny, korzystający z tej samej energii. Czasem jednak podczas burz z piorunami system zawodził, bramy otwierały się na moment, a świat nawiedzały potwory...

Głośne walenie do drzwi wyrwało Orthę z rozmyślań. Potwory nie potrafiły sforsować zamka, chciały więc po prostu wyważyć drzwi. Większość z nich była pozbawiona inteligencji, gdy jednak ulegały Ciemności, budziły się w nich nowe talenty, nowe pragnienia i potrzeby.

Ortha zmagala się przez chwilę z obezwładniającym strachem. Musiała wykorzystać wszelkie dostępne jej środki obrony. Zaczęła recytować formułę egzorcyzmu, ale jej głos drżał i załamywał się za każdym razem, gdy coś uderzało w drzwi. Nie była w stanie skierować ręki na drzwi i posłać tam oczyszczającego ładunku ognia, jak zrobiliby to Głos i Ramię. Nie, ona mogła jedynie otoczyć się niewidzialnym murem.

Drzwi zadrżały pod kolejnym ciosem, straszliwy smród zatykał jej usta, przyprawiał o mdłości. Nie miała większych szans na przetrwanie, a jednak uparta natura kazała jej walczyć.

Na powierzchni drzwi pojawiło się pierwsze pęknięcie, widziała je wyraźnie nawet w tym półmroku. Potem rozległ się krzyk, krzyk który nie mógł pochodzić z ludzkiego gardła, przypominał raczej wycie wilka ginącego w męczarniach. Obok paskudnego odoru pojawił się inny zapach – ostry zapach ozonu, a także woń palonego ciała i sierści. Znów to przerażające wycie, a potem głośny trzask.

Po skórze Orthy przebiegł dreszcz, włosy stanęły jej dęba. Znów usłyszała, jak ktoś podnosi rygiel, otworzyły się drzwi.

Czy to Ramię? Ortha była pewna, że znów ujrzy jego triumfującą twarz, twarz zwycięzcy, który przegnał potwory Ciemności. Postać była szczelnie owinięta płaszczem, jej twarz zakrywał kaptur. Szybko wsunęła się do środka, zatrzasnęła drzwi i oparła o nie plecami, jakby czyniąc ze swego ciała dodatkową zaporę.

Gościa otaczała aura rosnącej Mocy. Tylko ktoś, kto miał pełną władzę nad Mocą i niedawno ją wykorzystał, mógł tak nią emanować. Tajemnicza postać odrzuciła niecierpliwym gestem kaptur i odsłoniła swą twarz.

Najpierw Ramię – a teraz Głos!

Ortha podniosła się z trudem ze swego miejsca. Była bardzo słaba, jak zawsze, gdy wracała po dłuższej sesji przed Lustrem. Nie chciała jednak, by widziano, jak drży, jak ślania się ze zmęczenia. Zdołała nawet podnieść rękę w geście pozdrowienia i czci dla kobiety, która stała kilka kroków dalej, dysząc ciężko po wyczerpującej walce.

– Wysoko stoi nasza Matka Słońce – powiedziała Ortha. – Błogosławiony niech będzie jej Głos. Światło przeciw Ciemności wstanie i wielkie będzie jego zwycięstwo.

Głos pochyliła lekko głowę.

– Błogosławiony niech będzie...

Ortha znalazła gdzieś w głębi swej istoty nową siłę, być może zrodzoną z gniewu i poczucia niesprawiedliwości – a może należąca do tej innej osoby, do Gwennan.

– To pozdrowienie nie przystoi komuś, kto chodzi ścieżkami Ciemności. Czyż nie spotkałaś istoty z zewnątrz, która była zapewne moim sługą i miała mnie wyzwolić?

Głos raz jeszcze zaczerpnęła głośno powietrza i podniosła rękę. Nie było to jednak powitanie, lecz gest zniecierpliwienia, jakby odganiała natrętną muchę.

– Czasami trzeba poświęcić jednostkę dla dobra ogółu. – Odsunęła się od drzwi, ruszyła do przodu. – To, co ujrzałaś w Lustrze, było prawdą.

– I dlatego, że ją zobaczyłam, czekam tu teraz na śmierć? Czy to właściwa nagroda za ujrzanie prawdy, Głosie, która zwiesz się Prawdziwą Córką Matki, sługą wszelkiej Mocy? – Jeszcze przed chwilą Ortha nie uwierzyłaby, że będzie miała dość siły i odwagi, by wypowiedzieć podobne słowa.

– Widziałas śmierć świata. Ilu spośród tych, którzy cię słuchali, a byli to ludzie obdarzeni wiedzą i doświadczeniem, talentem i odwagą, jak myślisz, ilu spośród nich mogłoby uwierzyć w to, co mówiłaś i pozostać prawdziwymi przywódcami swego ludu aż do dni ostatecznych? Nasz rodzaj jest niedoskonały. Wciąż obawiamy się śmierci, boimy się jej, choć widzieliśmy znaki świadczące o tym, że śmierć to nie koniec, lecz nowy etap na drodze życia. Pocieszamy się tą myślą, ale wciąż pozostaje w nas ziarno strachu i niewiary – a to ziarno może tak się rozrosnąć, że przytłoczy, złamie ducha ludzi, wprawi w obłęd. Członkowie rady z Vahal mają między sobą kogoś, kto dzięki Mocy głosi prorocтва, choć nie patrzy w Lustro. Przybyli tutaj, by dowiedzieć się, czy to prawda, co słyszeli o przyszłości i przeszłości. Mieli prawo domagać się od ciebie prorocтва, nie mogliśmy im tego odmówić. Słowa ich wyroczeni były tak niejasne, tak fragmentaryczne, że próbowaliśmy włożyć w nie inną treść, mieliśmy nadzieję, że to im wystarczy. Nie można jednak zmienić tego, co pokazuje Lustro.

– Ale można oczernić mnie, ogłosić, że oszalałam albo zostałam zwiedziona przez Ciemność! – przerwała jej Ortha. – Tego nie mogę przebaczyć i nie przebaczę nawet komuś, kto jest pełnym naczyniem Mocy! – Gniew wypełnił ją bez reszty, przegnał strach. Oni rzeczywiście prowadzili swoje prywatne gierki – ci, w których wierzyła, których považala, którzy, jak jej się zdawało, zawsze mówili prawdę –

inaczej bowiem zostaliby zniszczeni przez własną Moc. – Dlaczego nie spalisz mnie teraz swoim płomieniem? A może wzbudziłoby to podejrzenia innych, którym nie możesz już tak łatwo zamydlić oczu? Albo wolisz zmusić mnie do wyznania nieprawdy, pokazać wszystkim, którzy mnie słyszeli, jaka jestem szalona? Uczono nas, że jeśli wykorzystamy Moc do własnych celów, zginiemy. Zabij mnie więc, Głosie... Czy będziesz potem cierpieć za ten czyn? Czy też jest to tylko jeszcze jedno kłamstwo? Co teraz jest prawdą?

Spodziewała się, że ujrzy na jej twarzy grymas gniewu. Nikt nie przemawiał w ten sposób do Głosu. Głos była ponad wszystkimi ludźmi świata – tak jak jej Matka Słońce była ponad ziemią. A jednak Ortha ośmieliła się ją oskarżyć. Powinna ją za to spotkać natychmiastowa śmierć. Pamiętała poprzednie śmierci. Niektóre były trudne, lecz strach i ból nie trwały długo.

– Co on ci powiedział? – Ortha wiedziała, że Głos pyta o Ramię.

– Że są kryjówki, w których wybrani przetrwają koniec świata, by ponownie rozpocząć życie w nowym. Jedna z nich jest gdzieś tutaj.

– To prawda – odpowiedziała Głos beznamiętnie. – Ale nie przyszedł tutaj tylko po to, by ci o tym powiedzieć.

– Nie, chodziło jeszcze o coś innego. Uważał, że pokazano mu fałszywe schronienie, że istnieją dwa różne poglądy dotyczące życia w przyszłości – jeśli w ogóle jest jakaś przyszłość.

Głos splotła dłonie. Ortha widziała siłę ukrytą w tym geście, choć twarz kobiety nie zdradzała żadnych emocji.

– To także jest prawdą – zgodziła się. – Niektórzy z nas wierzą, że Moc jest większa od tych, którzy jej ufają; że mogą ją wykorzystać, by w przyszłości narzucać innym swą wolę. Zagładę ziemi przetrwa tylko garstka ludzi. Wielu z nich postrada zmysły. By przeżyć, odsuną od siebie pamięć minionych dni, odgradzą się od niej. Sama Moc także ulegnie zaburzeniu, zmieni się sieć jej linii. Ci, którzy przetrwają, mogą się bać tego, na czym kiedyś polegali, mogą zatracić wszelką wiarę. Powstaną narody, które nie będą wiedziały nic o wielkiej przeszłości. Wielu ludzi zniży się do poziomu zwierząt, chętnie odda się Ciemności, ucieknie od światła, które ich zawiodło. A ci z nas, którzy będą nieśli brzemień pamięci, powinni zostać nauczycielami, nie władcami. Nie będziemy mogli działać swobodnie, gdyż uznają nas za bogów. Żyjąc z dala od siebie, zaczniemy pielęgnować pamięć o przeszłości, przekazywać ją tym, którzy zachowują otwarte umysły. Nastaną czasy grozy, czasy smutku. Niektórzy z naszych uczniów będą przesładowani, zginą z rąk własnych pobratymców, niektórzy wykorzystają tę wiedzę dla własnych celów i ambicji, będą chcieli kontrolować

za jej pomocą innych, rządzić nimi. Doznamy wielu porażek. Tak, niektórzy słudzy świątyni przetrwają zagładę, nie po to jednak, by zostać królami i bogami...

– I to jest właśnie kwestia, która was poróżniła? Dlatego zostałam zhańbiona, usunięta z waszej drogi...

– On przyszedł do ciebie. Jest jednym z tych, którzy chcieliby zostać bogami. Wykorzystałby twój dar prorokowania...

Ortha zachwiała się, nie ze zmęczenia ani ze strachu, lecz dlatego, że podłoga pod jej stopami przekrzywiła się niczym brzeg rzeki podmyty wodą. Usłyszała krzyk tak głośny, że dotarł do niej nawet przez grube kamienne ściany. Głos otworzyła drzwi i puściła się biegiem, porzucając płaszcz, który krępował jej ruchy. Nie zatrzymała się nawet wtedy, gdy ogromny głaz, który oderwał się od sufitu, runął na ziemię, mijając o włos jej ramię.

8

Drzwi celi stały otworem. Ziemia znów zakołysała się pod nogami Orthy. Czy zagłada, którą ujrzała w Lustrze, była tak bliska? Czy pierwszy z gigantycznych głazów uderzył już w ziemię – czy też świat, przeczuwając bliską śmierć, zaczął odpowiadać własnym strachem na siłę emanującą z największego spośród kosmicznych wędrowców?

Tak, drzwi stały otworem...

Ortha zmobilizowała resztki sił i ruszyła w stronę tej drogi do wolności, rozkładając przy tym szeroko ręce, jakby stąpała po wąskim mostku, który w każdej chwili może się zawalić. Minęła otwarte drzwi, które zamknęły się za nią, jakby pchnięte niewidzialną ręką.

Ziemia znów zadrżała, a z sufitu posypały się kamienie. Jeden z nich uderzył Orthę w ramię, aż krzyknęła z bólu. Obolała, z bezwładną ręką, szła jednak dalej. Przed nią rozciągał się labirynt korytarzy, zupełnie jej nieznanymi. Kiedy prowadzili ją do celi, była zbyt oszołomiona, by zwracać uwagę na otoczenie.

Lampy pod sufitem przygasły. Ortha wiedziała, że będą świecić, dopóki nie zostaną przerwane linie Mocy. Przynajmniej nie utknęła w ciemnościach, choć i tak wybierała drogę na chybił trafił, nie miała bowiem pojęcia, którędy wydostać się na zewnątrz.

Za zakrętem korytarza były inne drzwi, niektóre także otwarte, być może w wyniku trzęsienia ziemi. Skałami poruszały kolejne wstrząsy, coraz silniejsze, i Ortha kilka razy musiała oprzeć się zdrową ręką o ścianę, by nie stracić równowagi.

Strach pchał ją naprzód... Nie zamierzała się poddać, dać się zamknąć w tej pułapce, jeśli istniał choć cień szansy na przetrwanie. Wreszcie natrafiła na schody i powoli, stopień po stopniu, zaczęła wspinać się na górę. Odkąd opuściła celę, nie widziała ani nie słyszała nikogo. Może sama została w tych czeluściach? Drgania ustały na jakiś czas, jednak Ortha była pewna, że lada moment powrócą.

Z góry dochodziły ją teraz jakieś dźwięki, krzyki ludzi przejętych straszną grozą, a równocześnie huk spadających kamieni, być może nawet całych ścian. Nie widziała, dokąd idzie, przed oczami miała obraz zagłady ukazany jej przez Lustro. Wkrótce nadejdzie ogromna fala...

Jej zranione ramię wciąż pozostawało bezwładne, a gdy dotknęła nim przypadkiem ściany, przeszył ją ból tak straszliwy, że nie mogła pohamować łez. Jeśli tej części pałacu pilnowali jacyś strażnicy, to z pewnością uciekli, gdy ziemia zadrżała po raz pierwszy. Ortha pocieszała się myślą, że światła wciąż płoną – Moc wciąż opływała świątynię.

Wreszcie opuściła podziemia, weszła do holu i oparła się plecami o ścianę. Czuła się tak, jakby to był sen wywołany przez Lustro, sen, w którym pełniła tylko rolę biernego obserwatora.

Pod przeciwną ścianą leżało jakieś ciało, zwrócone twarzą do ziemi. Złoty płaszcz świątynnego sługi nie mógł ukryć rosnącej kałuży krwi, która pokrywała coraz większy obszar dziewiczo białego kamienia. Od kałuży odchodziły krwawe ślady ogromnych szponów.

Ortha nie mogła powstrzymać mdłości. Zwymiotowała. Te ślady świadczyły o tym, że ziemia padła ofiarą nie tylko siły żywiołów – zabezpieczenia linii Mocy musiały ulec zniszczeniu, wpuszczając potwory z zewnątrz.

Ruszyła naprzód, opierając się zdrową ręką o ścianę, trzymając się z dala od tych przerażających śladów. Teraz czuła już napastnika, ten odrażający smród... Musiała przejść obok martwego ciała, by dotrzeć do następnych drzwi.

Wreszcie znalazła się w dobrze jej znanych korytarzach. Skierowała się w stronę wielkiego holu – do Lustra. Było to jedyne bezpieczne dla niej miejsce...

Czy na pewno? Nie widziała innych ciał. Świątynia, która była całym miastem z ogromną liczbą sług, wydawała się teraz zupełnie opuszczona. Ortha weszła powoli do Niebiańskiego Holu.

Puste złote trony, Lustro...

Ortha krzyknęła i upadła na kolana. Ranione ramię zapłonęło bólem tak ostrym, że przez chwilę nie mogła złapać oddechu. Lecz to, co

zobaczyła, było gorsze od jakiegokolwiek rany. Trójnogi stołek leżał przewrócony, przed nim kołysała się rama Lustra. Jednak lśniąca tafla, w którą patrzyła tak wiele razy, zniknęła. Zostały po niej tylko odłamki, skrawki szkła rozrzucone po podłodze.

Serce biło jej nieregularnie, gdy próbowała złapać oddech i wypowiedzieć Słowa Odejścia. Lustro było martwe. Cóż jej teraz pozostało?

Właśnie wtedy odkryła, że to, co Głos mówiła o ludzkości, było prawdą, że jakaś jej część wciąż pragnęła oddychać, ruszać się, żyć nadal. Podpełzła na kolanach do przodu, wyciągnęła zdrową rękę i dotknęła odłamków szkła. Ostra krawędź ukłuła ją w palec, widziała, jak kropla krwi odrywa się od niego i spada na podłogę. Robiło się coraz ciemniej – niebo zasnuwała gruba warstwa chmur. Umierającej Ziemi nie oświetlała już Matka Słońce, ale nie była to jeszcze noc. Potem w ciemność wdarła się fontanna ognia – daleka, lecz tak ogromna, że jej płomienie oświetliły całą okolicę.

Ortha przypomniała sobie wizję Lustra. Tak właśnie pękały góry, by wypłuć ogień ze swego wnętrza. Za pierwszym słupem ognia pojawił się następny. Do holu wdarł się obłok szarego pyłu, zatykał nos i oczy, pokrywał skórę warstwą żrącego, gorącego popiołu.

Znów usłyszała krzyk, dochodzący z miasta poniżej. Jego mieszkańcy, oszaleli ze strachu, szukali schronienia, ale nic nie mogło uchronić ich przed zagładą. Któż mógłby przetrwać, skoro umierała cała planeta?

Odsunęła się od rozbitego Lustra, symbolu jej złamanego życia. Kiedy dotrze tu ogromna fala, morze wyrwane ze swego łoża?

Czy Głos już dotarła do tego schronienia, o którym mówił Ramie? Bardzo wątpliwe. Niepotrzebnie oszukiwali się nawzajem. Ortha roześmiała się i zaczęła pełznąć dalej, docierając do stopni prowadzących na tron. Światła na ścianach, które zapłonęły, gdy nad światem zapadła ciemność, teraz ledwie się żarzyły – one także umierały. Czy zanikająca Moc objawi po raz ostatni swoją obecność w tym właśnie miejscu, na przecięciu wszystkich najważniejszych linii?

Moc – żyła z niej i dla niej. Jej własny talent nie wystarczał do tego, by ją kontrolować, mogła tylko odwołać się do niej jako do źródła, które obdarzało ją wizją. Lustro było zniszczone, jej talent martwy.

Pochwyliła się poręczy tronu Głosu. Jakże często stała na sali podczas Hymnu Wieczoru czy Hymnu Pierwszego Światła Dnia i patrzyła na Głos wzmacniającą to, co dobre i właściwe, powstrzymującą Ciemność. Ortha zdołała jakoś wstać i ciężko opadła na tron. Prowo-

kowała w ten sposób resztki Mocy, wyzywała je. Czyż pozbawiona Lustra i tak nie była już martwa? Niech Moc spali ją na pył za to świętokradztwo, to będzie szybszy, lepszy koniec niż odroczone śmiertelne oczekiwanie na ten ostatni najstraszliwszy widok – ogromną falę nadchodzącą z wschodnich gór.

W powietrze wystrzeliła trzecia kolumna ognia. Dym wdarł się do ust, przysparzył ją o kaszel, wypełniał bólem gardło i płuca, niemal oślepił zażawione oczy. Pochyliła się do przodu i opuściła powieki.

Ryk szalejącego ognia był coraz głośniejszy. Cała świątynia znów zachwiała się w posadach. Ortha usłyszała huk spadających kamieni. Nie otworzyła jednak oczu.

– Zabierz mnie... – Nie zdawała sobie sprawy, że wypowiada te słowa, dopóki nie poczuła ruchu swych ust, nie mogła bowiem słyszeć niczego prócz ryku ognia. – Zabierz mnie... teraz...

Zaczęła powoli odtwarzać rytuał, którego ją nauczono, otwierając umysł, jak zrobiłaby to, siedząc przed Lustrem. Uniósłszy powieki, wpatrzyła się w wirujący pył, jakby miał jej zastąpić jego lśniąca powierzchnię.

W jej wnętrzu budziła się nowa siła, siła, której nie rozumiała. To nie była moc Lustra – pulsowała we wnętrzu jej kruchej ciała, napierała na jej kości, jakby chciała rozerwać ją od środka. Ortha kaszlała niemal bez ustanku, wdychając zatrute powietrze. Czuła, jak do jej ust napływa gęsta ciecz. Wypływała ją mimowolnie, znacząc szare od kurzu powietrze szkarłatnymi liniami. Coś wpychało się do jej mózgu – parło naprzód, parło...

Ciałem Orthy wstrząsały dreszcze. Jęczała, nie słysząc swego głosu. Kurz utworzył zasłonę oddzielającą tron od reszty świata. Na jej powierzchni zaczęło poruszać się coś, co nie pochodziło z niej, co zostało wezwane przez tę nową, zrodzoną w niej siłę.

Znów patrzyła na śmierć świata, choć nie był to obraz tak wyraźny, jak ten objawiony w Lustrze. Nie mogła jednak zamknąć oczu i odegnąć go od siebie – gdyż to, co widziała, przychodziło z niej, było jej częścią.

Śmierć – wszędzie śmierć. Woda, która odsunęła się od płonących wysp, od słupów ognia wyrastających wprost z powierzchni morza. Góry rodzące się na jej oczach. Lasy spalone na popiół, rzeki osuszone z wody lub przesunięte w inne miejsce, jakby jakaś gigantyczna ręka oderwała te niebieskie wstążki od ziemi i przerzuciła je gdzie indziej. Z nieba wciąż spadał deszcz mniejszych wędrowców. Potem pojawił się największy intruz – martwy, pokryty kraterami glob, zwiastun załudy.

Czas stanął w miejscu, nie było dni ani nocy, godzin odliczanych świątynnymi dzwonami – tylko mroczna śmierć widniała wymalowana na zasłonie dymu i kurzu.

Nagle przez zasłonę przedostała się jakaś postać. Ciało okryte miała resztkami spalonej odzieży, wbijała poczerwiałe palce w podłogę, pełznącą powoli w jej stronę. Ortha zobaczyła zwróconą ku sobie twarz ze smugami krwi. Ten widok obudził w niej jakieś odległe wspomnienie. Ramię – ten, który próbował ubić z nią interes, wydobyć od niej sekret, którego nie znała...

Tymczasem na powierzchni zasłony zaszła zmiana. Zniknął obraz śmierci i zniszczenia. W jego miejscu pojawił się nowy obraz – korytarz o kamiennych ścianach, drzwi okolone belkami, które tworzyły na obu ścianach symbole, świetliste wzory, żywe, świeże, wypełnione Mocą. Wiedziała, że to właśnie jest przygotowane wcześniej schronienie, które wciąż opierało się sile zniszczenia.

Ramię, ów strzęp człowieka, spojrział na wywołany przez nią obraz, oparł poparzone ręce na poręczach tronu. Jego twarz znalazła się tuż nad twarzą Orthy, jego oczy płonęły jasno jak ogniste góry za świątynią.

Poruszał ustami, być może krzyczał coś do niej, lecz ona go nie słyszała. Nie słyszała, ale rozumiała. Chciał nagiąć jej wolę do swych celów, wykorzystać ją tak, jak ona wykorzystywała Lustro. Miała pomóc mu dotrzeć do tego miejsca.

Wysysał z niej resztki Mocy. Jego oczy stawały się coraz bardziej bezwzględne – być może wypowiadał jakieś zaklęcia, których nie słyszała. Rozkazywał, zmuszał ją...

Próbował osiągnąć to, co wydawało jej się niemożliwe – przenieść się siłą woli i dzięki energii, którą z niej czerpał, do miejsca schronienia.

Teraz był już tylko cieniem człowieka – słabym niczym jesienny liść, który zbyt długo trzymał się gałęzi. Potem skurczył się, skruszył niczym gliniana figurka, zniknął. Ortha nie wiedziała, czy osiągnął to, co chciał. Zasłona kurzu i dymu wirowała w powietrzu, pozbawiona wszelkich obrazów.

Ortha miała wrażenie, że oślepla, jej umęczone oczy przesłaniała czerwona mgła. Była sama, zupełnie sama, pozbawiona wszelkiej energii i talentu – cielesna powłoka opróżniona ze wszystkiego, prócz nikłej iskry życia, która nie chciała jej opuścić. Zapłakała, łzy paliły jej policzki. Nie zostało jej nic, prócz...

Być może to właśnie łzy oczyściły na moment jej wzrok i pozwoliły ujrzeć obraz ostatecznej zagłady. Zobaczyła nadchodzącą falę – coraz wyższą i wyższą, sięgającą do świątyni...

Nie została jednak porwana przez pędzącą wodę. Nie była Orthą! To tylko sen, straszliwie realistyczny koszmar. Gwennan otworzyła oczy. Znajdowała się w domu, leżała we własnym łóżku, w ciepłe i spokoju.

I wówczas obok siebie zobaczyła stojące kamienie.

Krzyknęła.

U podnóża pagórka, na którym się schroniła, stały potwory. Był tam okryty sierścią człowiek, było też monstrum z głową sowy i skrzydłami. Oczy płonęły mu jak rozżarzone węgle, a otwarty dziób ukazywał ostre kły. Rozpostarte ramiona potwora, z których wyrastały szerokie skrzydła, zakończone były szponami, długimi, zakrzywionymi, przerażającymi.

A więc nie wróciła do rzeczywistego świata – wróciła do miejsca, w którym zmagali się ze sobą łowca i łowczyni. Wciąż tutaj byli, patrzyli na nią, jakby nie opuściła ich ani na moment.

Gwennan czuła się tak dezorientowana, że zamknęła oczy i otworzyła je dopiero po chwili. Podniosła rękę do obolałej głowy. Dotyk wisiora, który wciąż trzymała w dłoni, był ciepły, kojący. Nie rozumiała, co się z nią dzieje.

– Wędrowcze – przemówiła kobieta, która mogła być lady Lyle, która z pewnością była niegdyś Głosem. Mogła być przyjacielem lub wrogiem, a Gwennan bała się jej zaufać. – Od ciebie zależy rozwój dalszych wypadków. – Podniosła włócznię i wskazała nią na wisior.

– To prawda – przytaknął mężczyzna. – Teraz musisz przechylić szalę albo na tę stronę – wskazał ręką na siebie i na swoją świętą – albo na tę. – Wskazał na kobietę. Przez cały czas uśmiechał się, jakby był przekonany, że nic nie stanie na drodze do realizacji jego celów. – Moja droga krewniaczka wierzy...

Przerwało mu głośnie szczeknięcie jednego ze złotych psów. Gwennan miała tak zaprzątniętą uwagę łowcą i jego potworami, że nie zauważyła, gdy gromada psów przesunęła się do przodu. Przeszły pomiędzy kępami szarych kwiatów, zostawiając ślady na złotym piasku, i usiadły półkolem u podnóża pagórka, odgradzając ją od grupy potworów.

Łowca roześmiał się głośnie.

– Czyżbyś chciała wykorzystać takie moce przeciwko mnie? – spytał kobiety. – A może uważasz, że już ją przeciągnęłaś na swoją stronę... – Wskazał głową na Gwennan.

Po raz pierwszy, odkąd przebudziła się z koszmaru Orthy, Gwennan przemówiła:

– Nie wiem, jaką grę tu toczycie... – Głos jej zabrzmiał nienaturalnie głośnie. Wisior, który trzymała teraz pod samą szyją, emanował

cieplem, żarem, który oczyszczał jej umysł. – Nie wiem, jak tu przybyłam, ani dlaczego. Ale nie jestem przyjacielem żadnego z was.

Patrzyła na kobietę wyzywająco. Nie, nie przyzna, że którykolwiek z tych ludzi może mieć nad nią jakąkolwiek władzę! Potrzebny był im wisior albo ta druga jej istota, przynajmniej dopóki odpowiadała na jej wezwania.

Odpowiadała? Tak jak Lustro odpowiadało na wezwania Orthy? Nie, nie będzie o tym myśleć. Musi pogrzebać to głęboko, skupić się na tym, co działo się teraz.

– Cóż... – mężczyzna przeciągnął to słowo. – Być może masz rację, cudzoziemko. Nasza gra, jak ją nazwałaś, nie jest przeznaczona dla ludzi o tchórzliwym sercu. Ale ta gra ma sens, zapewniam cię. – Klasnął otwartą dłońią u do.

Stworzenie z twarzą sowy przypadło do ziemi, zwróciło się ku najbliższemu z psów. Jego dziób otwierał się i zamykał z głośnym trzaskiem, szpony rozcapierzyły się groźnie. Pozostałe potwory postąpiły o krok do przodu, nawet zielone światło jakby przybladło, poszarzało.

– Wasza gra! – parsknęła kobieta. Wyprostowała się w siodle i spojrzała na Gwennan. – Jesteś tu obca – powiedziała powoli. – Nie masz wiedzy ani doświadczenia, które mogłyby cię prowadzić. Jak więc możesz nas osądzać, nie znając zwyczajów i praw tego świata? Pomyśl o tym! Pomyśl... – Podniosła włócznię i wskazała nią na pokrytego sierścią humanoida, który w odpowiedzi obnażył kły i warknął na nią. – Nadszedł czas przebudzenia – kontynuowała. – Tak długo światem rządziła ignorancja, wielu spośród starej rasy wołało zapomnieć o grozie ciemnych dni. Niektórzy z nich płacili krwią za pomoc fałszywych bogów. Wyrwali serca istotom własnej rasy, wierząc, że zjedną sobie w ten sposób łaskawość bogów zemsty, zrodzonych tylko w ich przerażonych umysłach. Rzucali własne dzieci w świątynny ogień, zabijali wszystkich, w których mieszkała prawdziwa Moc, którzy chcieli wykorzystać ją dla dobra innych. Świat pogrzyżył się w ciemności. Moc została stłumiona, uśpiona. Tylko nieliczni pamiętali, szukali jej – a jeszcze mniej szukało jej dla dobra innych. Albowiem ten, kto potrafi miotać piorunami, może także narzucać innym swą wolę, rządzić nimi żelazną ręką. W mroku toczyła się więc wojna... a czasami Ciemność stawała się naprawdę bardzo potężna... przez nasze zapomnienie...

– A stało się tak – przerwał jej łowca, spoglądając na nią zimnymi jak lód oczyma – bo ty i twoi naśladowcy sami tego chcieliście. Gdyby ktokolwiek z was ośmielił się stanąć na czele ludzkości podczas ciemnych dni, nie zapomniano by o Mocy...

– Nie, stałoby się coś jeszcze gorszego – odparła kobieta. – Moc wymknęłaby się wtedy spod kontroli i nikt nie byłby w stanie wykorzystać jej w dobrym celu. To ona zapanowałaby całkowicie nad tym, kto ośmieliłby się ją przywołać, uczyniłaby zeń niewielnika energii, której nie obchodził los ludzi. Pozostaliśmy przy życiu, by stać się strażnikami, nauczycielami, a nie władcami...

– Na jak długo? – spytał gniewnie mężczyzna. – I w jakim celu? Sama powiedziałaś, że Ciemnośćomal nie zwyciężyła, a czy nie stało się tak dlatego, że pozostawialiście bezczynni? Linie wróciły na swe miejsce, przebiegają tak, jak dawniej. Moc gotowa jest na nasze wezwanie. Gwiezdne koło także się obróciło. Znowu nadchodzi czas próby i jeśli nie wykorzystamy Mocy... tym razem może to być koniec nas wszystkich.

– Mamy dźwigać brzemię i nie śnić o zwycięstwie – odparła kobieta, jakby powtarzając jakąś starą prawdę. – Musimy obserwować, pomagać tam, gdzie należy to czynić... cierpliwie czekać...

Mężczyzna potrząsnął gwałtownie głową.

– Nie, czas wyjść z ukrycia, krewniaczko! Myślisz, że gwiezdne koło będzie zważać na jakiegokolwiek żywe stworzenie? Ma wyznaczony tor i nikt nie może go zatrzymać. Teraz toczy się ku niebezpieczeństwu, a wy chcecie znowu się ukryć, zakopać, czekać na świt, który może nigdy nie nadejść.

– Robimy to, co nam nakazano.

– Nie – uśmiechnął się, jak jeden z jego potworów odsłaniając zęby. – Ja nie składałem waszej przysięgi, pamiętasz? Postanowiliście, że nie będę jednym z was.

– Nawet ty nie możesz uciec przed tym, co ci sądzone z racji twojego urodzenia. – W jej głosie pobrzmiwała nuta znużenia, rezygnacji, nadal jednak bacznie obserwowała swego oponenta, czujna i wyprostowana. – Koło się obraca, lecz tym razem mamy szansę...

– Dla was ta szansa jest jeszcze mniejsza niż poprzednio – uśmiechnął się łowca. – Tym razem zmiana zależy od woli i rozsądku ludzi, nie od kosmicznego wędrowca, ślepego losu. A ludzie, choć można ich kształtować, od urodzenia noszą w sobie skazę. Nie można na nich polegać, zwracają się raz w tę stronę, raz w inną, nawet kiedy wydaje się, że mamy nad nimi kontrolę. Tylko w pełni wykorzystując Moc, można ich powstrzymać. Czy nie mówiłem tego od samego początku?

– I aby dowieść swych racji, wysyłasz w świat takie istoty? – Przez jej twarz przebiegł pogardliwy grymas, gdy wskazała włóczęgą na potwory. – By za ich pomocą straszyć, grozić, wymuszać...

– Zdumiewać, trzymać w ryzach, a nawet pozbywać się groźnych przeciwników. O tak, moją armię można wykorzystać na wiele sposobów. Wystarczy, że jakiś wpływowy człowiek ujrzy jednego z moich sług i powie o tym innym, by przestano mu wierzyć w chwili, gdy jego słowa mogą mieć wielką wagę. Nawet armia może się rozpaść, gdy któryś z mych poddanych pojawi się w jej szeregach i zacznie działać według własnej woli. Ci, którzy potem będą o tym opowiadać, uznani zostaną za szalonych i usunięci ze swych stanowisk – by nadal służyć mym celom. Ludzie dawno już zamknęli swe umysły na pewne rzeczy. Nie wierzą nawet, że nasz świat kiedykolwiek istniał. Stworzyli własne, powszechnie akceptowane legendy – mówią o epokach lodowcowych, o ludziach, którzy byli niegdyś owłosionymi, bezrozumnymi istotami, uzbrojonymi w kamienie i pałki. Nieliczne pozostałości z czasów naszej chwały uważają za fałszerstwa i ukrywają je przy każdej sposobności. Chyba nie zaprzeczysz, że tak właśnie się dzieje? Po części sami jesteście temu winni, zaakceptujcie więc teraz konsekwencje swoich czynów. Ja mogę sprawić, że moje pionki uznają samych siebie za szaleńców, mogę odbudować świat w takiej postaci, w jakiej zechcę, zapobiec temu końcowi czasów na inny sposób. Ale to będzie mój sposób i mój plan. Nie jestem związany żadną przysięgą, która przyćmiewałaby mi wzrok. Przywołałaś ją... – wskazał na Gwennan. – Ja także kiedyś ją znałem, wykorzystałem ją do celu, który wskazał mi jej własny talent. Ten talent mógł zaprowadzić ją na szczyty, lecz wypalił się w niej, zatracił, bo przyjęła twoje nauczanie. Przywołałaś ją, bo w jej żyłach wciąż płynie stara krew, przywołałaś ją, dlatego...

– Dlatego – przerwała mu kobieta ostrym głosem – że żądały tego gwiazdy. Znow znalazły się w miejscu, w którym wykorzystałaś tę kobietę. Zbliży się czas nowego rozliczenia, a ona znow znalazła się w kręgu Mocy, choć sama o tym nie wie. Nie wierzyłeś, że może się tak stać. Może poruszać się swobodnie po ścieżce, którą kroczyłaby tamta, gdyby nie nadszedł wędrowiec. Jest córka gwiazd, zrodzoną w godzinę zagłady. Tym razem z gwiazd nie nadejdzie śmierć, która stanęłaby na drodze jej prawdziwego przeznaczenia.

Z twarzy mężczyzny zniknął wreszcie pogardliwy uśmiešek.

– Kłamiesz!

– Wiesz, że w takich sprawach nie mogę kłamać. To właśnie ona urodziła się we właściwym momencie pod właściwymi gwiazdami...

– Ale dalej już nie zajdzie! – Poruszył ręką. Potwór z głową sowy odwrócił się od psa. Spojrzał na Gwennan, a ona zrozumiała, że szykuje się do ataku. Przywarła mocniej do kamienia, zacisnęła obie dło-

nie na wisiorze. Wypowiedziała w duchu coś, co było prośbą o pomoc i żądaniem jej spełnienia.

9

Gwennan uciekła z jednego koszmaru w następny. Żeby się wreszcie obudzić i zapomnieć o tym wszystkim! Zaciśnęła mocniej dłonie na wisiorze, przywarła do kamienia, zamknęła oczy i wyteżyła wszystkie siły, by wreszcie powrócić do realnego świata.

W jej twarz uderzył lodowaty wiatr. Przeszył ją paraliżujący strach. Wreszcie otworzyła oczy.

Niebo przecięła oślepiająca błyskawica, a potem zabrzmiał grzmot. Noc – chmury – ciemność. Wciąż klęczała przy kamieniach, pomiędzy dwoma z nich. Ogniste góry, fale – czyżby znów trafiła do świata śmierci?

– Gwennan...

Grzmot przetoczył się nad ziemią i ucichł. Poniżej paliło się światło – nie był to blask ognia ani poświata wypływająca z kamieni. Ktoś tam stał, trzymał w dłoni latarkę, która oświetlała jego twarz. Przez dłuższą chwilę, nie będąc w stanie oderwać się od tego, co się z nią działo, Gwennan nie mogła go rozpoznać. Wreszcie powróciła do rzeczywistości.

Był to Tor Lyle – nie Ramię, nie łowca, lecz człowiek z jej czasów. Kiedy patrzyła nań oszołomiona, zdawało jej się, że widzi cienie tamtych dwóch postaci.

– Gwennan! – zawołał ją po raz drugi. Tym razem grzmot nie zagłuszył jego głosu. Noc uciszyła się nagle, świat ogarnął nienaturalny spokój. Gwennan była przekonana, że w tej niesamowitej ciszy Tor słyszy bicie jej serca. Zebrała siły i odwagę, by podnieść się z klęczek, choć ani na moment nie odrywała od niego spojrzenia.

Ruszył pewnie do przodu, jakby oczekiwał, że się do niego przyłączy. Zatrzymał się jednak ponownie u podnóża pagórka. Promień latarki nadal oświetlał jego twarz.

– Masz to – powiedział spokojnym tonem, jakby ledwie przed chwilą rozstali się w najlepszej komitywie. – Saris już o to zadbała, prawda? Ona... – Pokręcił głową, uśmiechnął się. – Nigdy mi nie ufała. My, ludzie starej krwi, potrafimy nienawidzić się straszliwie. Czy poznałaś nas już na tyle, by to zrozumieć, Gwennan? Jeśli nie, to może dlatego, że stara krew została w tobie tak bardzo rozrzedzona...

Rozmowa ze świata wypełnionego zielonym blaskiem przeniosła się tutaj. Gwennan nie chciała tego słuchać. Gdyby mogła kierować

się własną wolą, zatkałaby uszy palcami. Nie była jednak w stanie tego uczynić. Nie mogła uciec przed jego głosem.

Tor zmrużył lekko oczy. W świetle latarki Gwennan widziała dokładnie jego twarz. Była przekonana, że nigdy nie zapomni jego rysów, że będzie instynktownie wyczuwać każdą zmianę nastroju tego człowieka.

– Więc wciąż nie rozumiesz. – Był zniecierpliwiony, mówił tonem człowieka, który ma wyjątkowo ważną misję do spełnienia i brak mu czasu. – Spójrz więc na to, co trzymasz w dłoni, spójrz nie tylko oczami!

Wykonała to polecenie, nie mogła się mu oprzeć. Podniosła wisior, spojrzała na tarczę, na której zamiast godzin widniały astrologiczne symbole, a zamiast wskazówek świetliste linie. Pomiedzy nimi widniały jeszcze inne, nieznanne jej znaki. Promień znaczył upływ czasu, który nie obowiązywał w jej własnym świecie, podświetlał na moment jeden, potem następny znak, zapisując je mocno w jej pamięci. Była przekonana, że tak, jak nie zapomni nigdy twarzy Tora Lyle'a, tak też na zawsze będzie pamiętać sekwencję gwiazdowego czasu.

– Gwiazdy na swych ścieżkach... – odezwał się ponownie Tor. – Potrzeba czasu, którego człowiek nie może objąć rozumem, by zatoczyły pełne koło, powróciły do tego samego miejsca. Rodzimy się, umieramy, potem znowu powracamy na ten świat, a gwiazdy stale poruszają się swym torem. Kiedy znajdą się we właściwym położeniu, to, co zginęło, może zostać odzyskane.

– Nie wiem, o czym mówisz... – Gwennan próbowała uwolnić się od Lyle'a i jego niezrozumiałych słów.

Tor wzruszył ramionami.

– Być może masz teraz zamknięty umysł, ale otworzy ci się... – Ton jego głosu kazał jej mocniej zacisnąć dłonie na wisiorze. Zrozumiała, że Tor nie puści jej, dopóki nie dostanie tego, czego chciał.

– Saris wiedziała. I ja wiem. Nie można ukryć starej krwi przed nami, którzy byliśmy... jesteśmy... Strażnikami Pamięci. Teraz Moc rośnie... – Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się szyderczo. – Cóż to za zrządzenie losu, że czas Saris nadszedł właśnie w tej chwili, w tak kluczowym momencie! Kiedyś ona miała pełny wybór, teraz mam go ja! Być może powinienem być ci wdzięczny za pewną sprawę związaną z przeszłością. Mimowolnie pomogłaś mi dostać się do schronu. Tym razem... – rozłożył szeroko ramiona, a promień latarki opuścił wreszcie jego twarz, przesunął się przez pole i zatrzymał na skraju lasu – tym razem Saris nie może mi przeszkodzić!

– Nie wiem... – zaczęła Gwennan po raz drugi, lecz Tor znów jej przerwał.

– Nie wiesz! – syknął ze złością, a na jego twarzy, znów widocznej w świetle latarki, pojawił się twardy, zacięty grymas. – Nie próbuj mnie zwodzić! Tak, krew Lyle’ów zbyt często mieszała się z krwią zwykłych śmiertelników. Tylko my dwoje, Saris i ja, pozostaliśmy w tej generacji. I potrzebuję tego, co możesz mi dać, przynajmniej na jakiś czas. Mogę kontrolować niektóre rzeczy. Linie geomantyczne znów są wypełnione Mocą. Czekaliśmy tutaj, w tym zapomnianym miejscu, przez tysiąclecia, ogrom czasu, którego zwykli ludzie nie mogą nawet objąć rozumem. Czekaliśmy na tę właśnie chwilę, kiedy znów będziemy mogli przywołać Moc, a ona odpowie na nasze wezwanie. Trzeba było jednak wiele czasu, by naprawić, odtworzyć ścieżki, które zostały zniszczone, zapomniane!

Linie Mocy? Tak, tyle Gwennan mogła zrozumieć. Pomyślała, że musi wykorzystać tę skromną wiedzę.

– Te linie są w Wielkiej Brytanii... w Europie... nie tutaj... – Celowo nie wspomniała o mapie, którą pokazywała jej lady Lyle.

– Tworzą sieć obejmującą cały świat – odparł w roztargnieniu, jakby przez cały czas zajęty jakimś innym problemem. – Te kamienie znaczą miejsce skrzyżowania dwóch potężnych linii, które wzmacniały się powoli, by teraz wreszcie wrócić do pierwotnej postaci... Właśnie teraz.

Burza oddaliła się już, zza chmury wyzierały powoli gwiazdy. Tor zamilkł, a jego milczenie dodało Gwennan odwagi. Musiała odejść wreszcie od tych kamieni, powrócić do zacisza własnego domu. To nie był jej świat.

Jednak w chwili, gdy gotowa była już opuścić pagórek, Tor zbliżył się do niej o krok. Promień latarki przesunął się w górę, przygwoździł ją do kamieni.

– Chodź! Mamy wiele do zrobienia – oświadczył przekonany, że Gwennan poddała się już jego woli.

– Nie mamy nic do zrobienia... razem! – Podniosła wisior w geście obrony. – Wracam do domu...

– To ty jesteś tą wybraną. Trzymasz w rękach klucz. Wykorzystaj go. Musisz wykorzystać! – Po raz pierwszy nie wydawał się tak pewny siebie, mówił gorączkowo, jakby chciał przekonać ją do swych planów.

– Jestem sobą! – Trzymała się tej wiary równie mocno, jak w świecie zielonego światła, jak próbowała trzymać się jej Ortha zamknięta w rozpadającej się świątyni. Teraz Gwennan musiała przyznać, że te sny w jakimś sensie były jednak rzeczywistością, że naprawdę znajdowała się gdzieś indziej, w innym czasie i miejscu. Teraz

jednak powróciła tutaj, a ten świat nie uznawał innych bytów. Dlatego Tor nie mógł jej wykorzystać, nie mógł użyć Mocy, której nie posiadała.

I znów zdawało się, że sięgnął do jej umysłu, przejrzał jej zamiary. Roześmiał się głośno.

– Możesz się wic i szarpać, Gwennan, próbować uwolnić na wszelkie sposoby. Nie uciekniesz przed tym, co jest częścią ciebie ani przed przyszłością, która jest ci przeznaczona. Saris wiedziała, a ja muszę się z nią teraz zgodzić, że jesteś rzeczywiście jedną z nas. Dzieckiem tych, których w przeszłości ludzie nazywali bogami – i znów będą tak nazywać. Przyjdziesz tu... otworzysz się...

Czy wyczuwał, że rośnie w niej coraz większy opór? Otaczające ją kamienie dostarczały energii, której potrzebowała, by mu się sprzeciwić.

– Przyjdziesz tutaj!

Odrzucił głowę do tyłu, wydał z siebie przeciągły okrzyk, który ranił jej uszy. Promień latarki oświetlił skraj lasu. Spośród drzew wysunęło się jakieś czworonożne stworzenie i po chwili stanęło na dwóch nogach.

Jego ciało pokrywała szara sierść poznaczona czarnymi plamami, które tak doskonale zlewały się z ciemnością, że trudno było określić, jaki właściwie jest kształt tego zwierzęcia. Kiedy zbliżyło się do pagórka, przyniosło ze sobą smród, który Gwennan czuła wokół domu po tamtej burzowej nocy. Gdy podniosło głowę, by spojrzeć na szczyt wzgórza, znów zobaczyła te przerażające, czerwone jak ogień ślepia.

Stojąc na dwóch nogach, dorównywało wzrostem Torowi, a fakt, że mogło poruszać się jak człowiek, dodawał grozy. Takie zwierzę było obrazą dla świata.

Miało paszczę tak szeroką, że po otwarciu niemal rozdzieliła czaszkę na pół. Nad nią znajdowała się czarna plama będąca zapewne nosem zwierzęcia, a wokół niej sterczały sztywno grube, długie włosy. Takie same włosy wyrastały nad ślepiami; czaszka pokryta była gęstym futrem, z małymi, odsloniętymi uszami po obu stronach.

Zwierzę miało wąskie ramiona i bardzo długi korpus, jego tylne nogi zakończone były nie pazurami, lecz ptasimi szponami, podczas gdy przednie przypominały raczej ludzkie ręce. Z paszczy zwieszał się długi czarny język, ociekający śliną, która kapiała mu na wąską pierś.

Potwór zatrzymał się przy Torze i przykucnął, wspierając o ziemię zaciśnięte w pięści dłonie. Językiem bez ustanku oblizywał pozabawioną warg paszczę. Patrzył na Gwennan bezlitosnymi ślepiami. Gwennan zrobiło się słabo, czuła, jak wzbierają w niej mdłości. Ten

potwór był tak przerażający, tak krańcowo zły i obcy jej gatunkowi, że sam jego widok pozbawiał człowieka sił.

Promień latarki, którym Tor oświetlał potwora, przesunął się teraz ponownie na Gwennan.

– Czy nie powiedziałem, że linie znów pełne są Mocy? Znając właściwe wezwanie, można otworzyć bramy i przepuścić przez nie stworzenia z drugiej strony. Czy nie mieszkają tam słudzy silniejsi jeszcze od tego? Ludzie przez wieki opowiadali o diabłach i potworach, ale spotykali się tylko z drwiną i niedowierzaniem, choć mówili przeciw prawdę. Podobnie wielu ludzi zostało połkniętych przez Moc i znaleźli się w innych zewnętrznych światach, których istnienia nawet nie podejrzewali. Kiedyś ofiarowałem ci pełną wolność Mocy, szansę na wykorzystanie w pełni tego, co leżało w tobie uspięne. Ty jednak nie chciałaś tego zrobić, dopóki cię nie zmusiłem...

Gwennan zdołała zapanować nad mdłościami, o które przyprawił ją sługa Tora. Potwór wciąż tam był – widziała płonące w ciemnościach ślepiea. Czy Tor zamierzał wykorzystać go do tego, by zmusić ją do posłuszeństwa?

– To ty skazałeś Orthę na śmierć...

– Tylko dlatego, że musiałem mieć to, czego mi odmówiłaś. Nie miałem czasu przekonać cię o moich racjach. – Tor mówił z chłodną pewnością, przekonany, że tym razem całkowicie panuje nad sytuacją. Jak chciał ją tym razem wykorzystać? – Gwiazdne koło obraca się bez ustanku – ciągnął głosem łowcy. – Nie możemy go zatrzymać, tak jak nie możemy zatrzymać gwiazd i zmienić naszego przeznaczenia. Świat gotów jest znowu stoczyć się w ciemność. Jednak tym razem będziemy zmagać się nie z siłami natury, lecz z ludzkimi ambicjami. A co jeden człowiek zrobi, inny może odmienić! Musi jednak pokierować tym ktoś z Mocą, która została zapomniana i zdyskredytowana, choć silniejsza jest od jakiegokolwiek znanej broni. Tym razem nie pogrążymy się w ciemności. Światem pokierują nowi przywódcy, którzy nie będą bawić się w nauczycieli i ograniczać tchórzliwymi regułami.

– I ty właśnie będziesz takim przywódcą?

– A któż inny? Kiedyś zostałem skrepowany, ubezwłasnowolniony ideami tych, którym wydawało się, że wiedzą wszystko najlepiej. Tym razem... – Jego głos pełen był nie tylko nadziei, lecz całkowitej pewności zwycięstwa. – Gwiazdy Saris obróciły się przeciwko niej. Wyciągnęła cię z ukrycia i zapomnienia, a prawdą jest, że masz w sobie zarówno naszą krew, jak i talent. Nie jesteś jednak dość silna ani nie masz dość wiedzy, by rządzić tym, co przywołałyśmy. A Saris musiała zrzec się władzy nad tobą. Czasami twierdzili, że jestem tylko

w połowie... Nie wiedzą, jak bardzo szukałem wiedzy, jak wiele się nauczyłem. Nawet ktoś półkrwi, pozbawiony zdolności całkowitej odnowy, nie żyje tak krótko jak ci, którzy zrównali się ze zwierzętami i stopniowo musieli wrócić na drogę człowieczeństwa. Nauczyłem się znacznie więcej, niż Saris przypuszcza. Postępowałemby uczciwie, zgodnie ze starożytnymi przysięgami. Nie może zaprzeczyć, że przyszedłem najpierw do niej i wyznałem jej całą prawdę. Ona jednak odwróciła się ode mnie... – Gniew, choć mocno trzymany na wodzy, wystrzelił jego głos. – Byłaby dla mnie bezwzględna, gdyby nie przedwczesna zmiana, która pokrzyżowała jej plany. Zwróciła się więc do ciebie, która nie jesteś nawet tym, kim była Ortha. Pozostały w tobie tylko resztki Mocy. Można jednak sprawić, by Moc się rozrosła, a ty żyłabyś tak, jak nie żył jeszcze żaden człowiek półkrwi. Daję ci wybór. Jeśli przyłączysz się do mnie, będziesz miała w tym swój udział. Dostaniesz więcej, niż przypuszczasz, niż może sobie wyobrazić jakikolwiek zwykły człowiek. Jeśli staniesz z boku, jak zrobiłaś to już wcześniej, nie tylko doprowadzisz do śmierci własne ciało, ale okaleczysz swą wewnętrzną istotę, która powinna błyszczeć światłem i chwałą. Czeką nas wojna, o jakiej jeszcze świat nie słyszał. Choć w odległej przeszłości, po wielkiej Śmierci, byli już tacy, którzy próbowali wykorzystać broń przerastającą ich zrozumienie i w swym szaleństwie ranili Ziemię jeszcze bardziej. Tamta wojna zrodziła się z ignorancji równie głębokiej, jak ta, która zrodzi czekającą nas zagładę. Ludzie bawią się narzędziami, których nie rozumieją. Można jednak ich pokonać, wykorzystując ich lęki, niepewność, chwiejną naturę. Wtedy nastanie nowy wiek, wiek pokoju, nad którym czuwać będzie Moc!

– Takiego pokoju, jakiego ty zechcesz?

– Tak. Sądzisz, że będzie gorszy od tego, co stałoby się, gdybyśmy pozostawili ludzi samym sobie?

– Jeśli twoja armia wygląda tak... – Gwennan wskazała na monstrum siedzące u boku Tora.

– Strach to najskuteczniejsze narzędzie władzy. Czy nie rozwiązuje to naszego problemu?

– Twoi słudzy także zabijają. – Gwennan przypominała sobie to, co słyszała w miasteczku. – Śmierdzą Ciemnością... złem...

– Zło... Ciemność... – W jego głosie znów zabrzmiała drwina. – To tylko słowa. Człowiek z natury obawia się i nienawidzi tego, czego nie może zrozumieć, co jest mu obce z wyglądu i charakteru. Ja także musiałem żyć w takim strachu, w poczuciu zagrożenia. Tak, moi słudzy zabijają – bo taka jest ich natura, a jeśli przebywają tutaj dłużej,

muszą jeść. Żywią się energią żywych ciał. Czy przeraża cię kot, który zabija mysz, człowiek, który zjada mięso? Spójrz najpierw na własne zzwyczajaje, nim zaczniesz krytykować innych.

– Słowa... – Gwennan powtórzyła jego szyderczy komentarz. Czowała w sobie nową siłę. Czy siła ta płynęła z wisiora, daru Saris? Spojrzała na tarczę dysku. Druga siatka linii błyszczała teraz wyraźniej, symbole umieszczone na obrzeżu migotały niczym klejnoty. Być może jednak, pomimo tak ostentacyjnie okazywanej pewności siebie, Tor nie mógł nagiąć jej woli do swych celów.

Stała wyprostowana, oparta plecami o jeden z kamieni, trzymając rękę na wysokości serca i przyciskając ją do piersi tak, że ciepło wisiora przenikało nawet przez grubą warstwę odzieży. Czy naprawdę slyszała odległy głos rogu?

Nie chciała spotkać się z oponentką Tora, jeśli nawet jej Moc mogła przenikać przez płaszczyzny różnych światów. Nie chciała być narzędziem żadnego z nich!

Wyciągnęła przed siebie rękę, oparła ją o najwyższy z kamieni. I omal nie odskoczyła do tyłu. Gdy dotknęła powierzchni kamienia, wpłynął w nią ładunek energii równie potężny, jak ten, który wypełnił Orthę, gdy w ostatnich chwilach życia ośmieliła się wspiąć na tron Głosu. Tyle że ta energia nie próbowała się z niej wydostać, zniszczyć jej. Tym wypełniła czekającą istniejącą w niej pustkę. Gwennan chłonięła energię niczym spragniony wędrowiec, który natrafił na źródło świeżej wody.

Zapomniała o obecności Tora, o zwierzęciu, które kucnęło u jego stóp. Nie czuła niczego, prócz tej ożywczej energii, tego uniesienia. Wtem...

Zerwał się wiatr, z czystego już nieba uderzył piorun. Słyszała coraz głośniejszy przyzywający krzyk, jakby w środku bitwy ktoś domagał się wsparcia. To nie ona wołała, jej własne usta wydawały inne dźwięki, słowa, w których dziwnym rytmie kryła się tajemnicza formuła zaklęcia.

Kolejna błyskawica oślepiła ją na moment. Czy rzeczywiście błyskawica ta pochodziła z nieba? A może raczej wystrzeliła z ziemi? W świetle błyskawicy ukazało się coś ciemnego, czarna plama, która rzuciła się w jej stronę. Kamienie rozbłysnęły jaśniej, a Gwennan zaczęła śpiewać, wciąż trzymając przy sercu dar Saris.

W ciemności podniosły się inne kształty, przysunęły się bliżej, by przypuścić atak na wzgórze. Wyczuwała to, jeśli nawet nie widziała wyraźnie poszczególnych potworów. Nie odwróciła głowy, by sprawdzić, czy coś nie skrada się do niej od tyłu – nie wolno było o tym

myśleć. To były zmagania siły woli. Wciąż czuła nacisk Tora, jego potrzebę zwycięstwa.

Gwennan poczuła dziwne mrowienie na całym ciele. Moc, którą chłonęła, dokonywała w niej istotnych zmian. Potrzebowała czasu, by to zbadać. Saris, Tor nie mieli teraz żadnego znaczenia. To był nowy rodzaj życia, to była... Ciemność!

Całkowita ciemność, chłód i strach. Gwennan została sama, odcięta od źródła ciepła i życia, które przed chwilą tak hojnie ją wypełniało... Była zagubiona, opuszczona...

Czyżby została ponownie wrzucona w martwy świat Orthy? Zdawało się jej, że znów wdycha trujący kurz, że popiół zatyka jej płuca. I nic nie widziała! Czyżby wróciła do tej chwili, gdy nad świątynią zawisła fala, która miała ją pochłonąć, zabić?

Nie! Teraz było w niej coś, czego dawniej nie знаła. Kamienie! Te kamienie były źródłem światła, filarami przebudzonej Mocy. Gwennan skupiła na nich myśli, próbowała zobaczyć je przez oslepiającą ciemność, znów poczuć pod palcami tę szorstką powierzchnię, która ożyła pod jej dotykiem.

Koło... Nie, to tarcza dysku! Zawisła przed nią w powietrzu, linie światła zapłonęły jeszcze mocniej, symbole stały się wyraźniejsze. Tak wyglądało to kiedyś – i teraz wracało do tej postaci!

Wpatrywała się w świetlisty krąg. Nie trzymała go już w dłoni; krąg wypełniał ogromną przestrzeń przed jej oczami. Symbole płonęły złotym blaskiem. Linia światła odmierzająca upływający czas, poruszyła się, dotknęła jednego symbolu, potem następnego. Zawirowała nagle, jakby czas przyspieszył, stał się czyjąś igraszką. Wskazówka krążyła tak szybko, że utworzyła świetlistą mgiełkę, zasłoniła symbole. Gwennan czuła pulsowanie, które nie było biciem jej własnego serca. Poruszało inną część jej jestestwa – część, która nie miała nic wspólnego z jej fizycznym ciałem.

Teraz tarcza była ogromna. Przesłaniała cały świat – nie było już niczego prócz niej...

Widziała jedynie kulę światła i wypływające z niej promieniste smugi, które oplatały ją gęstą siecią.

Ciepło... światło...

Gwennan poruszyła się – jej dłoń dotknęła szorstkiej powierzchni. Klęczała, pochylona lekko do przodu, oparta ręką o najwyższy z kamieni. Na pokrytej szronem łące pojawiło się światło poranka. Wśród koron drzew widniała ciemniejsza plama – szary dach domu Lyle'ów.

Gdzie jest Tor?

U podnóża pagórka nie było ani Tora, ani jego potwornego sługi wezwanego z innych światów. Gwennan spojrzała na wisior.

Tarcza medalionu znów się zmieniła. Teraz był to zwykły krąg znaków zodiaku, przecięty jedną linią światła. Wydawał się martwy lub uśpiony. Gwennan powoli, niepewnie, próbowała sięgnąć do swego wnętrza. Nie знаła słów, którymi mogłaby opisać to, czego próbowała dokonać. Co takiego przebudziło się w niej tej nocy?

Dotknęła czegoś i natychmiast się wycofała. Nie! Nie była jeszcze przygotowana, nie była na to gotowa. Nawet po walce z Torem. Musi poczekać i zobaczyć...

Wstała. Kamienie wyglądały tak, jak zawsze – zwykle skalne kolumny. Dotknęła najwyższego, delikatnie przyłożyła do niego dłoń. Nie ośmieliła się jednak zażądać jakiegokolwiek odpowiedzi. Jeszcze nie teraz!

Potyając się, chwiejąc, gdyż jej ciało sztywne było z zimna i zmęczenia, ruszyła w dół. W miejscu, w którym stał Tor, na oszronionej trawie nie pozostały żadne ślady. Czy on tam w ogóle był? Tak! Gdy znalazła się na jego miejscu, poczuła dziwne poruszenie, którego nie potrafiła opisać.

Ślady! Gwennan zatrzymała się raptownie. Zobaczyła ciemną plamę... drugą... trzecią... Prowadziły przez łąkę w stronę drzew. Wiatr przyniósł resztki charakterystycznego smrodu. Trawa została tu wypalona do gołej ziemi, pozostały na niej wyraźne ślady szponów odcisnięte tak głęboko, jakby ktoś wypalił rozżarzoną żelazem.

Linia czarnych plam prowadziła z lasu. Nie było śladów powrotu. Nocny łowca rozplynął się w powietrzu w miejscu, gdzie widziała go po raz ostatni. Czy powrócił do swego świata? A co z Torem? Gwennan stała przez chwilę w bezruchu, wpatrzona w dach domu Lyle'ów. Czy Tor mienił się teraz jego panem? Jeśli tak było, to co miała przynieść im obojgu przyszłość? Nie wierzyła, by został ostatecznie pokonany.

Odwróciła się i przygarbiona ruszyła w drogę powrotną. Zmagały się w niej siły, których nie była w stanie zrozumieć. Musi odpocząć wreszcie w realnym świecie. Gdyż to właśnie w tym świecie – była tego pewna – wcześniej czy później przyjdzie jej stawić czoło Torowi i podjąć ostateczną decyzję.

10

Słońce weszło już wysoko, ale jego słabe promienie nie stopiły jeszcze szronu. Gwennan mocniej owinęła szyję szalikiem. Pragnęła teraz

jedynie wrócić do ciepła swego domu, znaleźć tam realny świat, który znała przez całe życie. Zbyt wiele wydarzyło się ostatnio – te sny, spotkania... Była wyczerpana i oszołomiona.

Idąc, starała się trzymać z dala zarówno od poczerniałych śladów, jak i od skrajów lasu. Nie słyszała szumu drzew ani śpiewu ptaków, niczego prócz własnych kroków.

Myślała tylko o tym, jak stawiać nogi, jak dotrzeć do muru, przejść na drugą stronę. Nie minął jej żaden samochód – szła przez pusty, cichy świat.

Gdy zobaczyła dym unoszący się z komina Newtonów, odetchnęła z ulgą. Ta wąska, szara smuga była potwierdzeniem rzeczywistości. Przyspieszyła kroku, by jak najszybciej otworzyć drzwi własnego domu – i zatrzymała się w pół kroku z uniesioną do ust ręką.

Na chodniku widniały czarne ślady, jakby starannie wymalowane farbą. Takie same, jak pozostawione przez potwora w pobliżu stojących kamieni – wyraźne i świeże. Była pewna, że lada moment poczuje odrażający smród, ale musiał się już on rozwiać w powietrzu.

Gwennan zawróciła, by przekonać się, dokąd prowadzą ślady. Czarne plamy okrążyły cały dom i prowadziły z powrotem przed frontowe drzwi, gdzie urywały się raptownie. Wyglądało to tak, jakby intruz wynurzył się z nicości i po jakimś czasie do niej powrócił – poza kręgiem śladów otaczających dom nie było żadnych znaków przyjscia ani odejścia.

Gwennan zrobiła krok do przodu, omijając starannie linię śladów tak, by jej but nie dotknął żadnej z czarnych plam. Nie chciała mieć żadnego kontaktu z czymś, co łączyło się z obecnością obcej istoty.

Klucz. Nie mogła przypomnieć sobie, jak wyszła z domu poprzedniego wieczoru. Czy zamknęła drzwi? Gwennan przystanąła na progu. Deski drzwi zostały ułożone w tradycyjny ochronny wzór – podwójny krzyż jako obrona przed złem, zaporą dla tych, którzy grasowali nocą. Powyżej zamocowana była czarna podkowa, która jakoby stanowiła skuteczną broń przeciwko niewidzialnym siłom.

W pociemniałym od starości drewnie widniały jakieś zagłębienia lub nacięcia, równie niewyraźne, jak te na kamieniach stojących na wzgórzu – wydawało się, że podobnie jak w przypadku kamieni z ciemności może wydobyć je jedynie światło błyskawicy.

Gwennan zdjęła rękawicę i podniosła rękę, by dotknąć owych zagłębień, by upewnić się, że nie zwodzi jej wzrok.

Były...

Gwennan opuściła rękę i cofnęła się o krok, szeroko otwierając oczy.

Nie używała latarki, nie oświetliła w żaden sposób tej stuletniej belki, lecz nagle, jakby sama bliskość jej palców miała przyzywającą

moc, znaki ożyły, zapłonęły. Świeciły tylko przez krótką chwilę, by potem znów pograżyć się w szarości. Szarość okryła także cały dom i podwórze, gdyż słońce zniknęło właśnie za chmurą. Wraz z mrokiem pojawił się zimny, przejmujący wiatr.

A jednak Gwennan była pewna, że coś widziała – twarz, dziwną twarz: z jej ust wyrastały dwa pędy winorośli, które otaczały całą głowę. Obok widniał znany jej od dawna symbol: ankh, dziwaczny krzyż, uważany przez starożytnych za klucz do wieczności. Kto mógł wyryć tutaj te znaki? Ta twarz w winorośli – pamięć podsunęła jej ilustrację z książki, zdjęcie rzeźby z jakiegoś starego kościoła w Europie. Zielony Człowiek! Ten, który rządził lasem...

Gwennan powoli postąpiła do przodu. Czy naprawdę to widziała? Teraz powierzchnia drewna wydawała jej się całkowicie gładka. Być może nocne przeżycia zbyt rozbudziły jej wyobraźnię.

Nacisnęła klamkę i przekonała się, że rzeczywiście nie zamknęła drzwi na klucz. Weszła do mrocznego holu, zanurzyła się w przytulnym cieple, domowych zapachach. Przemknęła szybko do kuchni i stanęła pośrodku, sycąc się poczuciem bezpieczeństwa, niczym dziecko, które w zimną, ciemną noc otula się ciepłym kocikiem.

Nic się tutaj nie zmieniło, nie wyczuwała obecności żadnego intruza. Zrzuciła płaszcz, szalik i kaptur i podeszła do pieca, by dołożyć doń drewna. W palenisku wciąż tlił się żar, który mógł na nowo buchnąć płomieniem. Gwennan machinalnie wykonywała czynności związane z przygotowaniem śniadania – wyjęła jajka, bekon, nastawiła wodę na kawę, pokroiła chleb na tosty. Zajęta tymi prostymi działaniami, straciła niedawne poczucie nierealności, stała się na powrót tą osobą, za którą zawsze się uważała, odsunęła od siebie wszystko inne.

Spojrzała na kuchenny zegar, którego miarowe tykanie także kołło jej rozedrgane nerwy. Dziesiąta! Spotkanie z zarządem! Nie miała czasu, by zajrzeć do dokumentów, które chciała tak starannie sprawdzić. Należało jak najszybciej zjeść, przebrać się i pędzić do miasta.

Pochłaniając szybko śniadanie, zastanawiała się, jak zareagowaliby członkowie zarządu, gdyby opowiedziała im swe nocne przygody. Z pewnością natychmiast zaczęliby szukać nowej bibliotekarki, a biedna Gwennan Daggert trafiłaby do zamkniętego szpitala, gdzie jej oamy stałyby się przedmiotem badań psychiatrów. Kto wie, może zostałaby nawet bohaterką jakiejś powieści grozy, gatunku, który ostatnio cieszył się tak wielką popularnością.

By zachować spokój i trzeźwość umysłu, musi zająć się obowiązkami, które od tak dawna stanowiły treść jej życia. Zostawiła brudne naczynia w zlewie, co panna Nessa uznałaby z pewnością za przejaw

niechlujstwa. Ostry dzwonek telefonu tak ją przestraszył, że wypuściła z dłoni kubek po kawie, który wpadł do zlewu, rozbijając się na drobne kawałki.

Przez moment nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Potem podeszła do telefonu i powiedziała, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła:

– Halo?

– Gwennan? – usłyszała niepewny głos pana Stevensa.

Gwennan szybko pozbierała myśli.

– Tak, chyba się przeziębiłam. – Miała nadzieję, że wytłumaczy to jej dziwne zachowanie. – Ale będę na spotkaniu.

– Muszę omówić z tobą pewną sprawę. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli cię uprzedzę. Zamierzasz iść do biblioteki na piechotę?

Pomyślała o czarnych śladach otaczających dom, o tym, co mogą oznaczać. Nie chciała jednak, by ktokolwiek je zobaczył i zadawał pytania.

– Tak, oczywiście, zawsze to robię.

– Musisz czuć się samotna. Mieszkasz zupełnie sama, na takim odludziu...

– Nigdy mi to nie przeszkadzało. Pani Nessa też była z tego bardzo zadowolona. Przyjdę na czas, panie Stevens.

– Czas... Tak, czas ucieka... No dobrze, pamiętaj tylko, że chciałbym porozmawiać z tobą po spotkaniu. Nie nalegałbym, gdyby to nie było takie ważne, zwłaszcza że dzisiaj jest sobota.

Gwennan poszła się przebrać, zostawiając po sobie bałagan, który przypawiłby pannę Nessę o atak serca. Potem udała się do miasta, biorąc teczkę z dokumentami i licząc po cichu na to, że w razie potrzeby zdoła sobie przypomnieć wszystkie obliczenia, których tak pracowicie dokonywała przez ostatni miesiąc. Spojrzała na podwórze i nawet się nie zdziwiła, że czarne ślady zniknęły. Być może dotarła już do punktu, w którym nic nie mogło jej zadziwić.

Codzienne czynności coraz bardziej przesuwwały niedawne wydarzenia w świat snów i zjaw, aż Gwennan zaczęła wątpić w realność nocnych przemyśleń. Skoncentrowała się na swoim raporcie, wykorzystując wiedzę nabytą u boku panny Nessy. Drgnęła zaskoczona, gdy pod koniec konferencji stara pani Kitteridge, wyrwana z drzemki, która ogarniała ją zazwyczaj podczas posiedzeń zarządu, spytała znienacka:

– A co z dokumentami Crowderów? Jeszcze nie zdecydowaliśmy, co z nimi zrobić, prawda? Emma była dumna z tej kolekcji, z wszystkich tych książek i listów. Miała nadzieję, że kiedyś trafią do jakiegoś college'u.

Mel Teague, który uważał się za przedstawiciela wszystkich okolicznych farmerów i zazwyczaj głosował przeciw nowym wydatkom, wyprostował się na krześle i powiedział:

– Crowderowie zawsze interesowali się tym miasteczkiem. To stary Thad Crowder po raz pierwszy skontaktował się z Lyle'ami, kiedy osiedlili się tu nasi pradziadkowie z Freeport. Podobno był uczonym człowiekiem, chodził po lasach i polował na dziwne stworzenia, rozmawiał z Indianami o różnych duchach. Potem zniknął bez śladu, jakby rozpułnął się w powietrzu. Podobno sam Diabeł przyszedł po niego i wyciągnął go z domu w czasie wielkiej burzy. Tak mówiono w mojej rodzinie, bo Matt Teague był tego świadkiem i potem długo nie mógł dojść do siebie. Wszyscy wiedzą, że Crowderowie lubili czytać i sami spisywali wszystko, co się tu działo. Słyszałem od mojego dziadka, że dawniej, kiedy ktoś chciał mieć dowód, że w przeszłości zdarzyło się to czy tamto, na przykład, kiedy chciał udowodnić, że jakiś kawałek ziemi należy do niego, szedł do Crowderów. Wtedy któryś z nich wyciągał wielką starą księgę i zaglądał do niej. Wszystko było tam zapisane, czarno na białym. Może dlatego zaszli tak za skórę Lyle'om. Lyle'owie żyli jak królowie, mieli wielki dom i służbę. I przyjaźnili się z Indianami. Ta historia z Diabłem...

– Lyle'owie – odezwała się pani Abers – zawsze działali na korzyść miasteczka i skutecznie chronili je od najazdów Indian.

– Indianie mieli dość rozumu, żeby nie pchać się tam, gdzie mogli dostać w skórę – skomentował Mel. – Jeden z Teague'ów znalazł kiedyś porzucony obóz Indian i Francuzów. Potem zawsze powtarzał, że taka masakra nie mogła być dziełem człowieka... że musiał w tym maczać ręce sam Diabeł.

– Który – wtrącił Jim Pyron, wydawca miejscowego tygodnika – podobno znów się tutaj pojawił.

Gwennan przestała upychać dokumenty w teczce. Nie miała odwagi spojrzeć prosto w twarz obecnych. Wszyscy byli potomkami pierwszych osadników, znali doskonale rodzinne opowieści. Ona wiedziała to, co sama odkryła, przeglądając część dokumentów Crowderów. Kto wie, co może kryć się w nieotwartych jeszcze pudłach?

– Minęło już ponad sto lat – zauważyła pani Kitteridge – odkąd pojawił się tu ostatnio. Pamiętam Granny Whatton... – zrobiła krótką pauzę – to też była prawdziwa historia. Nikt chyba nie może zaprzeczyć, że w tej dolinie mieszka coś dziwnego, coś, co pokazuje się od czasu do czasu...

– I od czasu do czasu zabija... – wtrącił Mel, a na sali zapadła martwa cisza. – Może powinniśmy przejrzeć te papiery – dodał po

chwili. – Albo zainteresować tym Boba Bainesa. Jako szeryf mógłby mieć jakiś ciekawy pomysł...

– Nigdy nie słyszałem, by wymiar sprawiedliwości chciał polować na Diabła – odparł Jim Pyron. – Zazwyczaj zajmuje się tylko jego dziełami. Przypuszczam, że stworzenie, które napędziło nam tyle strachu, to jakiś wielki kot.

– Przed chwilą mówiłeś coś innego, Jim – zdziwił się Mel.

Wydawca roześmiał się.

– Ja też przejrzałem trochę dokumentów w Clarion. Nie sięgają aż do 1830 roku, ale znalazłem kilka dziwnych opowieści. Zgadzam się, że na tym świecie są rzeczy, których umysł ludzi nie jest w stanie ogarnąć. Te dokumenty Crowderów warto przejrzeć, choćby tylko ze względu na historię miasteczka. Gwen, czy ktoś się już nimi zajmował?

– Nie. Pudła nadal leżą w magazynie. Otworzyłam tylko jedno, z kopiami dokumentów miejskich. Są w dobrym stanie.

– Czy pozwolisz mi od czasu do czasu zajrzeć do nich? Jestem pewien, że znalazłbym tam niejedną interesującą historię. – Z twarzy Jima zniknął ten wyraz znudzenia, który zawsze towarzyszył mu podczas zebrań zarządu. Choć Pyronowie byli starą rodziną, sam Jim był tutaj przybyszem; otrzymał dom w spadku po kuzynie i przyjechał do miasta dopiero po studiach. W tym towarzystwie uznawany był niemal za takiego samego światowca jak Lyle'owie.

Pani Abers podniosła wzrok znad ciężkich, staromodnych kaloszy, które wkładała właśnie na nogi.

– Słyszałam, że lady Lyle znów wyjechała. Podobno była chora. Szkoda. Nie spodobał mi się ten jej siostrzeniec, kiedy przedstawiła mi go w sklepie. Gdyby coś jej się stało, to on odziedziczy dom Lyle'ów.

– Jest młody, trudno jeszcze coś o nim powiedzieć – skomentował Mel. – Ale już tam zamieszkał. Widziałem go na drodze w zeszłym tygodniu. Wydał mi się całkiem miły, choć nie taki jak lady. Może nie była zbyt rozmowna, ale nigdy nie odmówiła nikomu pomocy. Możecie o to spytać wielebnego. Szkoda, że nie przyszedł tu dzisiaj. Słyszałem, że Sally Edwards zachorowała i musiał odwieźć ją do Freeport...

– Co się stało Sally? – Pani Kitteridge jeszcze bardziej się ożywiła. – Spotkałam ją dwa dni temu i wyglądała całkiem dobrze. Mówiła też, że świetnie się czuje. To był jakiś wypadek? Dlaczego nikt nam o tym nie powiedział? – Jej oburzenie rosło z każdym słowem.

– Nie, to nie był żaden wypadek. – Mel pokręcił głową. – Zdaje się, że jej rodzina nie chciała o tym mówić, ale wcześniej czy później

i tak wszyscy się dowiedzą. Sally znaleziono w lesie Brinka, podobno długo leżała bez zmysłów, a potem wpadła w histerię i dostała ataku serca. Postanowiono więc jak najszybciej zawieźć ją do szpitala. Musimy sprowadzić jakiegoś lekarza do miasteczka. Odkąd umarł stary doktor Anderson, ze wszystkim jeździmy do Freeport. Ci dzisiejsi lekarze uważają, że zarobią większe pieniądze w dużym mieście.

– Las Brinka... – Jim, który zazwyczaj popierał gorąco pomysł sprowadzenia do miasta lekarza, teraz zainteresowany był inną sprawą. – To po drugiej stronie domu Lyle'ów, prawda? Jechałem tamtędy niedawno i zastanawiałem się, dlaczego nikt nie sprząta tego lasu. Pełno tam starych, uschniętych drzew; gdyby ktoś zaproszył ogień, mielibyśmy groźny pożar.

– To prawda. Jednak stara Lovey Brink, zajęta ogródkiem, nawet nie chce o tym gadać. Jej syn nie pokazuje się tu już od dziesięciu lat. Tak, las Brinka to wymarzona kryjówka dla Diabła. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby Sally dostała ataku serca na jego widok. Baines powinien się tam przejechać, powiem mu to. No dobrze, ustaliliśmy już wszystko. Gwen, licz dobrze pieniądze. Może nie będą nam potrzebne w najbliższym czasie, ale nie należy wyrzucać ich w błoto! – oświadczył na koniec Mel i podniósł się z krzesła.

Dopiero teraz Gwennan uświadomiła sobie, że pan Stevens, choć obecny na spotkaniu, prawie w ogóle się nie odzywał. Obok jego krzesła stała teczka, lecz ani razu do niej nie sięgnął, choć Gwennan była przekonana, że zaprezentuje jakieś dokumenty związane ze sprawami biblioteki. Stevens splótł ręce na piersiach i od czasu do czasu spoglądał nieobecny wzrokiem na zebranych, jakby nie mógł się doczekać końca spotkania.

Gwennan zapewniła Jima Pyrona, że będzie miał swobodny dostęp do dokumentów Crowderów, odprowadziła wszystkich do drzwi i powróciła do czekającego na nią prawnika.

– Mam złe wieści – odezwał się pan Stevens. – Lady Lyle nie żyje.

Wiadomość ta zszokowała Gwennan, choć w głębi duszy była na nią przygotowana. Wisior, który nosiła teraz pod bluzką, nie mógłby trafić do niej, gdyby jego poprzednia właścicielka jeszcze żyła.

– Jaka szkoda. Była dla mnie bardzo miła. – Słowa te nie wyrażały tego, co naprawdę czuła.

– Wiedziała, że nie ma już szans na powrót. Zanim wyjechała, zostawiła mi to dla ciebie. – Otworzył walizkę i wyjął z niej dużą kopertę. – Czy panna Nessa opowiadała ci kiedykolwiek o twoich rodzicach?

Ta nagła zmiana tematu zaskoczyła Gwennan.

– Moja mama była przyrodnią siostrą panny Nessy, o wiele młodszą. Poszła na studia, usamodzielniała się. Panna Nessa nie pochwałała tego. Na studiach poznała mojego ojca, bardzo szybko się pobrali. To też nie podobało się pannie Nessie. Uważała, że zawsze należy kończyć to, co się zaczęło. Nie wiem, czym właściwie zajmował się mój ojciec, ale oboje bardzo często podróżowali. Urodziłam się za granicą, gdzieś w Ameryce Południowej czy Środkowej. Widziałam raz dokumenty; są teraz w banku we Freeport. Ponieważ rodzice zgłosili moje narodziny w najbliższym konsulacie, jestem obywatelką Stanów Zjednoczonych. Przywieźli mnie tutaj następnego lata. Potem wyjechaliśmy do Indii i... Prawie w ogóle tego nie pamiętam. Kiedy byłam już dość duża, żeby pójść do szkoły, znów tu wrócili. Potem wyjechali na południowy zachód i zginęli. To był jeden z tych dziwnych wypadków, kiedy samolot znika bez śladu, jak w Trójkącie Bermudzkim. Wtedy zostałam na stałe u panny Nessy.

– Przyjęłaś nazwisko Daggert. A jak brzmiało twoje prawdziwe nazwisko?

Gwennan zarumieniała się.

– Nie wiem. Panna Nessa zapisała mnie do szkoły pod swoim nazwiskiem. Zawsze zastanawiałam się, czy moja mama nie wyszła za jakiegoś dalekiego krewnego, którego nie lubiła panna Nessa.

– Myślę, że to było zupełnie inne nazwisko – oświadczył pan Stevens z całkowitym przekonaniem. – Lady Lyle już od dawna się tobą interesowała, choć dopiero ostatnio dała ci to odczuć. Wiem, że zbierała różne materiały na twój temat, niektóre pochodzące z odległych zakątków świata. Nigdy jednak nie wyjaśniła, dlaczego to robi. Wiesz, że Lyle'owie mają koneksje w wielu miejscach. Kiedy się pobierali, zawsze robili to z dala od domu, w obrębie swej ogromnej rodziny. Być może w żyłach twojego ojca płynęła krew Lyle'ów. To wyjaśniałoby, dlaczego panna Nessa trzymała w tajemnicy twoje pochodzenie.

– Dlaczego?

– Panna Nessa była bardzo dumną kobietą. Nie zrozum mnie źle, ale być może z jakiegoś powodu uważała małżeństwo swej siostry za nielegalne. Panna Nessa, jak oboje wiemy, przestrzegała rygorystycznie zasad i zwyczajów innego pokolenia. Skoro twoja matka nie wyszła za człowieka znanego miejscowej społeczności, nie wzięła ślubu kościelnego, panna Nessa mogła kwestionować ważność takiego związku.

Gwennan wiedziała, że pan Stevens ma rację. Czyżby rzeczywiście należała do rodziny Lyle'ów? Tor powiedział o niej, że jest półkrwi! To jednak niczego jeszcze nie dowodziło. Może dowód ukryty był w kopercie, którą trzymała w ręce?

Rozerwała ją. Pan Stevens, który zapinał właśnie płaszcz, skinął na nią głową.

– Jeśli uznasz, że potrzebujesz pomocy prawnej, przyjdź do mnie bez wahania, Gwennan. Nie zamierzam w najbliższym czasie wyjeżdżać; muszę zająć się sprawami związanymi z majątkiem Lyle’ów. Przypuszczam, że wszystko dostanie ten młody człowiek; zdaje się, że lady Lyle uznała go za swego jedynego dziedzica i sprowadziła go tutaj świadoma bliskiej śmierci.

Kiedy wyszedł, Gwennan usiadła przy stole. Wyjęła z otwartej koperty arkusz sztywnego papieru z jakimś skomplikowanym rysunkiem, a wraz z nim znacznie cieńszą i lżejszą kartkę. Od razu domyśliła się, że rysunek na większym arkuszu przedstawia szczegółowy wykres astrologiczny, nie potrafiła go jednak właściwie zinterpretować. Wiedziała tylko, że u góry wydrukowana jest jej data urodzin. A więc rysunek przeznaczony był dla niej.

Wzięła drugą kartkę, wypełnioną bardzo wyraźnym i zdecydowanym, przypominającym symbole z wykresu pismem lady Lyle:

Mam znacznie mniej czasu, niż sądziłam. Ktoś ingerował w funkcje życiowe mojego ciała i choć wiem, dlaczego tak się stało, nie mogę tego zmienić. Dlatego też nie zdążę przekazać Ci w pełni tego, co powinnaś wiedzieć. Będziesz musiała dowiadywać się tego sama, co da ci nową siłę. Znajdziesz wiele rzeczy, o których zapomniałaś albo które celowo zostały usunięte z Twojej świadomości. Już raz nie dostąpiłaś tego, co było Ci przeznaczone...

– Ortha! – wyszeptała Gwennan. – To o niej mówi lady Lyle!

Stara wiedza, panowanie nad Mocą, które było Twoim prawem, zostało Ci odebrane, weszłaś w krainę wolnych okaleczona. Można jedynie dać Ci kolejną szansę, pozwolić, byś nauczyła się wszystkiego na nowo, byś się wzmocniła, zbliżyła do tego, czym miałaś zostać. Zostawię Ci klucz – a także pewne inne narzędzie – ale nie jestem w stanie otoczyć Cię opieką.

Musisz uczyć się dla siebie, wybierać dla siebie – takie jest Prawo Mocy. Tyle nam dano wolności. Zawsze stoją przed nami różne wybory. Kiedy ich dokonujemy, zmieniamy nasze życie, a czasami także życie innych.

Gwiazdy powróciły na swe dawne szlaki, ułożyły się tak, jak wtedy, gdy urodziłaś się, by utracić to, co było twoje. Teraz znów jesteś w stanie wybierać.

Mogę przekazać Ci tylko tyle. W dzień przesilenia zimowego pójdz do Stojących Kamieni i użyj zegara gwiazdnych godzin tak, jak nakaże Ci instynkt. To, co stanie się potem, będzie dla Ciebie sprawdzianem i dokonasz wyboru. Życzę Ci wszystkiego dobrego – masz w sobie to, co miało nas do siebie zbliżyć. I, jeśli Moc zechce, stanie się tak ponownie.

List nie był opatrzony żadnym nagłówkiem ani żadnym podpisem. Lady Lyle napisała go tak, by dla niepowołanych oczu stanowił niezrozumiałą zagadkę. Data nad horoskopem upewniała Gwennan, że list przeznaczony był dla niej, ale jego znaczenie musiała dopiero odkryć.

11

Gwennan siedziała przy stole kuchennym, jedynym meblu w domu mogącym pomieścić stos książek i dokumentów, które gromadziła od jakiegoś czasu. Część wspomnień z tamtej nocy przy Stojących Kamieniach zatarła się już w jej pamięci. Minęły dni, tygodnie od tych wydarzeń, które boleśnie uświadomiły jej istnienie innych światów. Przez ten czas nie dostała żadnej wiadomości od pana domu Lyle'ów. Właściwie Tor Lyle mógł zniknąć równie definitywnie, jak jego krewna, nikt w miasteczku i tak by tego nie zauważył.

Nie widziano też nowych śladów Diabła. Jim Pyron przekopywał się przez dokumenty Crowderów i wynajdywał w nich dziwne historie, które zamierzał umieścić w wymyślonym niedawno dziale gazety. Wpadał do biblioteki co sobotę, niemal o tej samej porze, a Gwennan przywykła już do jego regularnych wizyt. Odkrycia i komentarze Pyrona były całkiem interesujące, ale ją pochłonyły bez reszty własne badania, które przeprowadzała w domu.

Dom panny Nessay przez te kilka tygodni ani razu nie został poddany gruntownemu sprzątanii. Pościeliwszy łóżko, umywszy naczynia i zamiótłszy dwa pokoje, w których skupiała się teraz jej życie, Gwennan uznawała, że poświęciła dość czasu na prace domowe i zabrała się do rzeczy najważniejszej – do czytania.

Brakowało jej fachowej pomocy i nie wiedziała, gdzie mogłaby ją znaleźć. Wykres gwiazd pozostawał dla niej nieprzeniknioną tajemnicą, choć przejrzała dziesiątki książek o astrologii. Matematyka zawsze była dla Gwennan niedostępną domeną, a wszystkie te dzieła właśnie na niej się opierały.

Pozostawały więc kamienie i linie Mocy. Zamówiła wszystkie dostępne pozycje związane z tym tematem. Masa różnorodnego materiału przytłaczała ją. Na całym świecie istniały tajemnicze kamienie różnych rodzajów i kształtów, w niektórych znajdowały się otwory o regularnych kształtach. Takie kamienie miały posiadać uzdrawiającą moc; wystarczyło, by pacjent przeczołgał się przez otwór, a już wracał do zdrowia. Inne kamienie z otworami traktowane były jako święte; składający przysięgę dotykał takiego kamienia, co miało świadczyć o jego lojalności i dobrej woli. W jeszcze innych znajdowały się wydrążenia, a w nich drobne kamyczki; trzeba było tylko przewrócić taki kamyczek, by zapewnić sobie przychylność losu.

Zgodnie ze starymi legendami, niektóre kamienie poruszały się w pewne szczególne dni czy noce roku. W niektóre gniew Boży przemienił grzeszników, jeszcze inne zostały zrzucone przez diabła na miejsce święte, tyle że z różnych przyczyn nie dosięgły celu. Zdawało się, że cała Anglia, całe Wyspy Brytyjskie wybrukowane zostały kamieniami o właściwościach magicznych.

Podobne kamienie istniały również w innych częściach Europy, choć nie zachowały się tak dobrze związane z nimi legendy. Potem Gwennan zajęła się Ameryką Południową. Najbardziej zafascynowała ją opowieść o samotnej górze pokrytej rzeźbami, których nie mógł zrozumieć ani wytłumaczyć żaden archeolog – dziwne stworzenia, głowa człowieka, która rankiem wydawała się bardzo młoda, a w miarę upływu godzin starzała się; cała góra, będąca pomnikiem zaginionego narodu czy ludu, który nie pozostawił po sobie żadnego innego dzieła.

Gwennan zebrała stopy notatek i map, pogrążyła się w chaosie, który bardziej mącił jej w głowie, niż czegokolwiek uczył. Czasami, patrząc na jakąś ilustrację w książce czy czytając fragment jakiejś legendy, doznawała dziwnego olśnienia, jakby wracało do niej jakieś wspomnienie – z pewnością jednak nie jej własne! Znała oczywiście teorię pamięci zbiorowej – hipotezę głoszącą, że pewne fragmenty starożytnej wiedzy pozostały w pamięci dalekich nawet potomków wymarłych już narodów...

Wiele żywotów? Gdzie leżała odpowiedź? Czy jakaś cząstka osobowości odrywała się od ogromnej pierwotnej wspólnej jaźni, przybierała postać cielesną, by się uczyć, by rozwijać pewne atrybuty, żyć przez jakiś czas oddzielnie, a potem powrócić do źródła? Czy rzeczywiście była kiedyś prorokinią o imieniu Ortha i żyła w cywilizacji zniszczonej przez ogólnoswiatową katastrofę do tego stopnia, że uległa całkowitemu zapomnieniu?

Ci, którzy przeżyli, którzy przetrwali tak straszliwe kataklizmy – trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, atak morza występującego z brzegów – rzeczywiście mogli oszaleć, mogli odsunąć od siebie pamięć o przeszłości. Zamienieni w tułaczy, cofnięci do czasów, gdy kamienie służyły za narzędzia, a człowiek zabijał drugiego człowieka, by zdobyć jedzenie czy miejsce w jaskini, jak długo mogli wierzyć, że cudowny świat sprzed zagłady był rzeczywistością, nie tylko legendą?

A istniały takie legendy – w Indiach przekazywali je ludzie, którzy wierzyli bardziej wyćwiczonej pamięci niż pisanym dokumentom czy naukowym formom przechowywania wiedzy. Jak wyjaśnić zachowanie tego prymitywnego plemienia w Afryce, które znało dokładnie orbitę Syriusza i oddawało mu cześć? Co począć z rozpowszechnionymi na całym świecie legendami o wielkiej powodzi i nielicznych rozbitkach – mężczyznach, kobietach, kilku zwierzętach – którzy po wyjściu ze swych kryjówek zobaczyli zupełnie nowy świat? Zebrała mnóstwo takich historii oraz ich analizy, spekulacje, domysły przeznaczone dla ludzi o otwartych umysłach, którzy mogli zastanawiać się nad fenomenem ogólnoswiatowej wyobraźni. A jeśli te opowieści wcale nie były wytworem wyobraźni?

Sterna dokumentów i notatek gromadzonych przez Gwennan rosła z każdym dniem. Zbierała wszystkie fakty, które odnosiły się do jej doświadczeń z tamtej burzowej nocy. I choć nie przyznałaby się do tego nikomu, wierzyła, że świat Orthy naprawdę kiedyś istniał, a ziemię rzeczywiście oplata siatka linii Mocy.

Od tamtej pory nikt nie widział żadnych śladów Diabła. Zdawało się, że wraz ze zniknięciem Tora Lyle'a odeszły także wszystkie nocne potwory. Dziewczyna nie wątpiła już, że to właśnie Tor, świadomie czy też mimowolnie, sprowadził tutaj owe monstra.

Podczas swych badań znalazła także wiele opowieści o stworzeniach pojawiających się i znikających podczas burz albo w pobliżu linii Mocy. Jeśli były to rzeczywiście źródła energii potężniejszej od tej, którą potrafił wytworzyć człowiek, którą gromadziły magiczne kamienie, to dłaczek ta nieznana Moc, źle wykorzystana lub pozostająca poza jakąkolwiek kontrolą, nie mogłaby otwierać bram do innych miejsc egzystencji? Przeczytała już setki opowieści o potworach, które pojawiały się nie wiadomo skąd, niszczyły, zabijały lub tylko straszyły, a potem same zostawały zabite lub znikwały bez śladu. Czy walka rycerza ze smokiem to ślad jakiegoś prawdziwego wydarzenia z przeszłości?

Była całkowicie pochłonięta przedmiotem swoich badań, czuła jakiś wewnętrzny przymus, przekonanie, że musi się tego dowiedzieć. Tylko czasami do głosu dochodził zdrowy rozsądek, wpajany jej lata-

mi przez pannę Nessę. Do tej pory udawało jej się oddzielić tę pasję od codziennego życia, a ponieważ z nikim się bliżej nie przyjaźniła, nikt też nie wiedział, czym zajmuje się całymi wieczorami.

Odchyliła się w krześle, by przejrzeć notatki, które sporządziła, czytając stopy książek i przeglądając dziesiątki map. Tylko takie odpowiedzi udało jej się znaleźć w ciągu kilku tygodni poszukiwań. Nieliczne i niejednoznaczne nie byłyby w stanie przekonać żadnego z mieszkańców miasteczka. Autorzy czytanych przez Gwennan książek podróżowali po całym świecie, odwiedzili wiele miejsc, które uznawano za tajemnicze czy magiczne. Po raz pierwszy w życiu Gwennan zastanawiała się, czy nie powinna skontaktować się z niektórymi spośród tych badaczy.

Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Nigdy nie chciała opuszczać Whitebridge. Teraz odkryła, że tego rodzaju pomysł budzi w niej przerażenie. Tak, jakby musiała tutaj zostać i czekać...

List lady Lyle – czytała go wiele razy – kazał jej rozpocząć poszukiwania, co właśnie robiła od dłuższego już czasu. Jakich jednak konkretnych informacji mogła się dowiedzieć z tej zbieraniny bajek, spekulacji i domysłów, często zupełnie fantastycznych? Kosmici, którzy wylądowali przed wiekami na naszej planecie i stworzyli nową rasę inteligentnych istot, obdarzeni mocą, która czyniła z nich bogów; zaginione miasta, ukryte głęboko w dżungli; skażone obszary na pustyni, które mogły oznaczać miejsca wybuchów atomowych sprzed tysiącleci; wieści o tym, że ziemski księżyc jest znacznie starszy, niż dotąd sądzono; że mogą istnieć dwa inne ciała niebieskie ukryte przed wzrokiem ludzkim – ciemny księżyc Lilith, opromieniony słońcem Wulkan...

Żadna z tych rewelacji do niczego jej się nie przydawała. Gwennan poczuła się nagle wyczerpana kilkugodzinną pracą. Pochyliła się do przodu, oparła głowę na rękach. Znużone czytaniem oczy same się zamknęły. Czego właściwie dowiedziała się w ciągu tych kilku tygodni? Niczego istotnego.

Nie widziała Stojących Kamieni od tamtego poranka, gdy uciekła z posiadłości Lyle'ów. I nie zamierzała tam iść – być może już nigdy! Podniosła głowę i spojrzała na stare biurko, w którym panna Nessa przechowywała wszystkie ważniejsze dokumenty zapakowane starannie w małe paczuski i koperty. Był tam akt własności domu, kwity podatkowe za kilka lat, jakieś rachunki, polisa ubezpieczeniowa. Jedynym dokumentem związanym z Gwennan był akt urodzenia, podpisany przez konsula w jakimś dalekim kraju, zaświadczający, że dziewczynka jest obywatelką Stanów Zjednoczonych, dzieckiem amerykańskich rodziców. Gwennan przejrzała już wiele razy całą zawartość biurka, w nadziei,

że znajdzie akt małżeństwa rodziców, a w nim nazwisko swego ojca. Jeśli taki dokument kiedykolwiek znajdował się w domu, panna Nessa dawno się go pozbyła.

Aż do ostatniej rozmowy z panem Stevensem Gwennan zupełnie nie pamiętała, że nosi nazwisko ciotki, nie swoje własne. Zabrała się za poszukiwania tego aktu, gdy tylko wróciła wieczorem do domu...

Ketern – z pewnością dziwne nazwisko, zupełnie niepodobne do tych, jakie mają miejscowe rodziny. Ale nie Lyle. Pan Stevens musiał się mylić w tej kwestii.

Była ogromnie zmęczona. Drgnęła zaskoczona, spojrzawszy na zegarek. Już po północy. Nie będzie w stanie normalnie pracować, prowadząc taki tryb życia. Machinalnie pozbierała wszystkie papiery, ułożyła książki. Choć wstała od stołu, nie podeszła od razu do pieca, by podłożyć dREW na noc.

Za oknem wył wiatr. Przed trzema dniami spadł pierwszy śnieg i, jak słyszała w bibliotece, wkrótce miała nadejść pierwsza burza śnieżna. Tego wieczoru, nim usiadła do pracy, upewniła się, że ma wystarczający zapas opału. Ubrała się też w trzy swetry. W kredensie znajdowały się zapasy przygotowane na wypadek, gdyby śnieg odciął ją od świata.

Nazajutrz, w sobotę, bibliotekę otwierano na krócej, ale i tak musiała tam pójść, chyba że zamieć całkowicie zablokuje drogi.

Gwennan podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Księżyc w pełni zasłonięty był grubą warstwą chmur. Płatki śniegu opadały z szelestem na szybę, na której tworzył się już welon szronu.

Powoli przygotowywała się do nocy, nie chcąc opuszczać pokoju, który zawsze był najcieplejszym pomieszczeniem w starym domu. Zamierzała już nawet przynieść tu pościel i przespać się na sofie, jak robiła to dawnymi czasy, ale w końcu udała się do sypialni. Choć była ogromnie zmęczona, nie mogła zasnąć.

Po jakimś czasie uświadomiła sobie, że jej oczy wciąż zwracają się ku oknu, przez które patrzył na nią tamtej nocy potwór Ciemności. Czy chłód mógł powstrzymać takie stworzenia, czy nie pozwalał im przekraczać linii Mocy?

Zacisnęła dłoń na wisiorze. Zawsze nosiła go ze sobą, ukryty pod ubraniem. Wykonany był ze srebrzystego metalu, którego nie potrafiła nazwać, nigdy nie był zimny, odpowiadał zawsze na jej dotyk miłym, dodającym otuchy ciepłem.

Zegar Gwiezdnych Godzin, tak nazwała go lady Lyle. Odkąd jednak Gwennan opuściła tamtego ranka Stożące Kamienie, symbole na tarczy dysku stały się tak niewyraźne, że można je było zobaczyć tyl-

ko w bardzo mocnym świetle, a świetlny trójkąt, wskazujący na poszczególne znaki, zniknął bez śladu. Miała zabrać go do kamieni w dzień przesilenia zimowego – prawie za miesiąc. Czy chciała tam pójść – i być może przeżyć kolejną serię przygód, które jeszcze bardziej oddaliłyby ją od realnego świata?

Jednak dotyk wisiora dawał jej takie poczucie bezpieczeństwa, jakby tuż przy jej boku stał najlepszy, niezawodny przyjaciel. Zamknęła oczy.

Zrobiło jej się zimno...

Dostrzegła długą wstęgę światła. Po obu jej stronach wznosiły się ściany ciemności. Wiedziała, że tylko idąc za światłem, będzie bezpieczna. Po chwili z tej wąskiej ścieżki podniosły się mgły – jedne śnieżnobiałe, inne połyskujące złotem. W oddali przybierały różne kształty i formy, by rozwiać się w nicość, gdy do nich podchodziła.

Ujrzała piramidę. Z jej ścian wypływały języki światła, podobne do tych, które sączyły się z palców Głosu, gdy błogosławiła miastu, życząc mu, by żyło w harmonii i pokoju. Gdy Gwennan zbliżyła się, piramida zniknęła. Zamiast niej w powietrzu pojawiło się koło, stanęło przed nią niczym bariera blokująca przejście. W krąg wpisana była świetlista pięcioramienna gwiazda, a w miejscach, gdzie obie figury stykały się ze sobą, jaśniały kule światła dające początek nowym wstęgom Mocy.

Koło przygasło, zniknęło. Teraz widziała dobrze znane symbole – część tych zatartych znaków, wrytych nad drzwiami domu, który uznawała za swój. Był to ankh – klucz – z jego ramion wypływało światło...

Gwennan nie było już zimno, bo jej ciało – jeśli rzeczywiście podróżowała teraz w ciele – obmyte zostało falą ciepła, poczuciem spokoju, wyzwolonej, służącej światłu Mocy.

Przeszła przez mgłę, która tworzyła ankh.

Ujrzała przed sobą znak wisiora – pełny krąg księżycy zwieńczony rogami jego narodzin. Z zakończeń tych właśnie rogów wydobywało się teraz światło – nie wędrowało jednak do góry, lecz na boki, pomiędzy nią i ściany ciemności. Srebrny krąg nie zniknął, gdy się do niego zbliżyła. Utworzył bramę, a niewidzialna siła przepchnęła ją na drugą stronę.

Co ją tu jeszcze czekało? Zbliżyli się do niej ci, których miała spotkać. Poznawała niektóre twarze i witała je z radością. Powróciło do niej niewyraźne wspomnienie jazdy na stworzeniu, które na dumnie uniesionej głowie nosiło wielki śnieżnobiały róg, otoczony spiralą złotej nici. Przeszła przez miejsce, gdzie gromadzili się mężczyźni

ubrani we wspaniałe kolczugi okryte opończami z najdelikatniejszego jedwabiu, zdobionego klejnotami i sznurami pereł, kobiety w sukniach, które mogłyby być utkane ze słonecznego światła i morskiej piany.

Tylko że tu wcale nie było światła. Biegła, przejęta strachem, a serce waliło jej w piersiach tak mocno, jakby chciało z nich wyskoczyć. Wiedziała, że ucieka przed jakimś straszliwym niebezpieczeństwem.

Leżała na brudnej słomie, pragnienie paliło jej gardło, słoneczny żar padał na nią przez otwór w rozpadającej się ścianie. W nozdrzach czuła zapach zgnilizny, wiedziała, że to zapach jej własnego śmiertelnego ciała, które rozkładało się, nim jeszcze zdołała się z niego wyzwolić. Błagała w duszy o śmierć, która była tak bezlitosna, że nie chciała do niej przyjść.

Biegła przez las, gdzie niektóre drzewa były kobietami uwiecznionymi w korze i drewnie. Śmiały się z niej i szydziły, gdy próbowała uciec przed uderzeniami ich ramion, przemknąć pomiędzy pniami, które zastępowały jej drogę.

Potem wpadła na głazy, które morze wyrzuciło na brzeg, nie pozostawiając ani skrawka piaszczystej plaży. W tym labiryncie oślizgłych zielonobrazowych kamieni łatwo było złamać nogę. Nad jej głową przemknął jakiś cień – skrzydlate stworzenie tak wielkie, że mogło ją bez trudu porwać i uśmiercić. Przykucnęła między kamieniami i zakryła głowę rękoma, w nadziei, że umknie jego uwadze.

Pod jej stopami był teraz piasek – lecz nie wilgotny piasek plaży, lecz ogromne, niekończące się wydmy bez żadnej drogi. Tu i ówdzie wiatr odsłonił nagie szkielety zwierząt i ludzi odzianych w zardzewiałą zbroję. Pewnie jakaś większa grupa uciekła na to pustkowie i padła tu z wycieńczenia. Gwennan potknęła się o krawędź tarczy wystającej z piasku.

I przenosiła się tak z rzeczywistości w rzeczywistość, z miejsc jasných i pięknych w mroczne i odrażające. Wszędzie miała jakieś zadanie do spełnienia, musiały dokonać jakiegoś wyboru.

Wreszcie nadeszła ostatnia wizja. Gwennan stała na ciemnym zboczu. Była pogodna, bezchmurna noc – gwiazdy świeciły pełnym blaskiem, wydawały się bliższe niż kiedykolwiek, a niektórych z nich nie widziała nigdy wcześniej. Gwiazdy nie stały w miejscu, przesuwały się powoli przez niebo, zataczając krąg, zmieniając bez ustanku pozycję. Aż wreszcie powróciły na miejsca, w których widziała je po raz pierwszy. Czas zatoczył pełny krąg.

Potem ogarnęła ją ciemność. Nie bała się jednak – ciemność była ciepła, przyjazna, pozwalała jej odpocząć od snów i wizji.

Kiedy Gwennan obudziła się, okno obok jej łóżka było niemal całkiem zamrożone. Spojrzała na zegarek. Ósma! Zasnęła i musiała się teraz w pośpiechu ubrać, zjeść śniadanie, przygotować do pracy. W nocy spadło sporo śniegu, ale Gwennan słyszała już nadjeżdżający pług. Red Anderson wziął się do pracy. Będzie mogła bez problemów dotrzeć do biblioteki.

Zadzwoił telefon. Newtonowie chcieli wiedzieć, czy wszystko u niej w porządku. Ralph obiecał jej przynieść w ciągu dnia trochę drewna na opał. Gwennan tak szybko wpadła w wir dnia codziennego, że niemal zapomniała o sennych widziadłach. Jednocześnie jadła śniadanie i sporządzała listę zakupów.

Blask słońca był słaby, jakby przyćmiony, kiedy przedzierała się przez zasy do drogi. Na niebie gromadziły się nowe chmury. Gwennan pomyślała, że jeśli znów zacznie padać, powinna wcześniej zamknąć bibliotekę i wrócić do domu.

Z dała usłyszeć warkot skutera śnieżnego i śmiech rozbawionych pasażerów. Idąc śnieżną drogą, Gwennan czuła, jak między nią a rzeczywistością tworzy się coraz większa przepaść. Potrząsnęła głową. Nie będzie już więcej poświęcać całych dni na badania irracjonalnych zjawisk. Tego ranka kilkakrotnie czuła, że cały dom, pokój, kuchnia stają się jej obce. Było to bardzo niebezpieczne. Nie! Musi położyć temu kres. Musi mocno stąpać po ziemi.

Rzeczywistością było skrzywienie śniegu pod nogami, dojmujący chłód na twarzy. Była Gwennan Daggert i tylko nią chciała zostać. Cała reszta...

Ta myśl wywołała w niej nagły strach, który stawał się coraz silniejszy w miarę, gdy wyobrażała sobie, co stałoby się, gdyby inni poznali jej obsesję. Większość mieszkańców miasteczka i tak uważała ją za dziwaczkę. Teraz mogą uznać, że postradała zmysły.

Kiedy Gwennan dotarła do biblioteki, podjęła już ostateczną decyzję. Jednym ruchem zdjęła naszyjnik, czując, że jeśli nie uwolni się od niego natychmiast, być może nigdy już nie będzie w stanie tego zrobić.

Wisior był ciepły, wręcz gorący, jakby rozgrzał go gniew albo jakby chciał ją przed czymś ostrzec. Wzięła z biurka kopertę, włożyła do niej naszyjnik i schowała ją w najniższej szufladzie. Postanowiła zwrócić wszystkie książki tam, skąd je pożyczyła. Notatki spali w piecu, gdy tylko wróci do domu. Musiała to zrobić, by świat nie uznał jej za szaloną.

Ruch tego dnia był bardzo mały, jednak jak w każdą sobotę pojawił się Jim Pylon.

– Zapowiada się fatalna pogoda – oświadczył, siadając na krześle przy drzwiach i zdejmując buty, które wcześniej bezskutecznie próbował otrzepać ze śniegu. Potem przeszedł przez hol jedynie w grubych, podwójnych skarpetach. – Podobno czeka nas zamieć. Masz wszystko, co potrzebne?

– Dokupię jeszcze parę rzeczy – odparła Gwennan. – Paul Newton ma zabrać mnie spod sklepu.

– Chciałbym wziąć do domu kilka książek Crowderów, jeśli pozwolisz. Nie wiadomo, czy przyjdiesz w poniedziałek.

Wyszedł ze starymi księgami rachunkowymi. Gwennan ubrała się już do wyjścia, kiedy coś kazało jej zatrzymać się przy biurku. Gdyby była rozsądna, z pewnością zostawiłaby wisior na swoim miejscu. Jednak kierowana jakąś obcą siłą – z pewnością nie była to jej własna wola – otworzyła szufladę, wyjęła kopertę i schowała ją w wewnętrznej kieszeni kurtki.

By zrównoważyć działanie talizmanu, wzięła do ręki torbę, którą wypchała książkami zaraz po przyjeździe do biblioteki. Dość ezoterycznych lektur – w torbie miała trzy kryminały, dwie dość nudne biografie, książkę podróżniczą i trzy najbardziej frywolne romanse, jakie można było znaleźć w bibliotece. Teraz tylko to zamierzała czytać w domu. Była Gwennan Daggert, bibliotekarką z Whitebridge, bardzo zwyczajną, rozsądną kobietą...

Z mocnym postanowieniem, że odtąd tak będzie wyglądało jej życie, poszła do sklepu.

Spotkała tam Paula i po chwili razem już ładowali do auta kartony z artykułami niezbędnymi do przetrwania kilkudniowej zamieci. Znowu zaczął padać śnieg. Słońce zniknęło całkiem za grubą powłoką chmur. Podniósł się wiatr, który ciął jak nóż, zapierając oddech. Zapowiadana burza śnieżna najwyraźniej zbliżała się do miasteczka i Gwennan była bardzo zadowolona, że wróciła już do domu. Paul przyniósł drewno na opał. Ułożył je w szopie, do której wchodziło się przez wewnętrzne, kuchenne drzwi.

Gwennan zdjęła ze stołu sterty książek, poukładała je w pustych kartonach po artykułach spożywczych i wyniosła do wyizolowanego salonu, w którym mogły sobie leżeć choćby przez całą zimę. Nie spała jednak notatek. Tak jak nie była w stanie porzucić wisiora, tak też nie potrafiła zniszczyć owoców swej pracy z ostatnich tygodni. Schowała je do oddzielnego pudła, na wierzchu położyła kopertę z wisio-rem, wyniosła całość do salonu i mocno zatrzasnęła za sobą drzwi.

Gwennan spodziewała się, że osaczą ją jakieś nowe wizje, że coś każe jej powrócić do przerwanych badań. Nie wydarzyło się jednak nic, co zmusiłoby ją do podjęcia walki. Spała bez przeszkód, jak rekonwalescentka po ciężkiej chorobie, uwolniona od cienia, który zamroził jej umysł. Zapowiadana burza uderzyła z całą mocą i przez trzy dni Gwennan była uwięziona we własnym domu. Siedziała przy piecu, wstając tylko na chwilę, by przynieść drewna.

Drzemała całymi godzinami, dziwnie zmęczona chętnie oddawała się lenistwu. Nawyki wpojone jej przez pannę Nessę, która zawsze starała się znaleźć jakieś zajęcie, wykorzystać w pełni wolny czas, teraz straciły swą moc. Gwennan próżnowała jak nigdy dotąd w życiu. Spała, wstawiała, by zagrzać sobie zupę – a gdy miała nieco więcej sił, by przygotować gulasz, który miał jej wystarczyć na kilka posiłków.

Newtonowie dzwonili dwukrotnie, sprawdzając, jak sobie radzi. Gdy po pewnym czasie spróbowała zadzwonić się do Pyrona i spytać o stan biblioteki, odkryła, że telefon nie działa. Dawniej taka izolacja nigdy nie była pretekstem do lenistwa. Panna Nessa zawsze miała ręce pełne roboty, nigdy nie pozwoliła też Gwennan wykręcić się od takich zajęć jak cerowanie zimowych rajstop, nicowanie pościeli czy robienie dywaników z gałganów.

Drugiego popołudnia, kiedy zrobiło się już tak ciemno, że Gwennan zmuszona była włączyć zasilaną baterią lampkę – obciążone śniegiem linie elektryczne także zawiodły – odechciało jej się spać. Te godziny bezczynności najwyraźniej pobudziły ją teraz do działania.

Choć panna Nessa zawsze pogardzała robótkami ręcznymi, które nie miały praktycznego zastosowania, na dnie starej komody od lat leżały kawałki pięknego jedwabiu i brokatu. Niektóre z nich, sądząc po kształcie, musiały tworzyć kiedyś niezwykle bogate, strojne ubrania, które z niezrozumiałych powodów zostały poprute. Kiedyś, gdy Gwennan była jeszcze bardzo młoda, panna Nessa w przypływie dobrego humoru pozwoliła jej podziwiać przepiękne hafty, wzory tak doskonałe i delikatne, że wydawały się nierozłącznie splecione z tłem. Tu i ówdzie lśniły metaliczne nici – pokryte już nieco patyną czasu – a niektóre kwiaty zdobione były maleńkimi perłami.

Gwennan nie miała pojęcia, dlaczego przypominała sobie o tym właśnie teraz. Podeszła jednak do komody i zaczęła przekopywać się przez warstwę różnych skrawków, które miały służyć za ścierki i szmaty, by wreszcie dotrzeć do sztywnego, żółtego papieru chroniącego

ukryte poniżej skarby. Skąd się tutaj wzięły? Panna Nessa zawsze odpowiadała, że to ubrania należące do odległych przodków rodziny. Zawsze traktowała je z pogardą – Daggertowie, farmerzy z dziada pradziada, nigdy nie nosili takich fatałaszków. Czy któryś z tych krzepkich, pozbawionych wyobraźni farmerów poślubił kobietę z innych sfer i przywiózł ją na to odludzie?

A jeśli tak – to jak wyglądało ich życie? Kto rozpruł te suknie? Gwennan wzięła naczęce starych jedwabów, atlasów i aksamitów. Położyła je na stole.

Tak, to była część stanika obszytego zielonym brokatem. Bogaty haft zdobił skraj dekoltu, który, jak na ówczesne zwyczaje miasteczka, musiał być nieprzyzwoicie duży. Srebrne niegdyś nici poczerniały ze starości, pobłyskiwały w nich tylko drobne perełki. Niestety Gwennan nie udało się znaleźć reszty sukni pasującej do tego stanika.

Sięgnęła po żółtą spódnice – zdawało się, że ten materiał w ogóle nie wyblakł przez lata – także bogato zdobioną. Wyhaftowane na niej bratki wyglądały jak żywe, wdzięczyły się do Gwennan fioletowymi płatkami. Potem natrafiła na jakiś aksamit, który stanowił zapewne część peleryny. Pod jasnobrązowym materiałem znajdowały się resztki podszewki, równie żółtej, jak spódnica.

Wzięła do ręki ciemnofioletowy brokat – kolor ten przywodził na myśl szaty królowej, która przygotowuje się do koronacji – tak gruby, że wykonana z niego suknia musiała być niezwykle ciężka. Pod brokatem leżał jedwab, który rozdarł się pod delikatnym dotykiem Gwennan.

Leżący na samym dole materiał wydawał się skromny, szorstki w porównaniu z jedwabiem i aksamitem, których dotykała przed chwilą. Co do koloru... Gwennan przysunęła go bliżej lampy... Tak, był ciemnozielony, lecz pod jej dotykiem jakby zmieniał barwę, ukazywał ukryte odcienie. W pełnym świetle widać było srebrny połysk. Gwennan miała wrażenie, że patrzy na powierzchnię wody ze spienionymi falami. Kiedy poruszyła rękami, materiał rozwinął się, zajmując znaczną część podłogi. Im dłużej pieściły go jej palce, tym mocniej do nich przywierał. Gwennan miała dziwne wrażenie, że materiał ten przypomina raczej futro niż tkaninę, że kiedyś był częścią żywej istoty.

Ułożywszy znalezisko na stole, zaczęła rozwijać to, co jeszcze samo się nie rozwinęło. Materiał zajmował coraz większy obszar, zakrył już cały stół i zwieszał się na podłogę – był naprawdę ogromny!

W świetle lampy srebrzysta powierzchnia zaczęła się zmieniać. Niewyraźne plamy, przypominające chmury na pogodnym niebie, przyjmowały nowe kształty. Gwennan znieruchomiała, a potem szyb-

ko cofnęła ręce. Te linie rzeczywiście tworzyły wzór – wzór, który napotkała już wcześniej, choć nie mogłaby zidentyfikować jego poszczególnych elementów. Przypominały kanciaste znaki, które widziała kiedyś na powierzchni Stojących Kamieni.

Ciężar tej tkaniny także był dla niej zaskoczeniem, podobnie jak fakt, że miała do czynienia nie z jakimś fragmentem sukni czy bluzki, lecz z całym, doskonale zachowanym długim płaszczem, podobnym do tego, jaki nosiła lady Lyle, tyle że bez kaptura. Pasek ściągający go u szyi zapisany był gęsto trudnymi do zidentyfikowania znakami. Na kołnierzu znajdowała się także brosza spinająca go pod szyją. Metal, z którego została wykonana, miał srebrzysty połysk, ale nie zaśniedziało jak zwykle srebro. Gwennan pomyślała, że jest to zapewne ten sam metal, z którego odlany został wisior. Kształtem przypominał oko – w owalnej płytce umieszczony był biały matowy kamień, jego powierzchnię przecinała pionowa, zielona żrenica, niczym ślepię kota spoglądającego w pełny blask lampy.

Gwennan cofnęła się o krok. Ta brosza przyciągała jej uwagę niczym prawdziwe oko. Płaszcz zsunął się ze stołu na podłogę, a wyszyte na nim znaki skryły się w cieniu. Tylko leżąca na wierzchu brosza pobłyskiwała lekko.

Gwennan była niemal całkowicie pewna, że ta rzecz nie należała nigdy do Daggertów. Nie mogła zrozumieć, jak coś takiego trafiło pomiędzy szmaty i skrawki gromadzone przez pannę Nessę.

Pochyliła się, pochwyciła płaszcz i zgniotła go w dłoni. Choć początkowo wydawał jej się szorstki i ciężki, w rzeczywistości był znacznie lżejszy, niż przypuszczała, i bez trudu mogła podnieść go z podłogi jedną ręką.

Do wnętrza starannie zamkniętej kuchni nie mógł przedostać się najmniejszy powiew wiatru, kiedy jednak podniosła zieloną tkaninę, zafalowała ona lekko i otarła się o ciało Gwennan. Temu, co się dalej działo, nie mogła już zapobiec. Powodowana jakąś obcą wolą okryła się płaszczem, którego sztywny kołnierz drapał ją w brodę. Resztkami siły woli nie dała się całkowicie pokonać tej obcej sile; nie pozwoliła, by jej dłonie zapięły broszę.

Zielona tkanina okrywała całe jej ciało, niemal sięgając do podłogi. Kiedy Gwennan spoglądała w dół, nie widziała nawet własnych nóg. Poruszyła ramionami, próbując zrzucić z siebie płaszcz. Sprzeciwiał się jej wysiłkom, ale strach dodał jej sił i wreszcie uwolniła się od niego, choć krępował ją jak sieć oplatająca rybę.

Przypomniała sobie fragment starej legendy. Ludzie Gór, którzy zamieszkiwali pod powierzchnią ziemi, czasami zapraszali do siebie

zwykle ludzkie istoty. Jednak ktoś, kto spędził u nich choćby jedną noc, po wyjściu przekonywał się, że na powierzchni upłynęło wiele lat, że wszystko, co było mu dobrze znane, dawno już zniknęło.

Gwennan ułożyła płaszcz na stole, chcąc przekonać się, dlaczego podszewka tak mocno do niej przywierała.

Przesunęła palcem po wewnętrznej stronie płaszcza i natychmiast go cofnęła, a potem podniosła do ust, by zliżać kroplę krwi. Jakaś igła czy szpilka pozostawiona przez roztargnioną krawcową? Nie, wewnętrzna strona płaszcza pokryta była... łuską.

Pokryta łuską srebrzystoszara skóra – jeśli rzeczywiście była to skóra – wydawała się bardzo cienka, cienka jak papier. Miejscami łuski poodpadały od niej, pozostałe zaś tworzyły nieregularne szare plamy.

Być może był to efekt wywołany przez ciepło lampy, lecz z ułożonego na stole płaszcz zaczął unosić się jakiś zapach. Nie był to smród, który kojarzyła z istotami z Innego Świata. Wydawał się czysty i świeży, podobny do aromatu sosny. Stał się jeszcze wyraźniejszy, gdy próbowała zwinąć tkaninę. Choć tajemniczy płaszcz pobudził jej ciekawość, nadal chciała uwolnić się od wszystkiego, co nie pochodziło z jej czasów. Dlatego też wytrwale składała płaszcz, który jednak wcale nie chciał wrócić do poprzedniej postaci.

W końcu westchnęła ciężko i poddała się. Broszka w kształcie oka leżała z boku, jakby wciąż jej się przyglądając. Gwennan wstała szybko z miejsca i odsunęła na bok ten przeklęty płaszcz. Potem zebrała wszystkie fragmenty garderoby i schowała je do komody. Odkąd odkryła, z czego zrobiona jest podszewka zielonego płaszcza, wołała go nie dotykać. Nie mogła jednak zostawić go na stole.

Przemogła się i jeszcze raz spróbowała zwinąć płaszcz. Zapach wydzielany przez tkaninę wypełniał już całą kuchnię, gęstniał niczym dym kadzidła. Gwennan wzięła latarkę i zaniósła płaszcz do salonu, gdzie leżały już inne rzeczy, z którymi nie chciała mieć nic wspólnego.

Powróciwszy do kuchni, dwukrotnie umyła ręce, do których przywarł żywiczny zapach. Wyszorowała je proszkiem, choć był to zabieg bolesny i szkodliwy dla skóry. Potem zrobiła sobie herbatę z ziół, które panna Nessa tak starannie posegregowała na kuchennych półkach. Te miały koić nerwy, ułatwiać zasypianie...

Na zewnątrz wciąż padał śnieg. Gwennan postawiła kubek z herbatą na stoliku, usadowiła się na sofie, okryła dwoma kocami i sięgnęła po książkę. Wreszcie jej siła woli zaczęła zwyciężać w tej bitwie. Czuła, jak się uspokaja, jak opuszcza ją niepokój i podniecenie sprzed kilku chwil.

Trzeciego dnia śnieg przestał wreszcie padać. Gwennan, zniecierpliwiona już zbyt długim uwięzieniem – obawiała się, że jeśli nie wyjdzie wkrótce z domu, nie oprze się pokusie i powróci do rzeczy, które schowała w salonie – ogromnie się ucieszyła, słysząc znajomy warkot pługu śnieżnego. Mogła przynajmniej pójść do Newtonów i dowiedzieć się, kiedy podłączą im telefon i prąd, żeby mogli znów wrócić do cywilizacji.

Założywszy ciepłe, odporne na wilgoć ubranie, odważyła się wyjść na zewnątrz, choć musiała przekopać się w tym celu przez ogromną zaspę barykadującą drzwi. Podwórze pokrywała gruba warstwa śniegu, spod którego nie widać nawet było krzaków żywopłotu. Red Anderson pomachał jej ręką ze swego pługa. Gwennan odpowiedziała w ten sam sposób, a potem przedostała się do oczyszczonej przez pług drogi. Wkrótce spotkała Paula, który odśnieżał ścieżki wokół domu. Z radia w kuchni Newtonów dowiedziała się, że były to rekordowe opady śniegu. Ostrzeżenia i raporty z kraju przerywane były co chwile przez gwałtowne trzaski wyładowań elektrycznych.

– Miasto śpi jak niedźwiedź w zimie – oznajmił Paul, otrzepując buty. – Zamknęli szkołę na tydzień. Nie masz się tam po co wybierać, Gwen. I tak nikt nie przyjdzie do biblioteki, a wiesz, jak trudno ją ogrzać. Piec już od dawna nie działa, jak należy.

Przypomniawszy sobie ziąb, który dokuczał jej podczas poprzednich ataków zimy, Gwennan bardzo chętnie przyznała mu rację.

– To dziwne – rzekła Florence, sięgając po dzbanek z kawą i napełniając kubek Paula. – Podobno ostatniej nocy widziano jakieś światła na niebie. Mówią, że może to był jakiś samolot, który zboczył z kursu. To coś nie odpowiadało na żadne sygnały, nikt też nie zgłosił wypadku, a z pobliskich lotnisk nie startował żaden samolot. Wszystkie zostały zamknięte na czas burzy.

– Światła?

Florence skinęła głową.

– Czerwone i żółte. Dlatego to takie dziwne. Żaden samolot nie używa żółtych świateł.

Paul roześmiał się.

– Znów UFO, choć to nie ich sezon. Gdyby Marsjanie mieli choć trochę rozumu, trzymaliby się z dala od naszych burz. A chyba znają się na pogodzie, bo latają nad nami już od ładnych paru lat. To mogła być zorza polarna...

Florence pokręciła głową.

– Mówią, że to były małe światełka, nie obejmowały całego nieba. I poruszały się. Jeśli to był jakiś samolot, pewnie spadł i minął

tygodnie, zanim zostanie odnaleziony. Mówią, że na północy znów zbierają się chmury i czeka nas kolejna burza. Gwen... – Florence wyraźnie spowaźniała. – Może jednak przeprowadzisz się do nas? Nie ma sensu, żebyś siedziała tam sama, jeśli znów nas zasypie. Nie zamierzasz chyba ogrzewać całego domu, co?

– Przeniosłam się do kuchni – odparła Gwennan. – Nie wiem, Florence... – Propozycja była kusząca. Nie tylko dlatego, że po raz pierwszy w życiu przez te trzy dni czuła się więźniem we własnym domu. Mogła w ten sposób uciec przed wszystkim, o czym chciała zapomnieć. Tutaj, u Newtonów, nie będzie musiała walczyć z pokusą, nie będzie mogła przejść do salonu, by jeszcze raz spojrzeć na to, co tam schowała.

– Florence ma rację, Gwen – rzekł Paul. – Przynieś tu swoje rzeczy i zostań z nami do jutra. Jeśli burza nie nadejdzie, zawsze będziesz mogła wrócić do siebie.

– Zgoda, zrobię tak! – odparła Gwennan pewnym głosem, jakby sprzeciwiając się rozkazowi jakiejś niewidzialnej siły. Jeśli rzeczywiście miała nadejść następna burza śnieżna, to propozycja Newtonów była dobrym rozwiązaniem.

Burza uderzyła z taką furją, jakby wkraczali w kolejną epokę lodowcową. Gwennan siedziała w bujanym fotelu z Justinią, czarną kotką Newtonów na kolanach i wsłuchiwała się w wycie wiatru. Radio, które zajmowało teraz centralne miejsce na stole, wyrzucało z siebie komunikaty przerywane trzaskami i rozdzierającym piskiem. Od czasu do czasu słyszeli rozmowy radiooperatorów wzywających pomoc do chorych i tych, którym brakowało środków do przetrwania.

Paul słuchał jednego z takich apeli, wciąż trzymając na rękach drewno, które przyniósł z szopy.

– Tym razem naprawdę nieźle nas przycisnęło – zauważył. – Wiesz, Gwenn, przypomina mi się ten artykuł, o którym ci wspominałem. Jakiś facet zapowiadał, że zbliża się koniec świata, że zmieniają się bieguny magnetyczne, a morze wystąpi z brzegów, że zaczną się trzęsienia ziemi i inne kłęski żywiołowe. Od kilku lat mamy ciężkie zimy, ale ta jest chyba najgorsza. Może biegun północny przesuwają się już w naszą stronę?

Florence roześmiała się.

– Koniec świata? Słyszę o tym od dziecka. Była kiedyś taka sekta, której członkowie naprawdę w to uwierzyli. Posprzedawali wszystkie swoje rzeczy, założyli białe szaty i wyszli na szczyty gór, czekając, aż Bóg weźmie ich prosto do nieba. Mama zawsze powtarzała, że nikt nie zna przyszłości i nie ma sensu zawracać sobie tym głowy. Człowiek i tak niczego nie zmieni. Jeśli biegun północny przesuwają się na południe, to

nikt i tak nie będzie go mógł zatrzymać. Różne plagi spadały i będą spadać na świat. Zawsze mieliśmy trzęsienia ziemi. Moja siostrzenica, Margy, przeżyła już dwa w Kalifornii. Potłukły jej się wszystkie naczynia, łącznie z tymi starymi talerzami, które dostała w spadku po babci Henshaw. A ten wybuch wulkanu na zachodzie przed kilku laty? To też była ogromna katastrofa. Tak, wszędzie dzieją się różne straszne rzeczy, ale to nie znaczy jeszcze, że nadchodzi koniec świata.

Koniec świata jest już bliski. Gwen tkwiła zawieszona w przestrzeni nad morzem wypełnionym płonącymi wyspami, widziała ogromne kłęby pary, gigantyczne fale, pękającą ziemię, która wyrzucała z siebie strumienie ognia, widziała śmierć...

– Gwen, Gwen! Co się z tobą dzieje?

Świat umierał na jej oczach, a ona nie mogła uczynić niczego, co powstrzymałoby tę furję żywiołów...

– Gwen! Źle się czujesz?

Ktoś potrząsał ją za ramiona. Obraz zniknął, jakby ogień z wnętrza ziemi spalił go na popiół. Florence pochylała się nad nią, patrzyła zatroskana. Nim zdążyła pomyśleć, Gwen odparła:

– To już się kiedyś wydarzyło... dawno temu... – wyszeptała Gwennan.

– Co się wydarzyło, Gwen? Wyglądasz na chorą, jesteś bardzo blada. Zrobiło ci się słabo? Coś cię boli? – Florence trzymała ją za ramiona, jakby bała się, że dziewczyna spadnie z krzesła.

– Koniec świata. – Gwenn wciąż była oszołomiona, wciąż przejęta grozą tego, co ujrzała w Lustrze. – Wybuchały wulkany, podniosły się ogromne fale, które zalały ląd, wszystko zostało zniszczone. – Zamrugała powiekami, wracając do rzeczywistości. – Chyba za dużo czytam. Była taka książka... – Zrobiła krótką pauzę, starając się wymyślić naprędce coś, w co uwierzyliby jej sąsiedzi. – Według pewnej teorii świat kilkakrotnie już dotknęły ogromne katastrofy. Każda z nich niemal zupełnie niszczyła życie na naszej planecie i wszystko musiało zaczynać się od nowa. Kiedy to czytałam, czułam się tak, jakbym widziała to na własne oczy.

– Mówisz o potopie podobnym do tego z Biblii. – Florence skinęła głową. – Tak, Paul też czytał o tym, że ludzie na całym świecie znają historię o wielkiej powodzi, którą przeżyło tylko kilka osób, choć większość z nich nigdy nie słyszała o arce Noego. Jednak autor tej książki, o której mówiłaś, musiał opisywać naprawdę straszne rzeczy. Przez chwilę wyglądałaś tak, jakbyś właśnie na to patrzyła...

– Panna Nessa zawsze powtarzała, że mam zbyt bujną wyobraźnię. – Gwen próbowała zbagatelizować całe zajście. – Czasami rzeczywiście

zbyt fantazując podczas czytania. Chyba nigdy nie dowiemy się, jak to wyglądało naprawdę.

Paul dołożył drewna do pieca, potem podszedł do stołu i potrząsnął radiem, jakby mogło to uciszyć trzaski i zakłócenia.

– Prędzej jakiś idiota rzuci gdzieś bombę atomową i to będzie koniec świata – skomentował. – Chodźmy teraz po cienkim lodzie. Wydawałoby się, że ci, którzy mają coś do powiedzenia, powinni wiedzieć, że nie należy wszczynać takiej wojny, bo i tak nikt na tym nie skorzysta. – Usiadł i wyjął fajkę. – Nie moglibyśmy zatrzymać bomb lecących nam na głowy, tak jak nie możemy powstrzymać wybuchu wulkanu czy trzęsienia ziemi. Nikt z nas nie ma takiej mocy, choć niektórzy myślą inaczej.

Florence otuliła się szczelniej swetrem.

– Lepiej nawet nie mówić o takich rzeczach, Paul. Może w coś zagramy? Przynajmniej zajmijmy myśli czymś innym.

Gwennan usłyszała już w swoich snach, że to sam człowiek był tym razem zagrożeniem dla ziemi. Zaciśnęła mocno palce. Sam człowiek! Czy można go jakoś powstrzymać?

13

W ciągu kolejnych tygodni pogoda spełniała oczekiwania najgorszych pesymistów. Tylko raz, podczas kilkudniowego okresu spokoju, Whitebridge powróciło do normalnego życia, potem jednak musiało stawić czoło kolejnej fali burz śnieżnych i nawałnic nadciągających z północy. Czasami Gwennan docierała do biblioteki tylko raz czy dwa razy w tygodniu. Miała wtedy zawsze mnóstwo pracy. Mieszkańcy miasteczka, spodziewając się kolejnych okresów odosobnienia, pożyczali całe sterty książek.

Jim Pyron wciąż przeglądał archiwum Crowderów i od czasu do czasu dzielił się z Gwennan jakimś nowym odkryciem. To on właśnie przyniósł jej wieści, których wolałaby nie usłyszeć, przywoływały bowiem niepożądane wspomnienia.

– Wczoraj wieczorem u Cranstonów pojawił się młody Lyle – oświadczył Jim. – Robił zakupy, choć słyszałem, że Lyle’owie mają własny magazyn. Zrępuszczam, że to był tylko pretekst, a tak naprawdę chodziło mu o coś innego...

– Tak? – Gwennan nie chciała słyszeć o niczym, co miało związek z Lyle’ami.

– Może wydawało mu się, że jest taki sprytny i nikt go nie przejrzy. Chciał dowiedzieć się, co robisz. Wyraźnie kierował rozmowę w tę stronę, choć nie zadawał żadnych bezpośrednich pytań.

– Więc co takiego mówił? – zapytała ostrym tonem.

– Ktoś wspomniał, że zamieszkałaś na jakiś czas u Newtonów, co było zresztą bardzo rozsądnym posunięciem. Wiesz, Gwen, to jakiś dziwny facet. Czegoś chce od ciebie, i to bardzo. Przyjaźniłaś się z lady Lyle przed jej wyjazdem, prawda? Może on myśli, że powiedziała ci coś...

Gwennan pomyślała o ostatnim liście lady Lyle. Znała go na pamięć, była pewna, że nigdy nie zapomni ani słowa. Tor Lyle chciał na pewno dostać wisior. Może gdyby mu go dała, raz na zawsze uwolniłaby się od Lyle'ów? To był najprostszy sposób, ale wiedziała, że nie może z niego skorzystać.

– Nie wiem, czego mógłby ode mnie chcieć – odparła.

Fakt, że Tor Lyle próbował o nią wypytywać, na nowo wzbudził w niej niepokój.

Nie! Nie będzie o tym myśleć, nie będzie odnawiać znajomości z Lyle'ami, nie chce tych wizji, którymi Lyle'owie potrafili sterować.

– Jak już mówiłem, nie pytał o ciebie wprost. – Gwennan zauważyła, że Jim bacznie ją obserwuje. To także wcale jej się nie podobało. – Zauważyłem tylko, że próbuje wyciągnąć od nas pewne informacje. Oczywiście, niczego się nie dowiedział. Ludzie go nie lubią. Arogancki typek, choć stara się być miły. Tyle że jest zbyt niecierpliwy i czasami traci panowanie nad sobą. Na twoim miejscu byłbym bardzo ostrożny, Gwen. Jak wiesz, Lyle'owie mają w miasteczku dość szczególną pozycję, zawsze tak było. Żaden z nich nie pokazywał się tutaj zbyt często. Z drugiej strony nikt nie może zaprzeczyć, że mają ogromne możliwości i w razie potrzeby potrafią je wykorzystać. Większość z nich trzymała się z dala od miasteczka, archiwum Crowderów mówi o tym wyraźnie. Wygląda to tak, jakby miasteczko żyło swoim życiem, a oni swoim. Ten Tor Lyle zachowuje się inaczej – stara się do nas zbliżyć, czasami zbyt natrętnie. I jest w nim coś takiego... jakby...

– Jakby w głębi duszy wciąż z nas się śmiał... – dokończyła Gwennan bez namysłu i natychmiast tego pożałowała.

– Więc jednak rozmawiałaś z nim! Gwen, uważaj na siebie. Ciesząc się, że zamieszkałaś u Newtonów. W swoim domu jesteś zbyt odizolowana, żyjesz zbyt daleko od miasteczka.

– Dlaczego miałabym się obawiać Tora Lyle'a? – spytała, unosząc gniewnie głowę.

Jim Pyron odwrócił wzrok, spojrział na dwie wielkie księgi, które przyniósł z archiwum tego popołudnia.

– Może wcale nie musisz się go obawiać – odparł powoli. – Chodzi o to, że ten facet... po prostu jest dziwny, nawet jak na Lyle'a.

Może wkrótce znów wyjedzie. Niewielu z nich spędza tu zimę. – Jim podniósł głowę i uśmiechnął się nieoczekiwanie. – Dzięki tej pogodzie pozbyliśmy się przynajmniej Diabła; za zimno dla Jego Szatańskiej Mości i jego wysłańców. Nie słysząc już nic o rozszarpanych kurczakach i paskudnym smrodzie. Powinnaś już chyba zamykać bibliotekę, prawda? Paul zawiezie cię do domu?

Skinęła głową, zadowolona ze zmiany tematu. Nie zamierzała komentować uwag o diable i jemu podobnych; znów przywołały fale wspomnień, których wolałaby się pozbyć. Na moment stanął jej przed oczami Tor i jego niezwykła świta. W jakim stopniu odpowiadała za to, co pojawiło się w jej oknie tamtej nocy? Dlaczego takie stworzenie miałoby jej szukać? Czy to także był rozkaz Tora?

Święto Dziękczynienia spędziła u Newtonów. Przypuszczenia Jima, dotyczące rychłego wyjazdu Tora, musiały okazać się prawdziwe, bowiem od tamtego czasu nie widziano młodego Lyle'a w miasteczku. Gwennan miała nadzieję, że naprawdę zniknął, by, podobnie jak inni członkowie jego klanu, spędzić resztę zimy w cieplejszym klimacie.

Ku ogólnemu zaskoczeniu na początku grudnia pogoda się poprawiła. Gwennan przeniosła się z powrotem do swego domu i zaczęła żyć w utartym od lat rytmie obowiązków. Tylko raz zajrzała do salonu, by zabrać stamtąd książki, które musiała odesłać do innych bibliotek.

Notatki upchnęła w papierową kopertę i położyła na krześle, na którym wisiał dziwny płaszcz. Jego zapach przybrał na sile w zimnym pokoju. Dziwna tkanina wciąż wydzielala intensywny aromat kwitnących kwiatów. Gwennan ponownie odniosła wrażenie, że ów materiał był kiedyś żywą istotą.

Czasami miała ochotę zabrać płaszcz z salonu, przyjrzeć mu się uważnie. Wystarczyło jej jednak siły woli, by nie ulec tej pokusie. Potem gratulowała sobie wytrwałości, która pozwoliła jej odciąć się od niepożądanych wspomnień. Celowo trzymała się rytmu życia ustalonego niegdyś przez pannę Nesse.

Boże Narodzenie nigdy nie było dla jej ciotki szczególnie radosnym okresem. Być może uważała, jak pierwsi osadnicy Nowej Anglii, że Boże Narodzenie to święto papistów. Gwennan kupiła kilka kartek świątecznych. Kiedy rozłożyła je na stole, uświadomiła sobie, jak niewiele zna ludzi – nawet w tym miasteczku, w którym spędziła większość życia.

Napisała życzenia dla rodzin każdego z członków zarządu, jak było to w zwyczaju, nie zapomniawszy także o panie Graham i jej mamie oraz o Newtonach. Zaadresowała wszystkie koperty i odłożyła je na bok. Potem zapakowała kilka prezentów – dla Grahamów i Newto-

nów – które, na szczęście, zamówiła w sklepach wysyłkowych z tak dużym wyprzedzeniem, że zdążyły dotrzeć do miasteczka przed ostatnimi burzami.

Panna Nessa uważała za swój obowiązek pieczenie ciast na święta. Gwennan zamierzała przygotować bułeczki z jabłkiem, które chciała zabrać na wieczerzę wigilijną do Newtonów, oraz ciasteczka do koszyka, który miała wystawić w bibliotece podczas tygodnia poprzedzającego Boże Narodzenie.

Choć nie była tak dobrą kucharką, jak większość gospodyń z miasteczka, radziła sobie całkiem nieźle – przydały się nauki panny Nessy. Nie przystrajała w żaden sposób domu, ale kupiła trochę dekoracji do biblioteki, a dzieci z klasy panny Graham przyniosły papierowe wycinanki, którymi ozdobiła ściany i okna.

Dzień przesilenia zimowego...

Gwennan przyłożyła dłoń do głowy, pochyliła się nad stołem. Nie! Nie zrobi tego! Nie była nic winna lady Lyle – prócz wspomnień, które przyniosły teraz ze sobą falę dreszczy, lodowatego zimna i strachu.

Dzień przesilenia zimowego...

Niczego nie obiecywała. Nigdy niczego nie obiecywała! Nie musi wykonywać jej instrukcji, skoro niczego nie obiecała! Nie prosiła lady Lyle o podarunki – chciała jedynie, by zostawiono ją w spokoju. W spokoju!

Dzień przesilenia zimowego...

Choć Gwennan walczyła desperacko, wiedziała, że nie ma żadnych szans na wygraną. Była dotąd tak pewna, że uwolniła się od przy musu, że nie jest już narzędziem Lyle'ów. W tym momencie zrozumiała, że daremnie próbowała otoczyć się murem, że pozwolono jej tylko na chwilę cieszyć się wolnością, tak jak kot pozwala myszy odbiec na kilka kroków, by przygnieść ją po chwili potężną łapą. Nie była wolna – wciąż pozostawała w mocy innych.

Gwennan opadła bezwładnie na krzesło. Nigdy nie poddawała się łzom. Nawet jako dziecko witała ból i rozczarowanie zdeterminowanym grymasem, zaciskała mocno usta, lecz nie płakała. Teraz jednak czuła, że do oczu napływają jej łzy, nie panowała nad swymi emocjami. Lyle'owie mieli nad nią władzę, była ich sługą, zupełnie tak samo, jak ci ciemnoskórzy, milczący ludzie, których widziała pod ich dachem. Lyle'owie zniewalali wszystkich, których chcieli zmusić do służby.

Walczyła, wzywając na pomoc resztki siły woli. Wstała z krzesła, nie próbując ocierać łez, które spływały po jej policzkach. Wciąż mogła walczyć i zamierzała to robić. Poruszyła rękami, najpierw nieśmiało, potem z coraz większą pewnością siebie. Odmierzała poszczególne

składniki, miesiła ciasto, wycinała ciasteczka o przeróżnych kształtach, wykorzystując do tego stare foremki, które znalazła jeszcze podczas wiosennych porządków. Wsadziła ciastka do piekarnika, a gdy je po jakimś czasie wyjęła, były złote i kruche, pokryte warstwą zielonego i czerwonego cukru. Walczyła bez ustanku, wykręcając się i wijąc, dążąc ku wolności.

Jednak układając chłodne już ciasteczka w kolorowych, blaszanych pojemnikach, wiedziała, że przegrała tę bitwę, że została pokonana, nim jeszcze bitwa się zaczęła. Następnego ranka będzie musiała zrobić to, o co prosiła ją lady Lyle w swym liście. Jeszcze raz weźmie udział w grze Lyle'ów – nie mogła przed tym uciec.

Tego wieczoru bardzo wcześnie położyła się spać. Przedtem jednak poszła do salonu i zabrała stamtąd płaszcz oraz kopertę z wisio-rem. Kiedy zacisnęła go w dłoni, ujrzała, że dziwna tarcza znów ożyła – że wszystkie symbole znów są widoczne, a wskazówka płonie słabym, jednostajnym światłem. Choć miała ochotę otworzyć okno i rzucić tam wisior w najbliższą zaspę, zawiesiła go na szyi. Srebrzysty metal emanował teraz ciepłem pomiędzy jej piersiami.

Gwennan obawiała się, że tej nocy znów będą ją dręczyły jakieś koszmary. Spała jednak głębokim, spokojnym snem. Obudziła się, nim jeszcze zadzwonił budzik, jakby wzywał ją jakiś głos. Ubrała się ciepło, nie tracąc czasu na zjedzenie śniadania, czy choćby wypicie kawy.

Po drodze pochwyciła jeszcze dziwny płaszcz i stojąc w progu, pod blednącymi już gwiazdami, zarzuciła go na ramiona. Płaszcz otulił ją szczelnie, jakby tylko dla niej był przeznaczony. Znów poczuła znajomy zapach, mocniejszy jeszcze niż zwykle. Nie był to zapach zimy – przynosił obietnicę wiosny, powrotu życia na skutą mrozem ziemię.

Kiedy znalazła się na ścieżce wiodącej wzdłuż muru, nie dostrzegła żadnych śladów na śniegu – nikt z domu Lyle'ów nie przechodził tędy ostatnio. Mur wyglądał jak wielki śnieżny wał. Bezchmurne niebo szarzało powoli, zapowiadając pogodny dzień.

Dzień przesilenia zimowego – niegdyś święto złych mocy. Najkrótszy dzień w roku, kiedy trzeba błagać słońce, by znów służyło światu – czasami składając krwawą ofiarę.

Śnieg nie przyklejał się do brzegów jej długiego płaszcza. Zdawało się wręcz, że jego krawędzie przecinają zasy, pomagają jej pokonać wszelkie przeszkody. Gwennan stanęła przy murze, przez który przechodziła już tak wiele razy. Położyła ręce na jego krawędzi i odbiła się mocno od ziemi.

Ciemne plamy lasu odcinały się wyraźnie od bieli śniegu. Przeskoczywszy mur, Gwennan przystanęła, by spojrzeć na gęsty zagajnik.

Nawet pozbawiony liści mógł stanowić doskonałą kryjówkę. Dla kogo? Nie wiedziała, a raczej nie chciała wiedzieć.

Zanurzona po kolana w śniegu ruszyła naprzód, starając się trzymać z dala od drzew. Patrzyła na pagórek i kamienie. Zauważyła ze zdziwieniem, że ich szczyty nie są pokryte śnieżnymi czapami, a wokół wzgórza nie ma żadnych zasp. Być może wiatr przeganiał śnieg z tego odsłoniętego terenu?

Było już na tyle jasno, że mogła dojrzeć dach domu Lyle'ów. Z kominą unosiła się wąska wstęga dymu – jedyny widoczny znak życia. Wokół panowała całkowita cisza.

Gwennan stanęła pomiędzy dwoma niższymi kamieniami, zwrócona twarzą do najwyższego. Sięgnęła pod płaszcz, rozsunała zamek kurtki i wyjęła wisior. Symbole, które przed chwilą ledwie się jarzyły, teraz płonęły mocnym blaskiem, a ciepło medalionu przenikało przez grube rękawice.

Podniosła go, tarczą ku górze, w stronę różowych pasów przecinających niebo, zwiastunów wschodzącego słońca.

W tej samej chwili do uszu Gwennan dobiegł głos rogu – słaby, odległy sygnał, przyzywający wiernych do świątyni. Dźwięczał dumnie, ponaglająco...

Drgnęła, spojrzała na las poniżej, niemal pewna, że ujrzy kogoś, kto odpowie na to wezwanie, wynurzy się z leśnej kryjówki. Drzewa jednak trwały nieruchomo. Potem z tarczy wystrzelił promień światła. Zatoczył koło, tworząc złotą spiralę skierowaną w środek najwyższego z kamieni.

Gdy dotknął jego powierzchni, ukryte zwykle przed jej wzrokiem znaki natychmiast ożyły, nabrały wyrazistości. Gwennan jakby je znała, lecz nie mogła sobie przypomnieć...

– *Fal, Fal – Iaqua – trunc Aspex sim, dontpex...*

Te słowa jakby ktoś inny wypowiadał jej ustami. Rozedrgana spirala światła złączyła się z nimi w jednym rytmie. Teraz już wiedziała!

– Mocy, obdarz mnie hojnie... Otwórz się przed Szlachetną Krwią, niechaj pękną wszystkie zamki!

W odpowiedzi na jej słowa promień światła objął cały kamień, wystrzelił w górę, ku niebu, i w dół, ku ziemi, w której tkwiła skalna iglica.

Kamienny olbrzym, który wydawał się tak mocno osadzony, zaczął się powoli przechylać, odsuwać od niej. Czyżby kłaniał się słońcu? Poruszał się bardzo powoli, niechętnie, nie mógł jednak przeciwstawić się sile, która go do tego zmuszała.

Gwennan wyrzucała z siebie dźwięki, które nie były już słowami, tworzyły wibracje niezbędne dla tego miejsca i czasu – dźwięki niosące

ze sobą Moc niedostępną współczesnym ludziom, większą od tej, którą mogły wytworzyć ich maszyny i narzędzia.

Kamień legł wreszcie na ziemi. Tam, gdzie przedtem stał, ziała teraz czarna dziura. Gwennan opuściła ręce i światło wypływające z medalionu wpadało do tej mrocznej studni. Gwennan dojrzała w jej wnętrzu jeden stopień, drugi...

Owinąwszy się szczelniej płaszczem, ruszyła w dół, wciąż wydając te dziwne, rytmiczne dźwięki, które podpowiadała jej podświadomość.

Kamienne ściany, wznoszące się wokół niej, były równie chropowate, jak skalny filar. W powietrzu unosił się wilgotny, zatechły zapach ziemi, który jednak musiał wkrótce ustąpić pod naporem świeżego, ożywczego aromatu płynącego z jej płaszcza. Szła w dół, pokonując kolejne stopnie, zamknięta w ciasnym kamiennym korytarzu.

Głośny zgrzyt przerwał monotonną pieśń, którą nuciła. Gwennan obejrzała się za siebie i zrozumiała, jak wielkie głupstwo popełniła, wchodząc do jaskini, która mogła okazać się śmiertelną pułapką. Skrawek nieba, który widziała jeszcze nad sobą, zmniejszał się z każdą chwilą. Kamień, który pokłonił się słońcu, by wpuścić ją do ciemnego korytarza, ponownie się podnosił. Jeszcze chwila i zamknie ją tutaj.

Gwennan próbowała się przemoc i zawrócić – za późno. Skąła wróciła na swe miejsce znacznie szybciej, niż je opuściła.

Schody ciągnęły się w dół bez końca. Teraz dopiero zauważyła ślady zniszczenia. Kamienne ściany były pokryte siatką pęknięć, niektóre z nich były tak szerokie, że mogłaby wsunąć w nie dłoń. Należało także uważać na poszczerbione, uszkodzone stopnie.

Przywykła do blasku wypływającego z medalionu; dopiero po chwili zauważyła, że z przodu znajduje się inne źródło światła. Zeszła wreszcie z ostatniego stopnia, by stanąć pod wielkim łukiem wyciosanym w kamieniu. Stała u wejścia do holu czy tunelu, a światło wydobywało się z kwadratowych tafli jakiegoś minerału, przypominającego kwarc, rozmieszczonych w równych odstępach wzdłuż obu ścian. Korytarz przypominał lochy biegnące pod świątynią w czasach Orthy, ale nawet one nie były aż tak ponure.

Hol prowadził do zamkniętych drzwi pozbawionych zamka i zawiasów. Stanowiły barierę, której nie mogła pokonać. Pomyślała o kamieniu blokującym wyjście z korytarza i poczuła strach.

Tknięta nagłym impulsem podniosła wisior i przesunęła promieniem po obwodzie drzwi. W miejscu, gdzie promień dotknął powierzchni, pojawiła się rozżarzona linia, a nad nią niewielki obłoczek

dymu. Dwukrotnie jeszcze opasała drzwi świetlistym promykiem, pogłębiając czerwoną linię.

Potem wyrzyczała ponownie te same słowa, które pojawiły się w jej umyśle, gdy stała na szczycie wzgórza. Dzięki jakiejś dziwnej właściwości tego ciemnego, skalnego holu, jej głos nabrał niezwyklej mocy i nawet nie przypominał ludzkiego języka.

Rozległ się głośny trzask i drzwi runęły na ziemię. Gwennan zobaczyła światło równie intensywne, jak to, które wypływało z jej medalionu. Poczowała dziwny, korzenny zapach drażniący nos.

Weszła do ogromnej sali wypełnionej tak wieloma przedmiotami, że trudno było skupić uwagę na czymś konkretnym. Kolory rywalizowały ze sobą, próbowały przyćmić się nawzajem, nad wszystkim zaś królował złocisty blask. Fale światła zatrzymywały się na moment, by otoczyć któryś z przedmiotów, jakby chciały przyciągnąć ku niemu jej uwagę. Była oszołomiona, kręciło jej się w głowie, gdy stała wpatrzona w te cuda. Przetarła oczy wierzchem odzianej w rękawiczkę dłoni. Zbyt wiele tu do oglądania. Wokół piętrzyły się różne rzeczy, porzucone bez żadnego porządku. Gwennan rozglądała się bezradnie dokoła, nie widząc żadnych ścian, drzwi ani sufitu.

Znajdowała się w skarbcu czy też w magazynie. Stały tu posągi podobne do tych, jakie widziała w domu Lyle'ów, lecz ich tajemnicze piękno ginęło pośród innych przedmiotów. Były tu metalowe rury, zębaki i koła, a także pudła, kufry i cylindry, szczelnie pozamykane i pozakręcane. Zostały tu zapewne ściągnięte w pośpiechu wszystkie zdobycze cywilizacji.

Gwennan zauważyła wreszcie wąskie przejście wśród wysokich ścian stłoczonych przedmiotów. Ścieżka nie biegła prosto, omijała większe maszyny i posągi. Gwennan już po chwili straciła orientację.

Światło na tarczy medalionu zgasło. Może nie mogło mierzyć się z tym, które spływało z podłużnych lamp, zamocowanych na suficie. Jednak kolorowe wstęgi, sunące wzdłuż ścieżki i okalających ją przedmiotów, także nie pochodziły z tego źródła.

Kilka razy któraś z takich wstęg przepływała obok Gwennan, opasując wybrany przedmiot, jakby chcąc w ten sposób przyciągnąć jej uwagę. Gwennan jednak nie zatrzymywała się ani na moment, by zbadać to, ku czemu prowadził ją kolorowy blask. Zgromadzone dokoła bogactwo przytłaczało ją, dusiło coraz bardziej z każdym krokiem. Mogła podziwiać podobne przedmioty wystawione w domu Lyle'ów, ale nie tutaj.

Gwennan ciągle szła krętą ścieżką, wciąż jednak nie widziała przeciwniejszej ściany. Ten sen był równie szalony, jak wszystkie poprzednie.

Chciała stąd wyjść, żeby zobaczyć choćby zwykłą, nagą skałę należącą jednak do znanej jej ziemi. Przechodząc obok otwartej skrzyni, straciła połą płaszczą wysadzany klejnotami naszyjnik – jeden z wielu ułożonych w wysoką stertę. Kiedy upadł z brzękiem na ziemię, Gwennan obejrzała się przestraszona.

Jeśli nawet byli tu jacyś strażnicy, żaden z nich nie objawił się jej oczom. Gwennan nie chciała zresztą żadnego z tych skarbów – pragnęła wolności.

Ścieżka wiała się bez końca, a Gwennan miała wrażenie, że czasami cofa się, zamiast iść naprzód. Może to jakiś labirynt, który miał strzec skarbcza przed intruzami, doprowadzać ich do zguby. Jeśli tak, nigdy już stąd nie wyjdzie.

Wreszcie ujrzała przed sobą dwie nieruchome wstęgi światła. Jedna z nich była ciemnozielona, podobna do koloru jej płaszczą, druga złota. Kiedy na nie spojrzała, zaczęły się poruszać, owijając wokół siebie w rozdygotanym tańcu. Oddalały się od niej, gdy tylko próbowała się do nich zbliżyć. Czy były jej przewodnikami?

14

Prowadzona przez dwie splecione ze sobą wstęgi Gwennan dotarła do drugiej, węższej ścieżki. Skręciła w nią i doszła do ściany ukrytej przed jej wzrokiem aż do momentu, gdy minęła ostatni zakręt i stanęła prosto przed nią. Znajdowały się tu kolejne drzwi, które same uchyliły się przed nią, odsłaniając wejście do następnej, znacznie mniejszej komnaty.

Choć sala nie była pusta, panował tu porządek. Obok biurek czy stolików – Gwennan nie wiedziała, jak je nazwać – stały w równych odstępach krzesła. Ściana po lewej stronie nie została wykuta w kamieniu – była to gładka powierzchnia przypominająca ogromne lustro lub tafelę szkła. Przed lustrem umieszczono pojedynczy stołek, znacznie różniący się kształtem od innych.

Gwennan zadrzała. Domyśliła się, co to oznacza. Zrozumiała, że nie ma drogi odwrotu. Trójnożny stołek prorokini... Ale ona nie była Orthą, nie mogła wezwać...

Nie była też w stanie kontrolować własnego ciała. Podeszła do stołka, choć przysięgała sobie w duchu, że tego nie zrobi. Walcząc ze sobą, usiadła na stołku prorokini. Nie oznaczało to jednak, że miała odegrać jej rolę. Spróbowała wstać i wyjść...

Lustrzana ściana zmętniała nagle. Gwennan ujrzała gęste, siwe opary, podobnie jak Ortha, która w ostatnich chwilach życia widziała kłęby dymu i popiołu wypełniające kopułę świątyni.

Uniosła rękę, próbując zasłonić oczy dłonią, w której wciąż ścisnęła medalion. Bijące od niego światło wystrzeliło ku ścianie, nim jej jednak dotknęło, uległo rozproszeniu, zamieniło się w mgiełkę przylegającą do Lustra, zanurzyło się w nim, powodując to, że ukryte w głębi obrazy nabrały kształtów.

Gwennan czuła się jak dziecko, które spogląda na tablicę, na której zapisano nową lekcję. Znaki pociemniały, stały się bardziej wyraziste. Rozpoznała ten sam horoskop, na którym widniała data jej urodzin. Skąd się to tutaj wzięło? Żałowała, że nie wie nic więcej. Stwierdziła, że nie może już zamknąć oczu ani odwrócić wzroku.

W głowie narastał przeszywający ból. Gwennan skuliła się na stołku i jęknęła cicho z bólu, a także ze strachu przed tym, co mogło się w niej wyzwolnić.

Widziała przed sobą klucz do własnego życia. Gwiazdy poruszały się po ustalonych torach. Gwiazdne koło obracało się bardzo powoli, aż wreszcie po tysiącach lat wykonało pełny obrót, znów powracając do jej życia – do tego, co już było, a teraz pojawiło się na nowo.

To nie sen: ona naprawdę była Orthą i wieloma innymi. Z każdego spośród tych żywotów niosła dalej coś, co było zbyt wielkie, by mogły to zaakceptować jej przytępione ludzkie zmysły. Teraz, gdy gwiazdy zatoczyły pełne koło, znów miała stanąć do walki.

Łzy bólu, żalu wywołanego poczuciem straty – wiedziała bowiem, że utraciła na zawsze swe bezpieczne życie – spływały po jej policzkach, kapały na sztywny kołnierz płaszcza.

W Lustrze ponownie nastąpiła zmiana. Znów patrzyła na umierający świat, widziała, jak nieliczni rozbitkowie zniżają się powoli do poziomu dzikich zwierząt. Nie, stają się czymś gorszym od zwierząt, gdyż w szaleństwie robili to, czego zwierzęta nie czynią nigdy swym pobratymcom. Widziała, jak śmierć wciąż zbiera krwawe żniwo. Tu i ówdzie pojawiał się ktoś – mężczyzna czy kobieta – kto nosił w sobie cechy starej rasy. Byli to ludzie ostrożni, skryci, którzy próbowali nauczać, docierać do tych spośród zdziczałych istot ludzkich, które można było jeszcze odmienić.

Niektórzy uznani zostali za bogów i boginie, choć sami temu zaprzeczali. Niektórzy ulegli pokusie, wykorzystywali swą władzę nad małuczkimi dla własnych celów. Niektórzy zginęli, inni poddali się zrezygnowani. Ciągłe jednak ktoś próbował podjąć tę niewdzięczną pracę i niemal zawsze przegrywał. Następował okres wojen, zabójstw,

wyniszczających chorób – a potem znów wszystko zaczynało się od nowa.

Ci obcy z przeszłości uważali się za strażników. Przez kolejne wieki ich liczba systematycznie malała. Zostawiali po sobie niewielu potomków, bo tylko nieliczni spośród nich byli płodni. Niektórzy, żyjący w odosobnieniu pośród tych, których próbowali nauczać, właśnie tam znajdowali sobie partnerów. Z takich związków bardzo rzadko rodziły się dzieci. Tylko w niewielu wciąż przeważała stara krew. Tu i ówdzie pojawiali się nowi nauczyciele, którzy umiejętnie wywierając wpływ na innych, czynili lepszymi ich czasy. Jeszcze inni należeli do starego rodu – ale i do Ciemności. Pragnęli władzy z chciwości i dumy. Byli wśród nich wielcy zdobywcy i tacy przywódcy, którzy niszczyli to, co zbudowano z mozołem.

Ta długa bitwa nigdy się nie kończyła, a o drobnych zwycięstwach wkrótce zapominano. Zdawało się, że świat opanowało szaleństwo i że nigdy już światło i rozsądek nie wyzwolą się spod jego władania.

Gwennan patrzyła w skupieniu, jak czas przetacza się wielkimi falami stuleci. Wkrótce ujrzała historię znaną jej z ksiązek, z badań, które prowadziła na własną rękę – dopiero teraz przekonała się, jak wiele spośród rzeczy, których uczono ją w szkole, jest nieprawdą, fałszem dalekim od tego, co widziała w Lustrze. Zdarzenia uznawane za niepodważalne fakty były tylko zmyśleniem – niektóre zostały celowo spreparowane, inne uległy wypaczeniu w niedoskonałych, ludzkich umysłach.

Potem obraz zmienił się raptownie, jakby Moc kontrolująca Lustró znużyła się już tym pokazem – z pewnością to nie Gwennan przywoływała wizje porażek, śmierci, historii upadku ludzkości. Nie była to już szeroka panorama dziejów. Gwennan zobaczyła lady Lyle, jeszcze bardziej schorowaną i zniszczoną niż w chwili, gdy się rozstały. Poruszała się powoli, ostrożnie, jakby każdy krok sprawiał jej ogromny ból. Znajdowała się w komnacie wypełnionej zimnym, niebieskim światłem. Pośrodku stała duża platforma z kryształowymi trumnami.

Najbliższe wieko było niemal całkowicie przezroczyste. Gwennan widziała spoczywające w trumnie ciała kobiety i mężczyzny, białe niczym szron okrywający ziemię. Ich piersi nie poruszał najlżejszy nawet oddech. Kolejne trumny nie były już tak przezroczyste – grube pokrywy upodabniały się coraz bardziej do kamienia, a te najbardziej oddalone od drzwi przypominały marmurowe sarkofagi.

Kobieta, która weszła do komnaty, oparła się o wieko pustej trumny. Stała przez chwilę pochylona, jej wychudła twarz była przeraźli-

wie błada. Potem drugą ręką sięgnęła do guzików prostej, czarnej sukni z białym kołnierzem. Po chwili suknia osunęła się na ziemię u jej stóp. To samo stało się z jej bielizną. Potem kobieta ściągnęła z głowy czapkę zasłaniającą rzadkie siwe włosy, pozwoiliła, by opadły na jej kościste ramiona. Była bardzo stara, wyglądała jak szkielet.

Zostawiwszy ubranie na podłodze, kobieta zdobyła się na ogromny wysiłek i uniosła wieko trumny, a potem wczłogała się do jej wnętrza. Na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi, z radością witała śmierć...

Wyprostowała się w kryształowej trumnie, a wieko, jakby kierowane własną wolą, opadło powoli na dawne miejsce. Oczy kobiety były już zamknięte. Jej pierś nie poruszała się w oddechu.

Choć obraz ten pochodził z przeszłości, nie zniknął, nie zamienił się na inny. Jakiś głos, którego Gwennan nie rozumiała, skierował jej uwagę na białą trumnę ustawioną na samym końcu tego szeregu. Wieko białej trumny pokryło się nagle gęstą siatką pęknięć, fragmenty kamienia spadły na ziemię. Ciężka pokrywa uniosła się powoli, zsuwając z siebie brzemień wielu stuleci. Po chwili na krawędzi trumny pojawiły się palce. Jakaś postać uniosła się powoli, sztywno, usiadła wyprostowana. Lady Lyle weszła do trumny, udała się na spoczynek, a jej miejsce miał zająć mężczyzna. Jeszcze przez chwilę siedział bez ruchu, jakby zbierając siły. Był młody, widziała jego umięśnione ramiona, gdy wyprostował je na boki, przeciągnął się, wyszedł z trumny. Wreszcie stanął na nogach i uczynił krok do przodu.

Gwennan wstrzymała oddech. Tor? Mężczyzna odwrócił się do niej przodem, zaczął wykonywać skłony, wymachiwać ramionami, przywołując swe ciało do życia. Miał te same złote włosy, niemal taką samą twarz jak Tor Lyle, był jednak innym człowiekiem – choć z pewnością bliskim jego krewnym.

Kiedy zaczął się oddalać od szeregu trumien, z każdą chwilą nabierał pewności ruchów. Podeszedł do ukrytej w ścianie niszy i otworzył kratę, zza której wyjął buteleczkę z kolorowego, jasnego szkła. Odlał część jej zawartości do podobnego kubka i jednym łykiem pochłoniął płyn. Nie zwracając uwagi na inne trumny, zbliżył się do ubrań, które pozostawiła po sobie kobieta. Stanął, pochylił się i potrząsał nimi. Spośród fałd tkaniny wypadł jakiś przedmiot. Mężczyzna natychmiast go pochwycił. Trzymając to znalezisko w jednej dłoni, drugą podniósł ubrania i wrzucił do innej niszy, gdzie zniknęły nagle w jasnym rozbłysku ognia.

Mężczyzna odwrócił się i wyszedł z sali, wciąż trzymając w dłoni tajemniczy przedmiot. Obraz w Lustrze przygasł i zniknął. Gwennan wszystko już rozumiała. Czy Lyle'owie byli jedyną taką rodziną?

Może istniały też inne klany, wśród których dochodziło do takiego odnowienia – powtórných narodzin? Co z mieszańcami, ludźmi półkrwi? Czy oni także się odradzali? A może w ich przypadku była to zwykła śmierć i nowe życie w innym ciele, z pełną utratą pamięci i resztek Mocy? Czy musieli za każdym razem uczyć się wszystkiego na nowo, na nowo gromadzić Moc?

W Lustrze znów pojawił się horoskop – obrót gwiazdowego koła. Świadomość, że jest Orthą, była dla niej niemal fizycznym ciężarem. Czowała się zmęczona, jak ta inna lady Lyle, która ułożyła się kiedyś do snu w kryształowej trumnie. I niedawno musiała to zrobić ponownie...

Lyle'owie nie umierali. Zasypiali na jakiś czas, by potem powrócić, wziąć udział w ustalonym cyklu obowiązków. Czym się teraz zajmowali – czy nadal byli nauczycielami, przywódcami? Jak powinna potraktować ostrzeżenie, że gwiazdne koło obróciło się nie tylko dla niej, lecz i dla całej ludzkości, że może przynieść kolejną katastrofę?

Tym razem katastrofę sprowadzoną przez człowieka, nie przez naturę. Groźba ostatecznej wojny wisiała nad światem od czasów Hiroshimy – odkąd okazało się, że człowiek może odzyskać starą wiedzę tylko po to, by się zniszczyć i śmierć. Ludzkość od pokoleń ulegała zbiorowemu szaleństwu. Wywoływała wojny, niszczyła samą siebie. Co więc mogli zrobić ci strażnicy – nawet gdyby wszyscy się obudzili i rozeszli po świecie – by zapobiec takiej katastrofie?

Ogarnęło ją uczucie zwątpienia, beznadziei, które było na swój sposób równie groźne, jak potwory z innego świata. Spojrzała na horoskop, wzruszyła bezradnie ramionami. Cóż z tego, że koło zatoczyło pełny obrót? Ona nie była strażnikiem...

Parzący ogień w dłoni kazał jej spojrzeć na trzymany w ręce wisior. Tarcza medalionu płonęła oślepiającym światłem. Gwennan nie była w stanie rozpoznać poszczególnych symboli, gdyż wirująca z szaloną prędkością wskazówka przesłoniła całą jego powierzchnię. Gwennan zadrżała gwałtownie, zakotyła się na niepewnym trójnogim stołku. W głowie kłębiły się niedokończone myśli, mgliste obrazy, które niosły ze sobą dojmujący ból. Jeszcze przez chwilę zachowywała świadomość, a potem straszliwa uderka zalała ją czarną falą. Gwennan straciła kontakt ze światem zewnętrznym, runęła naprzód, głową w dół, prosto w ciemną nicość.

Tym razem nie widziała przed sobą żadnej drogi, żadnej bramy, która byłaby symbolem Mocy. Jeśli się poruszała – nie była pewna, czy to robi – otaczała ją nicość.

Gwennan uniosła powieki. Czy ciemność nadeszła tylko dlatego, że z bólu zamknęła oczy? Czowała, jak przez jej ciało, dziwnie napięte,

nadwrażliwe, przepływa strumień energii, której nie potrafiłaby kontrolować, nawet gdyby chciała. Nie siedziała już na stołku, nie spadła też na podłogę. Szła, pozostawiając gdzieś za sobą Lustro i dziwną komnatę.

Ściany korytarza, który przemierzała pewnym, szybkim krokiem, zbudowano nie z szorstkiego kamienia, lecz z wyszlifowanych, ogromnych bloków skalnych dopasowanych do siebie tak dokładnie, że nie widać było żadnych śladów wiążącej je zaprawy.

Sufit nad jej głową zwieszał się tak nisko, że mogła dosięgnąć go ręką. Nie było tu żadnego innego źródła światła prócz tego, które niosła ze sobą – światła emanującego z wisiora w jej dłoni, a także z płaszczu okrywającego jej ramiona. Kroczyła w świetle, które z niej emanowało.

Gwennan uniosła wolną rękę, zwróciła ją otwartą dłonią do przodu...

To Głos, nie ona, dysponowała Mocą. A jednak z jej palców wypłynęły wstęgi światła – blade, będące ledwie cieniem tych, które widziała w świątyni Orthy. Poruszyła ręką, rozszerzyła palce. Wstęgi światła unosiły się leniwie w powietrzu, owijały wokół niej.

Bawiła się niczym dziecko wypełniającą ją Mocą i próbowała jednocześnie połączyć wszystkie fragmenty wiedzy w jedną całość. Linie Mocy – ta stara legenda była prawdą! Oplatały kulę ziemską gęstą siecią, niczym żyły żywego organizmu. Niegdyś człowiek dobrze je znał – czerpał z nich energię, którą wykorzystywał do leczenia, do obrony, do budowania lepszego świata. Potem uległy zniszczeniu, zostały zerwane – i została po nich tylko legenda. Nie były jednak całkiem martwe, odbudowywały się, odnawiały. Przerwane fragmenty połączyły się ze sobą, uformowały się na nowo – być może nieco słabsze niż poprzednio, lecz wciąż przybierające na sile.

Pomagali im w tym ci, którzy budowali nowe świątynie – strażnicy i ludzie, do których zdołali dotrzeć ze swą nauką – proste i pozbawione piękna, lecz skupiające energię, kierujące ją na właściwe tory. Utracona wiedza, wiedza częściowo odzyskana i znów zapomniana – ten schemat często powtarzał się w historii ludzkości. W miejscu, gdzie niegdyś stała wielka świątynia, znów płynęła energia; nikła w porównaniu z tym, co niegdyś przyzywali kapłani – ale wciąż tu była!

Masywne ściany wokół Gwennan wykładane były co jakiś czas innymi kamieniami – niebieskawymi lub pokrytymi kryształami kwarcu. W niektórych znajdowały się także otwory – czasem niewielkie, na grubość palca, czasem tak duże, że można było w nie wsunąć rękę. Unikala ich, bo wiedziała jeszcze za mało – być może pewnych rzeczy nie miała się dowiedzieć nigdy. Ona miała inne zadanie, zadanie, którego jeszcze nie rozumiała.

Gwennan znów stanęła przed drzwiami – był to kamienny, trójkątny klin, którego szczyt dotykał stropu chodnika. Gwennan ukryła wisior pod ubraniami, wyciągnęła obie ręce przed siebie i oparła je na powierzchni kamienia. Nie próbowała go pchać, po prostu stała tak, pozwalając, by zgromadzona w niej energia przelała się w blok skalny.

Rozległ się głośny zgrzyt. Gwennan wyczuła, że coś opiera się jej żądaniu, ale nie dawała za wygraną. Wreszcie kamień zaczął się podnosić. Gwennan uniosła ręce nad głowę i rzuciła się do przodu, świadoma niebezpieczeństwa, jakie jej zagraża. Kamień runął w dół, ponownie zamykając przejście, ale ona była już po drugiej stronie.

Teraz znalazła się w pomieszczeniu przypominającym zwykłą piwnicę. Stały tu regały z nieheblowanych desek, pokryte pajęczynami i grubą warstwą kurzu. Panowała niemal całkowita ciemność. Gwennan czuła się tak osłabiona, jak Ortha po seansie jasnowiedzenia.

Z trudem dostrzegła przed sobą schody. Odwróciła się na moment, by spojrzeć na trójkątne drzwi. Od tej strony były całkiem niewidoczne. Jedna z tych nowo otwartych części jej umysłu podpowiedziała jej jednak, jak może do nich trafić: musiała pchnąć ten kamień, potem pociągnąć go i przechylić w dół, w stronę półki. W ten sposób nie otwierała drzwi, lecz odsłaniała je, wyodrębniała spośród reszty ścian.

Gwennan nie chciała wracać, jej droga prowadziła do przodu. Przeszła przez piwnicę, wspięła się na drewniane schody, trzymając się szorstkiej poręczy. Każdy krok sprawiał jej coraz większy wysiłek.

Na szczycie schodów znajdowały się kolejne drzwi, z wielką żelazną klamką, jakiej używano przed dwoma stuleciami. Gwennan nacisnęła ją mocno i weszła do znajomego pokoju o wysokim, drewnianym suficie. Była to biblioteka domu Lyle'ów. Nic dziwnego, że trafiła właśnie tutaj.

W kominku płonął ogień – dziwne, niebieskie płomienie wydziełały zapach podobny do tego, jaki otaczał szklaną kulę i talizman, które znalazła we własnym domu. W pokoju stały także dwa zdobione złotem i klejnotami świeczniki. Jeden z nich miał postać mężczyzny, wojownika, gdyż trzymał w dłoni obnażony miecz, a jego ciało okrywała koltzuga. Nie nosił jednak hełmu – złociste, misternie rzeźbione loki na jego głowie okryte były częściowo koroną dziwnego kształtu, przypominającą splecione rogi jelenia. W miejscu oczu widniały zielone klejnoty błyszczące jasno w świetle płomieni. Na kandelabrze stało pięć zapalonych czerwonych świec.

Naprzeciwko tego świecznika stał inny. Miał kształt kobiety, której ciało okryte było jedynie krótką tuniką odsłaniającą ramiona

i część piersi. Pomiedzy piersiami wisiał talizman, identyczny jak ten, który Gwennan trzymała w dłoni. Wysoko uniesioną głowę ko biety wieńczyła korona z półksiężycem. Ten kandelabr także miał pięć świec, tym razem niebieskich, palących się dziwnie bladym, srebrzystym płomieniem w porównaniu ze złocistym światłem świec czerwonych.

Oba kandelabry stały na stole wykonanym z jednej szerokiej, grubej deski, pochodzącej z drzewa tak wielkiego, że żaden ze współczesnych ludzi nie byłby go sobie w stanie wyobrazić. Na wypolerowanej powierzchni widniały ciemnobrązowe słoje.

Blat stołu był tak gładki, że odbijały się w nim nie tylko oba świeczniki, ale też inne przedmioty. Znajdował się wśród nich kielich – czy raczej puchar – czerwony, ośmiokątny, na długiej kryształowej nóżce. Przed nim leżały skrzyżowane dwa noże lub sztylety. Ich rękojeści wykonane były z jakiegoś ciemnego kamienia, misternie rzeźbione. Jedna z nich miała kształt wilczej głowy z czerwonymi klejnotami w miejscu oczu. Rękojeść drugiego sztyletu zakończona była głową sowy, monstrum należącego do przerażającego orszaku Tora. Jej oczy także płonęły żywą, migotliwą czerwienią.

Kiedy Gwennan stała wpatrzona w stół, jej dłonie mimowolnie sięgnęły do naszyjnika. Miała wrażenie, że płaszcz owinał się szczelniej wokół niej, jakby chciał ją ochronić. Bowiem to, co leżało przed nią, choć jasne i błyszczące, przedstawiało sobą Ciemność. W pewnym sensie przedmioty te profanowały cały pokój, plugawiły wszelkie światło.

Nie śmiała odwrócić się do nich plecami. Zerknęła na najbliższą ścianę i dojrzała drzwi, przez które wchodziła tu podczas poprzednich wizyt. Drzwi te prowadziły na korytarz – stamtąd już tylko kilka kroków dzieliło ją od wyjścia, od wolności. W tym domu zaszła jakaś zmiana – wyczulone zmysły podpowiadały jej, że pod świeżym zapachem kadzidła kryje się chorobliwy smród zepsucia.

Znak Tora! Jeśli Tor był nowo obudzonym strażnikiem, wyznaczonym na ten czas, to rzeczywiście należało się obawiać przyszłości. Był od niej silniejszy. Miał znacznie większą wiedzę. Rzeczywiście mógł z niej drwić. Dlaczego lady Lyle uważała, że ona, Gwennan, może mu się przeciwstawić? Stara linia rzeczywiście musiała być już bliska wymarcia, skoro uciekała się do tak desperackich wyborów.

Gwennan poruszyła się, nie odrywając spojrzenia od stołu, nasłuchując, pewna, że Tor tylko na chwilę opuścił ten pokój, że lada moment wróci, by kontynuować to, co zaplanował. Kiedy dotarła do drzwi, oparła się na moment o ścianę, by zebrać siły i odwagę.

Po chwili wahania nacisnęła klamkę i weszła do holu. Nie było tu nikogo, ale przez chwilę stała w bezruchu, nasłuchując. Przejście tych ostatnich kilku kroków dzielących ją od wolności było jedną z najcięższych prób w jej życiu. Widziała, jak w chytrych oczach leśnej nimfy migocze światło. Miała wrażenie, że kobieta-drzewo ją obserwuje – podobnie jak drugi posąg. Dopadła do drzwi wyjściowych. Na szczęście nie były zamknięte. Dysząc ciężko, jak po długim biegu, wyszła w blade światło wczesnego popołudnia.

15

Pprzed domem leżał nieuprzątnięty śnieg, nie było na nim żadnych śladów świadczących o tym, że ktoś ostatnio tędy przechodził. Gwennan szła, od czasu do czasu oglądając się z lękiem za siebie. Głęboko osadzone okna o ciemnych, witrażowych szybach wyglądały niczym oczy, z których uciekła ostatnia iskra życia.

A przecież ktoś musiał rozpalic ogień w kominku, zapalic świece. Dopiero teraz, kiedy strach ustąpił przed blaskiem dnia, Gwennan uświadomiła sobie, jak dziwnie pusty był ten dom. Podczas jej poprzednich wizyt wcześniej czy później pojawiał się któryś ze służących, cichy niczym cień. Czasami miała wrażenie, że ludzie ci żyją we własnym, tajemnym świecie, który opuszczają tylko wtedy, gdy wzywa ich Lyle.

Gdzie mogli teraz być? A Tor... Z pewnością to właśnie Tor, nowy pan domu, przygotował ten dziwny ołtarzyk. Poza tym jednak nie widziała żadnych śladów jego obecności. Dom Lyle'ów był jednak bardzo duży, z pewnością krył w sobie jeszcze wiele pokoi, których nigdy nie odwiedziła. Tyle że... wszędzie było tak cicho.

Gwennan musiała przedrzeć się przez dwie ogromne zasy, by dotrzeć do słupów znaczących bramę i początek alei. Nawet tutaj nie widać było żadnych śladów odśnieżania. Gwennan wolała nie oglądać się za siebie, a gdy szła wzdłuż przysypanego muru, nie obróciła głowy, by spojrzeć na wzgórze z kamieniami. Z lasu po drugiej stronie muru dobiegł ją głośny skrzek. Wzdrygnęła się, ale szybko się opanowała – to był tylko głos ptaka. Nigdy dotąd nie słyszała jednak równie ponurego, przejmującego głosu.

Gdy wyszła zza kolejnego zakrętu, ujrzała swój własny dom i drzewa oddzielające go od posesji Newtonów. Zaczęła biec, ślizgając się i potykając co chwila, chcąc jak najszybciej dotrzeć do miejsca, które oznaczało powrót do normalnego świata. Gdy wbiegła na podwórko,

siła, która kazała jej wybrać się o świcie na wzgórze, osłabła, pozwalając, by znów ogarnęła ją dobrze jej znana rzeczywistość. Żyły w niej dwie istoty walczące ze sobą o dominację...

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Musiała je tak zostawić, kiedy wyszła. Straciła niemal cały dzień. Jak mogła wyjaśnić swą nieobecność, gdyby ktoś ją o to zapytał? W holu było przytulnie i ciepło. Za oknami zaczynało już zmierzchać, kiedy zamknęła drzwi na zamek i założyła łańcuch.

Gwennan uświadomiła sobie, że jest nie tylko zmęczona, ale i głodna. Ból, który rozsadzał jej przedtem głowę, zamienił się w dokuczliwie émienienie, sprawiał jednak, że czuła się dziwnie osłabiona. Kiedy dotarła wreszcie do kuchni, musiała przysiąc na chwilę. Rozglądała się dokoła, patrzyła na znajome sprzęty i rozkoszowała się poczuciem bezpieczeństwa, które było częścią tego domu. Gdy rozpięła broszkę pod szyją, płaszcz zsunął się z jej ramion – dziwna tkanina nie próbowała już jej obejmować, przywierać do niej.

Gwennan odłożyła płaszcz na krzesło, zdjęła kurtkę i zaczęła smażyć jajka na bekonie, przygotowywać kawę.

Jadła łączywie, jakby nic nie miała w ustach od wielu dni, pochłonęła nawet połamane i przypalone ciastka, niezapakowane do pudełka przeznaczonego dla biblioteki. Nazajutrz była niedziela. Gwennan postanowiła, że zadzwoni do Grahamów i powie, że nie może dostać się do miasta. Pragnęła jedynie spać... spać... spać...

Spać, ale nie śnić! Na tę myśl poderwała się z miejsca, zajęła się zmywaniem naczyń. Nie, tylko nie sny!

Lecz nawet strach przed koszmarami nie był w stanie przewyciężyć zmęczenia. Gwennan przeszła w końcu do sypialni i zaciągnęła wszystkie zasłony w oknach. Nie chciała nic widzieć prócz tego pokoju, nie była wcale ciekawa, co dzieje się na zewnątrz.

Kiedy się jednak rozbierała, nie zdjęła z szyi wisiora. Stał się jej częścią, równie istotną i nieodzowną, jak ręka czy noga. Tarcza medalionu znów przygasła, wyrzyte na nim symbole nie były widoczne nawet w półmroku. Choć dopiero zaszło słońce, Gwennan nie miała już sił bronić się przed snem.

Zasnęła natychmiast. Zanurzyła się w ciepłą, wyczekującą ciemność, gdzie nie było miejsca na wątpliwości, obawy czy wspomnienia.

Gwennan obudziła się w ciemności przeciętej jedynie wąską linią światła, która znaczyła krawędź zasłony najbliższego okna. Dobiegał stamtąd delikatny, ledwie słyszalny szmer – znów padał śnieg! Nie słyszała jednak szumu wiatru uderzającego w szyby i ściany. Potem... Zesztywniała nagle, zaciskając kurczowo palce na skraju kołdry.

Ponad szelest śniegu wzbił się krzyk, przeniknął przez ściany, dźwięczał tak ostro i wyraźnie, jakby okno było otwarte. Ten sam ponury, chrapliwy skrzek, który słyszała wcześniej w pobliżu domu Ly-le'ów. Z pewnością był zbyt głośny, zbyt drapieżny jak na głos jakiegokolwiek ptaka.

Gwennan znów poczuła na skórze ciepło bijące od medalionu. Odchyliła kohnierz pizamy, by nań spojrzeć. Leżał zwrócony gwiazdną tarczą do jej ciała, lecz jego krawędzie płonęły jasnym światłem.

Zniknęła iluzja bezpieczeństwa, jaką dawał jej ten dom. Gwennan wiedziała już, co krąży po nocnym niebie. Obraz odtworzony w jej umyśle był równie wyraźny, jak ten widziany oczami.

Łowca opuścił zielony, obcy świat, zjawił się tutaj, prowadząc za sobą swą potworną świtę.

W dawnych czasach siły Ciemności znane były kapłanom światła, walczone z nimi i umiano je powstrzymywać. Zawsze jednak istniały szczeliny między światami, przez które przedostawały się takie stworzenia. To właśnie Ramię otworzył w tych ostatnich dniach drzwi do świata Orthy. Teraz...

– Tor! – wyszeptała Gwennan, a imię to zahuczało echem w jej głowie...

– Tor! Tor! Tor!

Skuliła się na łóżku, nasłuchując na nowo rozbudzonymi zmysłami, których nie potrafiłaby nawet nazwać. Ciemność szukała jej... Dlaczego jednak nie atakowała? Ludzie w minionych wiekach próbowali bronić się przed tym, co zakłócało teraz noc. Wykorzystywali różne zaklęcia, wodę, którą uważali za świętą, zioła, których Ciemność rzekomo nienawidziła. Budowali kościoły i święte przybytki. Niektórzy ufali srebrnym ostrzom. Inni zdawali się na religię i jej narzędzia. Wszyscy jednak w głębi serca wciąż się bali, a ten strach niweczył każdy ich wysiłek.

To właśnie strach był najgroźniejszą bronią Ciemności. Od swego zarania gatunek ludzki nosił w sobie ziarno strachu. W sprzyjających warunkach ziarno to mogło wzrastać, pączkować, rozkwitać. To właśnie strach krzyczał, biegł, przedzierał się teraz przez śnieżne zaspę.

Taki pierwotny strach mógł zabijać równie skutecznie, jak zęby i szpony. Ci nocni drapieżnicy byli zaledwie posłańcami. Tylko sięgając poza nich można było stoczyć prawdziwą walkę, stawić czoło przeciwnikowi. Ale cóż ona mogła przeciwstawić Torowi? Chełpił się swoją wiedzą i z pewnością ją posiadał. Jako potomek Ramienia, który znalazł zapewne jakieś schronienie i wziął sobie za żonę zwykłą kobietę, był tylko półkwi strażnikiem, a jego umysł uległ spaceniu.

Z pewnością władał jednak Mocą znacznie lepiej niż ona, być może równie dobrze, jak lady Lyle.

Lady Lyle leżała w miejscu, które Gwennan oglądała w lustrze, w miejscu, gdzie strażnicy zasypiali i odradzali się. Jak długo trwał taki proces, ile czasu musiało minąć, by starzec znów stał się młodzieńcem zdolnym kierować Mocą? Lata? Ile? Pokolenia, wieki? Jak głęboko zapadła już w ten ozdrowieńczy sen lady Lyle?

Gwennan otworzyła szerzej oczy, choć widziała tylko ciemność. Podczas oglądanej przez nią sceny, kobieta ułożyła się w trumnie, zanim ożył jej następca! A przecież Tor pojawił się w domu Lyle'ów na wiele tygodni przed tym, jak opuściła go lady Lyle. Wspominała w liście o czynnikach, które przyspieszyły jej odejście, choć wtedy słowa te nic Gwennan nie mówiły.

Tor nie wyszedł z komnaty powtórnych narodzin jako strażnik. A więc kto to był? Gdzieś pojawił się prawowity następca lady Lyle. To nie Tor ma korzystać z odnowionych kanałów energii. Ani też nie ona. Gwennan wiedziała jednak, że kryje się za tym jakiś plan. Wyczuwała tworzące go linie, nie potrafiła jednak pójść za nimi do samego źródła.

Została wybrana, by przeciwstawić się Torowi. Z pewnością lady – Głos – nie wciągałaby jej w to, gdyby nie istniała choćby najmniejsza szansa, że bitwa zakończy się wygraną Światła. Tor chciał uczynić z niej swego sprzymierzeńca, nie wroga. Uważał jednak, że w jej żyłach płynie ledwie resztkę starej krwi, że jest słaba i można rządzić nią za pomocą strachu. Musiał w to wierzyć, inaczej bowiem nie otworzyłby wrót, nie uwolnił potworów.

Gwennan wstała z łóżka i zaczęła się ubierać. Wzdrygnęła się mimowolnie, usłyszawszy ponownie krzyk przelatującego potwora, tak bliski, jakby nurkował on właśnie nad jej dachem i chciał zmusić ją do wyjścia na zewnątrz, przed oblicze swego pana. Gwennan wiedziała jednak, że może się obronić, poznała właściwy sposób.

Ukłęka przy szafce, do której schowała kiedyś tacę i kryształową kulę. Lampa nad jej głową zamigotała i zgasła. Na szczęście Gwennan miała ze sobą latarkę, którą położyła teraz na stole. Przyniosła także zielony płaszcz, czuła bowiem, że musi wykorzystać wszystko, co doda jej sił, pomoże osiągnąć zamierzony cel.

Na tacy wciąż jeszcze pozostało kilka niedopalonych kryształów. Gwennan zgarnęła je na kupkę, a medalion ułożyła w tej samej kryjówce, w której znalazła go kilka tygodni temu. Później osadziła kulę w podstawie i sięgnęła po zapalki. Myślała intensywnie, próbując coś sobie przypomnieć. Czy te ulotne fragmenty wspomnień pochodziły z przeczytanych przez nią książek, czy też z innego, odległego

życia? Teraz nie miało to znaczenia – ważne, że dotarły do niej we właściwej chwili.

Z latarką w dłoni podeszła do pieca. Sięgnęła do pudła z drewnem, w którym leżały kawałki porąbanego przed zimą jesionu. Wzięła jeden z nich do ręki, odłupała wąską drzazgę i przystawiła do żaru tłącego się w piecu. Gdy drzazga zapłonęła, zapaliła nią niebieskie kryształki, licząc na to, że wystarczy ich, by zdołała uczynić to, co zaplanowała.

Stworzenie krążące nad domem znów zaskrzeczało. Gwennan miała wrażenie, że próbuje w ten sposób kogoś przywołać. Gdy nad niebieskimi kryształami zaczął się unosić aromatyczny dym, Gwennan podeszła pospiesznie do okna. Gęsty śnieg okrywał świat niczym gruba biała pierzyna. Gwennan podniosła rękę i poczeriałym czubkiem drzazgi narysowała na każdej szybie krzyż zwieńczony pętlą.

Ponieważ ludzie wierzyli weń przez wieki, symbol ten nabrał Mocy, chroniąc przed tym, co czaiło się na zewnątrz. Z wiary rodzi się siła, a symbole wiary naprawdę mogą bronić, gdy wykorzystuje się je w imię Świata.

Zamknęła drzwi prowadzące do komórki i do holu, oznaczyła każde z nich tym samym symbolem. Na powierzchni drewna nie został żaden widoczny ślad, co nie oznaczało jednak, że go tam nie ma. Oczywiście nie zawsze widzą to, co jest obecne.

Otoczywszy się najskuteczniejszym murem, jaki potrafiła stworzyć, Gwennan wróciła do stołu, usiadła i zaczęła wdychać dym. Oparła głowę na rękach, które ułożyła na stole okrytym płaszczem. Patrzyła na migoczącą niepewnie kulę, próbując obudzić w sobie to, co kiedyś było tak łatwe dla Orthy – drugiej, silniejszej, części jej istoty.

Wyteżyła całą wolę, starała się oczyścić umysł z wszelkich zbędnych myśli.

Dym może być narkotykiem. Wizjonerzy z różnych epok i miejsc wykorzystywali go, by rozluźnić więzy łączące ich z teraźniejszością. Jego aromat nie usypiał jej, przenosił w inne obszary, znane tylko drugiej części jej jestestwa.

Powierzchnię kryształu zasnuł dym, który kłębił się także w jego wnętrzu, był oznaką rosnącej siły.

– Pokaż mi! – Głos Gwennan był ostry, przynaglający... – Pokaż, gdzie on jest!

W kryształach pojawiły się drzwi – drzwi z innego miejsca, w którym była obecna także i ona, nie jako obserwator, lecz ktoś, kto ma do spełnienia ważne zadanie. Ogromne, pociemniałe ze starości drzwi domu Lyle'ów z ciężką żelazną kołatką. Gwennan pchnęła je z tą samą siłą, ogromną determinacją, która przepełniała ją od samego początku.

Drzwi otworzyły się, ukazując hol. Gwennan nie poszła do biblioteki, gdzie Tor zostawił coś, co miało być pułapką. Skierowała się do tej części domu, której nie widziała nigdy przedtem.

Kolejne drzwi, kolejny hol, tu i tam uchylone drzwi. Zobaczyła drewnianą ścianę, bogato rzeźbioną i malowaną, z której farba częściowo już poodpadała. Artysta najwyraźniej chciał stworzyć tu iluzję gęstej winorośli wyrastającej z ziemi i sięgającej po sam sufit.

Płaskorzeźba była tak realistyczna, że w wielu miejscach można było wsunąć palce pod drewniane liście, dotknąć łodygi. Jednak tylko dwa miejsca miały tu dla niej znaczenie. Wypatrzyła małą główkę, roześmianą twarz o żywych oczach i spiczastych uszach wystających spod liści. Niedaleko wygięty liść skrywał głowę jelenia – równie dumnego, jak ten, którego dosiadała łowczyni w zielonym świecie.

Teraz należało nacisnąć oba te punkty. Ledwie o tym pomyślała, ściana drgnęła. Zdawało się, że płaskorzeźba ożywa. Pomiędzy główką o roześmianej twarzy a jeleniem pojawiła się wąska szczelina.

Szczelina zamieniła się w drzwi, tak wąskie, że należałoby przeciskać się przez nie bokiem, ale Gwennan w jednej chwili była już w środku. Dalej zaczynały się schody, jakby nietknięte zębem czasu. Gwennan ruszyła w dół.

Panowała tu całkowita ciemność, ale Gwennan w jakiś niepojęty sposób widziała drogę. Posuwała się szybciej, niż mogłaby to zrobić w swym fizycznym ciele. Jakby szukając środka świata, bez końca wędrowała w dół. Wreszcie stanęła przed drzwiami, które otworzyły się równie łatwo, jak drzwi prowadzące do skarbcza.

Widziała już ten pokój! Właśnie tego szukała – centrum życia strażników i miejsca ich śmierci. To tutaj znajdowały się trumny – całkiem przezroczyste, matowe i zamienione w kamień. W pierwszej z nich lady Lyle leżała w bezruchu niczym kamienna statua, a kryształowa trumna zaczęła już mętnieć.

Z pewnością wszedłszy do tego miejsca i poddawszy ciało procesowi ozdrowienia, nie mogła się teraz obudzić. Gwennan patrzyła na nią przez chwilę, żałując, że nie można odwrócić tego procesu, przywołać lady Lyle do życia. Nie, musi zobaczyć tę drugą trumnę, na końcu tego samego szeregu. Myśl natychmiast przeniosła ją w tamto miejsce. Solidny kamień, żadnego śladu zniszczenia, pęknięć, które widziała, siedząc przed Lustrem.

Czyżby więc czasami nie dochodziło do procesu odnowy, czy człowiek leżący w tej trumnie naprawdę był martwy?

Spojrzała na tę część pokrywy, pod którą znajdowała się głowa. Czy leżała tam naga czaszka – czy też ktoś, kto przespał czas powtórnych narodzin? Bardzo stary mechanizm mógł się w końcu zaciąć.

Dopiero wtedy dojrzała coś, co leżało na trumnie w miejscu, w którym mogło się znajdować serce śpiącego. Białe jak kamień pokrywy, niemal niewidzialne, pod jej spojrzeniem nabierało coraz wyraźniejszych kształtów. Symbol podobny do jednego z dwóch sżyteletów, które leżały skrzyżowane na stole w domu Lyle'ów. Ktoś, kto powinien wstać z trumny, został w niej w ten sposób uwięziony. Dopóki to narzędzie zła nie zostanie usunięte, prawowity strażnik pozostanie więźniem.

Tylko Tor mógł to zrobić. Gwennan skupiła moc umysłu na tym białym, prawie niewidzialnym sżytecie – próbowała go podnieść siłą woli, tak, jak otworzyła drzwi. Jednak sżytelet nie ruszył się z miejsca. Nie miała w sobie siły równej dawnej Mocy. Nie mogła też sięgnąć do trumny ręką, gdyż odbywała tę podróż w postaci, która nie miała rąk. Musiała tutaj przyjść we własnym ciele, gdyż bez wątplenia tylko jej ręce mogły wykonać to zadanie.

Pokazano jej drogę, wiedziała już, czego ma dokonać. Cała reszta zależała od jej woli, determinacji – i odwagi! Nie wierzyła bowiem, by Tor poddał się bez walki, by pozwolił jej bez przeszkód zniweczyć jego plany. Sam fakt, że dowiedziała się tak wiele, że dotarła aż tutaj, zmuszał go do działania. Nie było już dla niej odwrotu.

Kiedy to zrozumiała i zaakceptowała, znalazła się na powrót w swej kuchni, drżąca, zbyt zmęczona, by się poruszać.

Inercja, której poddała się przez chwilę, została przerwana przez dźwięki dochodzące z zewnątrz. Nie był to krzyk potwora, lecz sygnał alarmowy i jakieś odległe krzyki. I znów wycie syreny policyjnej, dźwięk, który mógł pochodzić tylko z samochodu szeryfa.

Gwennan podeszła chwiejnym krokiem do okna, potem jednak uświadomiła sobie, że nie może zobaczyć drogi z kuchni. Przeszła więc do holu i otworzyła frontowe drzwi. Zobaczyła całą kawalkadę samochodów, migocące światła alarmowe.

Niebo było rozświetlone łuną pożaru. Tylko jedno miejsce mogło być stąd aż tak widoczne. Palił się dom Lyle'ów!

Czy ogień wznieciły świeczki ustawione na stole w domu, który wydawał jej się zupełnie opustoszały? Od wewnątrz kamienne ściany pokryte były drewnem – bardzo starym, nasączonym olejem, łatwopalnym.

Gwennan wróciła biegiem do kuchni, pochwyciła płaszcz, włożyła buty. Pomimo późnej pory i zimna drogą zmierzał w tamtą stronę tłum ludzi. Wślizgnęła się między nich i usłyszała, jak podekscytowani opowiadają o telefonie anonimowego informatora, który ostrzegł, że dom ulegnie całkowitemu zniszczeniu, jeśli pomoc nie przybędzie na czas.

Czy Tor zrobił to, by ukryć miejsce spoczynku strażników? Gwennan uważała, że żaden prawdziwy Lyle nie byłby w stanie zniszczyć

ich siedziby, miejsca, które zajmowali od wieków. Jednak Tor był tylko półkrewi strażnikiem i dom mógł dlań znaczyć bardzo niewiele w porównaniu z tym, co zyskałby w zamian. Może wyczuł jej wizytę w sekretnej kryjówce i dlatego podjął tak pospieszne i bezwzględne działania, by uniemożliwić Gwennan to, co zamierzała zrobić?

Wóz straży pożarnej – kupiony głównie za pieniądze Lyle'ów, jak przypomniawszy sobie z goryczą Gwennan – dotarł już do domu. Tuż za nim zatrzymał się wóz szeryfa i dwie ciężarówki, z których zeskoczyli mężczyźni gotowi do udziału w akcji ratowniczej. Wysokie zaspasy śnieżne mogły im bardzo przeszkodzić w gaszeniu ognia.

Przez uchylone drzwi widać było płomienie i dym. Nie pojawił się żaden służący; czyżby byli uwięzieni w środku? Do takiego wniosku doszła większość biorących udział w akcji. Dwaj ochotnicy założyli specjalne skafandry i weszli do środka pod strumieniem wody z armatki samochodowej.

Gwennan patrzyła na ogień migocący za oknami. Ile skarbów miało paść jego ofiarą! Jeśli dom zostanie zniszczony, być może już nigdy nie zdoła odnaleźć drzwi, które pokazała jej szklana kula.

Tłum gapiów zafalował, gdy dwaj mężczyźni, którzy weszli przed chwilą do domu, wyprowadzili na zewnątrz slaniającą się postać. Choć Gwennan nie widziała jego twarzy, nie mogła pomylić tych lśniących złotych włosów z kimkolwiek innym.

Gwennan przyjrzała się uważniej postaci, którą strażacy ułożyli na noszach. Umarł? Nie, podnieśli go i zaprowadzili do samochodu szeryfa. Szeryf miał go zawieźć na posterunek i stamtąd wezwać helikopter, który przetransportuje Tora do Fremont.

Skłonna była przypuszczać, że Tor sam pragnął śmierci, gotów zabrać do grobu tajemnicę Lyle'ów. Tego wieczoru otworzył bramy dla stworzeń z innych światów, była tego tak pewna, jakby widziała to na własne oczy. Gdyby jego śmierć była właściwym rozwiązaniem, lady Lyle już dawno by do niej doprowadziła. Ta, która była niegdyś Głosem, zrobiłaby wszystko dla zwycięstwa Światła. Usunięcie zagrożenia, jakie przedstawiał sobą Tor, było dla każdego strażnika obowiązkiem. Gdyby wygrana wymagała jego śmierci, Saris Lyle na pewno by się nie zawahała.

Lady Lyle nie łączyło z Torem żadne uczucie. Zabrakło jej czasu, dlatego też zrobiła wszystko, co w jej mocy, by mieć pewność, że jej misja nie zakończy się fiaskiem. Wciągnęła do niej Gwennan, obudziła, wykorzystawszy do osiągnięcia tego, czego sama nie mogła dokonać. A Tor stanowił istotny element tkaniny czasu.

Dlatego jego śmierć byłaby swego rodzaju porażką lady Lyle. Jej plan nie zostałby wykonany. Gwennan patrzyła na strażaków, zajęta swymi myślami.

Blask bijący od okien wyraźnie przygasł. W powietrzu unosił się ostry, gryzący swąd. W tłumie słychać było głosy, że pożar strawił głównie zasłony i dywany, że strażacy zaskoczeni byli tym, jak małe szkody wyrządził ogień. Młody Lyle zasnął podobno zatruty dymem, gdy próbował sam ugasić pożar. W domu nie było nikogo innego.

16

Do tej pory nikt z tłumu nie zwrócił uwagi na Gwennan. Od strony miasteczka wciąż nadchodzili nowi ludzie. Pożar musiał tu ściągnąć połowę Whitebridge. Gwennan uznała, że zobaczyła już wystarczająco dużo, chciała stąd odejść – zastanowić się, być może jeszcze raz sięgnąć po pomoc szklanej kuli. Tor na dłuższy czas został wykluczony z gry. Być może teraz Gwennan miała jedyną szansę, by go pokonać.

Wślizgnęła się między krzewy osłaniające dom Lyle'ów od strony drogi. Policja z pewnością postawiła już kogoś na straży przy frontowych drzwiach, a zadanie, które Gwennan musiała wykonać, miało pozostać tajemnicą...

Bojąc się, że lada moment ktoś może ją zobaczyć, Gwennan prze-mykała między krzewami, z dala od świateł, zamieszania i tłumu. Miała nadzieję, że na tyłach domu odnajdzie jakieś niestrzeżone wejście. Wciąż zastanawiała ją nieobecność służących. Czyżby Tor ich odesłał? A może sami nie chcieli służyć panu, którego uznali za uzurpatora? Gwennan nie była nawet pewna, ilu ludzi pracowało w domu Lyle'ów. Osobiście znała tylko troje: kobietę, która była osobistą służącą lady Lyle, męż-czyznę stróżującego przy drzwiach, którego widywała czasem na podwórzu, oraz jeszcze jedną starszą kobietę usługującą im przy kolacji.

Choć nie było tu śnieżnych zasp, gęste krzewy i nagie gałęzie drzew bardzo przeszkadzały Gwennan, tworząc istny labirynt.

Pokonała już spory dystans, kiedy wrzask skrzydlatego potwora kazał jej się raptownie zatrzymać. Instynktownie uskoczyła pod osłoneż żywopłotu i przykucnęła tam, złana potem, drżąca. Miała nadzieję, że wysokie, gęste gałęzie skutecznie ją ukryją.

Poczula smród pozaziemskiego potwora. Usłyszała łopot wielkich skrzydeł. Coś wołało w jej głowie, by uciekała, by jak najszybciej oddaliła się od tego miejsca. Tor zostawił tu swoich strażników! Jak mogła się bronić przed jego potworami? Skrzydlaty stwór być może

nie był w stanie dosięgnąć jej w tej gęstwinie, lecz w okolicy krążyli na pewno inni łowcy. Ten krzyk przyzywał ich tutaj!

Czy dom okaże się dla niej schronieniem? W czasach Orthy nawet w świątyni bestie z innych światów grasowały i zabijały bezkarne.

Jednak grube mury domu były jedynym zabezpieczeniem, na jakie mogła teraz liczyć. Wiedziała, że monstra nie interesują się innymi ludźmi. To ona miała stać się ich ofiarą – ofiarą Tora!

Gwennan wolała nie wychodzić na otwartą przestrzeń. Pod oszronionymi gałęziami dotarła na tyły domu Lyle'ów. Wypatrzyła drzwi. Krzewy i drzewa rosły tak blisko, że ich gałęzie niemal dotykały ściany, więc tylko przez krótką chwilę musiałyby przebywać na otwartej przestrzeni. Jeśli jednak drzwi są zamknięte...

Gwennan poderwała się z miejsca i w kilku susach dopadła do ściany domu. Nie widziała żadnego zamka, żadnej klamki. Usłyszała trzepot skrzydeł, smród bijący od potwora zatykał jej nos, dławił. Zaczęła walić pięściami w oporną powierzchnię drzwi.

Spod jej kurtki wysunął się srebrzysty wisior. Strumień światła, niezbyt intensywny, doskonale jednak widoczny w mroku, trafił prosto w otwór ukryty na ciemnej powierzchni drewna.

Gwennan nie śmiała się odwrócić, obejrzeć za siebie. I bez tego wiedziała, że jej prześladowca to przerażająca, monstualna istota. Lecił cicho, bezszelestnie. Zaraz dosięgnie jej dziobem i szponami. Drzwi uchyliły się wreszcie. Gwennan natychmiast wpadła do środka, czepiając się chropowatej powierzchni kamienia. Zatrzasnęła drzwi i stała przez chwilę w bezruchu, dysząc ciężko – smród potwora odebrał jej na moment wiarę we własne siły.

Zza drzwi dobiegł ją pełen nienawiści i wściekłości wrzask. Przybierał na sile, aż zamienił się w przeraźliwy pisk, który boleśnie świdrował jej w głowie. Coś ciężkiego uderzyło w drzwi. Gwennan słyszała zgrzyt i drapanie, jakby jakieś ogromne pazury usiłowały rozerwać deski. Potwór, zamiast ponownie wzbic się w powietrze i przelecieć ponad murem, ze ślełą furią wciąż atakował drzwi. Gwennan rozejrzała się dokoła. Stała na podwórzu podobnym do tych, jakie widziała na zdjęciach i obrazach przedstawiających stare europejskie rezydencje.

Dom stanowił jeden z boków kwadratu. Mur, przez który właśnie przeszła, łączył się z dwoma parterowymi budynkami, a za ich pośrednictwem ze znacznie większą, piętrową oficyną. W półmroku Gwennan widziała tylko ogólne zarysy budowli, gdyż w jej oknach nie płonęły żadne światła. Po przeciwnej stronie znajdował się inny niski budynek ze spadzistym dachem i łukowatą bramą.

Słyszac, jak potwór po drugiej stronie muru ponawia wściekle ataki, Gwennan pobiegła przez podwórze. Musiała znaleźć wejście do domu. Tutaj na szczęście nie było śniegu, nie musiała się obawiać, że poślizgnie się na jakimś oblodzonym kamieniu.

Wzdłuż ściany ciągnął się rząd kwadratowych, równo od siebie odalonych okien. W odróżnieniu od tych z przodu, tylne okna przesłonięte były ciężkimi okiennicami, bez wątpienia zamkniętymi od środka. Gwennan znalazła drzwi, równie solidne, jak te, które pokonała przed chwilą. I tutaj nie było żadnej klamki, żadnego zamka. Wisior...

Kiedy jednak wzięła do ręki srebrzysty medalion, jego tarcza pozostała ciemna. Gwennan przygryzła wargę. Potwór za murem nie dawał za wygraną. Wcześniej czy później drzwi ulegną jego wściekłym atakom, a wtedy...

Usłyszała nagle jakiś nowy dźwięk – niskie warczenie. Zbliżał się ku niej jeszcze jeden nocny łowca. Drzwi! Gwennan zaczęła walić w nie pięściami, ogarnięta paniką. Wiedziała, że jeśli spróbuje szukać schronienia w którymkolwiek z innych budynków otaczających podwórze, przegra. Tylko dom, w którym gromadziła się Moc, mógł zapewnić jej bezpieczeństwo.

Wreszcie, nie mogąc już wymyślić nic innego, pochyliła się i przystawiła medalion do otworu, znacznie szerszego niż ten, który znalazła w poprzednich drzwiach. Oba półksiężycy wsunęły się weń z taką łatwością, jakby otwór ten przeznaczony był właśnie dla nich. Gwennan przekreśliła medalion niczym klucz. Drzwi otworzyły się!

Znalazła się w holu wypełnionym gryzącym dymem. Zatrzasnęła za sobą drzwi i stała przez chwilę, nasłuchując, wyteżając jeden z tych nowo nabytych zmysłów – próbując odgadnąć, czy pod dachem domu kryje się jeszcze jakaś inna żywa istota.

Gdyby tylko miała latarkę! Nie знаła tej części domu, była jednak niemal całkowicie pewna, że jest tu sama. Słyszała odległe dźwięki świadczące o tym, że strażacy i ludzie szeryfa wciąż pracują.

Dotykając jedną ręką ściany, Gwennan ruszyła powoli naprzód. Cel jej wyprawy znajdował się w innej części domu. Wymacała palcami drzwi.

Pchnęła je lekko, a one natychmiast ustąpiły. Gwennan stała na progu ogromnego pomieszczenia wypełnionego sprzętami charakterystycznymi dla wielkich kuchni sprzed dwustu czy więcej lat.

Ogromny kominek, w którym żarzyło się kilka polan, wyposażony był w rożen i garnki zwieszające się na grubych łańcuchach. Obok dobudowano ceglany piec. Gwennan nie dostrzegła nigdzie zwykłej, nowoczesnej kuchenki, znalazła jednak na stole świeczkę. Zapaliła ją od rozżarzonych węgli.

Ściany upstrzone były różnego rodzaju haczykami, na których wisiały wypolerowane garnki i patelnie. Wyglądało na to, że ta stara kuchnia jest nie tylko wciąż używana, ale i utrzymywana w największym porządku. Teraz jednak wydawała się dziwnie opustoszała, jakby ci, którzy tu mieszkali i pracowali, zniknęli na zawsze.

Trzymając zapaloną świeczkę w dłoni, Gwennan wróciła do drzwi, przez które się tu dostała, i przystawiła do nich ucho. Nie słyszała niczego. Jeśli nocne potwory zdołały jakoś przedostać się na podwórze, to grube ściany domu tłumiły wszelkie dźwięki, które mogłyby świadczyć o ich obecności. Nie wiedząc, ile jeszcze ma czasu, ruszyła pośpiesznie w drogę.

Zza kolejnych, uchylonych drzwi bił jeszcze mocniejszy smród dymu. Gwennan usłyszała stłumiony dźwięk głosów, zawarczał uruchamiany silnik, zachrzęścił śnieg pod kołami ciężarówki. Chwilę potem zawyła syrena na samochodzie szeryfa. Czy zaalarmowały ich głosy potworów? Z pewnością słyszeli wrzask monstrialnej sowy.

– Do zobaczenia... – To był głos szeryfa. Nie wydawał się w żaden sposób zaniepokojony nocnymi krzykami. Słyszała jego ciężkie kroki w holu. Jeszcze raz przeszukiwał dom? Gwennan przysłoniła dłonią płomień świecy i rozejrzała się dokoła. Czy potwory objawiały się tylko temu, kogo ścigały?

Być może było ich tutaj dużo, a ona nie mogła znaleźć żadnej kryjówki! Kuchnia!

Podbiegła do ogromnego kominka. Żar wygasł, mogła więc wejść do paleniska, w którym mieściły się zapewne całe pniaki. Zdmuchnęła płomień świecy i przylgnęła do pokrytych sadzą cegieł, zastanawiając się, jak bardzo jest widoczna z zewnątrz.

Za uchylonymi drzwiami rozbrzmiały ciężkie, głośnie kroki szeryfa. Potem kuchnię omiótł mocny promień latarki. Gwennan przylgnęła jeszcze mocniej do ściany, kiedy snop światła przesunął się po kominku. Była niemal pewna, że zatrzyma się na niej, że usłyszy głos, który każe jej wyjść z ukrycia, że będzie musiała tłumaczyć się ze wszystkiego...

Jej prosty wybieg okazał się jednak skuteczny. Światło przemknęło po ścianie i po chwili drzwi zamknęły się z trzaskiem. Gwennan odetchnęła z ulgą. Postanowiła odczekać jeszcze chwilę. Szeryf zostawi pewnie kogoś do pilnowania domu, ale człowiek ten nie będzie mógł odchodzić od swego auta, czekając na przekazywane przez radio rozkazy.

Teraz musiała odszukać pokój, który widziała w kryształowej kuli. Z pewnością nie było to pomieszczenie użytkowe, nie mogło jednak znajdować się daleko stąd. Gwennan zatrzymywała się co kilka kroków,

nasłuchując dźwięków dochodzących z innych części domu – trzasku zamykanych drzwi, odległych kroków.

Policzyła do stu raz, drugi, trzeci, coraz bardziej się niecierpliwiać. Wreszcie usłyszała głośny huk; tak mogły zamknąć się tylko masywne, frontowe drzwi. Ruszyła pospiesznie przez główny hol, osłaniając płomień znów zapalonej świeczki. Wreszcie otworzyła drzwi pokoju, którego szukała.

Tak, to było to! W bladym świetle świecy bogato rzeźbiona ściana wyglądała jak splecione cienie. Gwennan próbowała sobie przypomnieć, gdzie stała podczas wizji. Było tu tak wiele poskręcanych liści, tak ogromna masa zakamarków i zagłębień. W końcu przystawiła świeczkę niemal do samej ściany i przyjrzała jej się bardzo uważnie. Jest ta główka! Odszukawszy jeden z elementów, nie miała kłopotów ze znalezieniem drugiego.

Gwennan postawiła świeczkę na podłodze, przy swoich stopach, przyłożyła kciuki do obu miniaturowych płaskorzeźb i naparła na nie mocno.

Przez dłuższą chwilę wydawało jej się, że trudziła się na darmo, że kryształowa kula ją oszukała; żadna z płaskorzeźb nie poddała się jej naciskowi, a ściana trwała niewzruszona w całości.

Wreszcie w pokoju rozległ się dźwięk przypominający głośne, przeciągłe westchnienie. Przed Gwennan ukazała się szczelina przecinająca ścianę od podłogi do sufitu. Przejście wydawało się tak wąskie, że nie wiedziała, czy zdoła się przez nie przecisnąć. Rzeczywiście nie było to łatwe zadanie, jednak już po chwili znalazła się po drugiej stronie ściany.

Trzymając świeczkę w dłoni, Gwennan stała na szczycie schodów. Nim jednak ruszyła w dalszą drogę, zdjęła szalik, zwinęła go w kulę, którą wsadziła pomiędzy skrzydła rozsuniętych drzwi, nie było bowiem klamki, żeby otworzyć je od wewnątrz.

Schody były w znacznie lepszym stanie niż te przy kamieniach na wzgórzu. Mogła poruszać się szybciej, nie patrząc bez ustanku pod nogi. W końcu dotarła do sali z trumnami. Zatrzymała się na moment przy trumnie lady Lyle. Piękna jej twarz, wciąż widoczna przez lekko zmatowiały kryształ, zdawała się drwić z Gwennan. Odpoczywa sobie w pokoju, a wszystkie kłopoty zrzuciła na barki dziewczyny. Gwennan nie była pewna, czy podejmuje właściwe decyzje. Dlaczego zmuszona została do tej służby? I kto był prawowitym strażnikiem, którego Mocy Tor pożałował tak bardzo, że przestał przebierać w środkach?

Choć wcale mu się to nie udało, Gwennan uważała, że w konfrontacji z nim nie ma żadnych szans. Czy rzeczywiście tak było? Spojrzała na uśpioną lady Lyle. Choć Tor przyzywał na pomoc potwory, jak

dotąd wcale nie okazały się skuteczną bronią. Mogły wzbudzać strach, to prawda. Co jeszcze był w stanie uczynić, by przeciwstawić się w istotny sposób planom lady Lyle? Jeśli nawet to za sprawą Tora lady Lyle zmuszona była udać się na spoczynek wcześniej, niż zamierzała, to przed swym odejściem podjęła wszelkie możliwe kroki, by pokrzyżować jego plany. A jej najważniejszą bronią była Gwennan.

Jak dotąd młody Lyle okazał się zaskakująco nieporadny. Ręka Gwennan powędrowała do wisiora. Czy to on chronił ją przed zakusami Tora, czy prawdą jest historia o pełnym obrocie gwiazd i powrocie pewnych układów, które uczyniły Gwennan silniejszą, niż przypuszczała?

Pytania, na które być może nigdy nie uzyska odpowiedzi. Musiała sprawdzić, co leżało w ostatniej trumnie, zamkniętej przez Tora.

Gwennan podeszła do kamiennej trumny, wciąż ściskając w dłoni medalion. Wszystko wyglądało tak, jak w jej wizji. Pochyliła się nisko nad wiekiem i przyjrzała mu uważnie – każda z trumien roztaczała wokół siebie delikatny blask, nie potrzebowała więc już świeczki. Wyglądało na to, że sztylet został przymocowany do trumny na stałe, złączony z nią w jedno, by nikt nie mógł go usunąć.

Może między sztylitem a powierzchnią wieka znajdowała się jakaś szczelina, żeby czymś go podważyć? Tyle że nie miała odpowiedniego narzędzia. Wrócić do domu, poszukać? Nie, czuła, że brak na to czasu. Jeśli nie zrobi zaraz tego, po co tu przyszła, wszystko straci sens – Tor wygra!

Wzięła wisior i przyłożyła go do powierzchni trumny. Natychmiast jej ramię przeszył lodowaty ziąb, bolesny jak wyładowanie elektryczne. Palce Gwennan drętwiały, za chwilę całkiem straci w nich czucie.

Użyła drugiej ręki i wsunęła metalową tarczę w szczelinę – bo była tam szczelina! – pomiędzy klingę sztyletu i wieko. Wyteżając wszystkie siły i walcząc z obezwładniającym zimnem, ogarniającym jej palce, przeguby, przedramiona, uniosła medalion do góry.

Czuła, że chłód przenika także do jej głowy, próbuje ją obezwładnić, pokonać. Tor walczył z nią, choć leżał daleko stąd, być może nieprzytomny.

Gwennan znajdowała się u kresu wytrzymałości. Straciła czucie w palcach, wiedziała, że lada moment wypuści medalion. Jeśli zostanie teraz pokonana, nie będzie już miała drugiej szansy.

Usłyszała głośny trzask. Sztylet oderwał się od wieka trumny, spadł na podłogę i roztrzaskał na kawałki. Gwennan cofnęła się o krok, oparła się o ścianę, co pomogło jej utrzymać równowagę.

Dalej wszystko odbywało się tak, jak w jej pierwszej wizji. Kamienne wieko trumny pokryła gęsta sieć pęknięć, kilka fragmentów

spadło na ziemię, odsłaniając ukryty pod spodem kryształ. Na krótką chwilę wszystko zastęło w bezruchu.

Wreszcie pokrywa uniosła się powoli i opadła z hukiem na bok. Na krawędzi trumny pojawiły się palce jednej, potem drugiej dłoni. Wreszcie z jej wnętrza wynurzył się nowy strażnik.

Z ust Gwennan wyrwał się okrzyk rozpaczy. To był Tor!

Nie odwrócił głowy w jej stronę, powoli, bardzo powoli unosił powieki, oddychając przy tym głęboko, miarowo. Potem, poruszając się ostrożnie, wstał z trumny. Jego ciało, lekko opalone, jakby leżał przez jakiś czas w słońcu, miało idealne, posągowe kształty. Odwrócił się...

Ich spojrzenia spotkały się ze sobą. Otworzył szerzej oczy. Pewnie już zrozumiał, co się stało, rozpoznał ją, uświadomił sobie, jaką rolę odegrała.

– Dobra robota... – powiedział, a jego słowa odbiły się echem od kamiennych ścian.

Gwennan powoli odsuwała się od niego, wciąż przywierając plecami do ściany. A więc to jednak Tor sprowadził ją tutaj, by go uwolniła! Gwennan nie mogła się jednak oprzeć zdumieniu – widziała przecież, jak go stąd wynoszono godzinę, dwie godziny temu. Był nieprzytomny... Więc jak mógł się znaleźć na miejscu strażnika? Halucynacje? Czy znów doznawała jednej z tych wizji, które miały ją zwieść, zamącić jej w głowie? Brakowało jej już sił do walki.

– Tor... – wyszeptała jego imię.

– Tor? – Pokręcił głową. – Nie, nikt półkwi...

Nie miała pojęcia, o czym mówi. Co zamierzał z nią teraz zrobić? Bez wątpienia nie była mu już potrzebna. Czy wezwie swoje potwory i każe im z nią skończyć?

– Boisz się... boisz... – Znów pokręcił głową, a potem uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę. – Krewniaczko, takie lęki niegodne są ciebie.

– Nie wiem, o czym mówisz – wybuchnęła Gwennan, dając upust złości i rozpaczy. – Jesteś Tor Lyle. Nie rozumiem jednak, co się tutaj stało. Zostałeś ranny w pożarze, a teraz znów jesteś tutaj. To... to ja cię uwolniłam. Myślałam, że robię to, co powinnam...

Skinął głową, zrobił krok w jej stronę. Gwennan odsunęła się jeszcze dalej, potem straciła panowanie nad sobą i rzuciła się do ucieczki. Biegła w górę schodów, potykając się, przewracając raz po raz. Myślała tylko o tym, by jak najszybciej wydostać się z tego miejsca. Została wykorzystana, wykorzystywano ją bez ustanku. Straciła zupełnie wiarę w siebie.

Ujrzała szczelinę w ścianie. Gniew i strach dały jej taką siłę, że otworzyła drzwi jednym ruchem i wpadła do ciemnego pokoju po dru-

giej stronie. Przez moment leżała tam, płacząc cicho. Potem, zupełnie wyzuta z sił, zaczęła pełznąć, pragnąc jak najszybciej opuścić ten dom.

Poczuła, jak czyjeś ręce chwytają ją mocno. Teraz nie miała już żadnych szans na ucieczkę, może nie miała ich od chwili, gdy spotkali się tamtego ranka obok kamieni.

– Nie jestem Tor...

Jego głos rozbrzmiał tuż przy jej uchu.

– Przekonasz się...

17

Wziął ją na ręce z taką łatwością, jakby ważyła nie więcej niż szmaciana lalka, a potem przeniósł do sąsiedniego pokoju. Gwennan wiedziała, że jest to jadalnia, w której po raz pierwszy siedziała przy jednym stole z lady Lyle. Nieznajomy posadził ją na wielkim, przypominającym tron krzesło, który zajmowała niegdyś pani domu. Gwennan próbowała zapanować nad emocjami, zebrać siły, by jeszcze raz spróbować ucieczki. Czowała się jednak tak, jakby ktoś skrepował ją sznurami. Podejrzewała, że sprawiła to jego wola.

Nawet w ciemności był widoczny, bowiem, podobnie jak kamienne trumny, emanował jakimś wewnętrznym blaskiem – nie zimnym, białym światłem kamieni, lecz delikatną, złotą poświatą. Obserwowała go w milczeniu, kiedy ponownie opuścił pokój, zostawiając ją samą.

Było jej zimno. Jej ciałem wciąż wstrząsały dreszcze wywołane chłodem bijącym od trumny, którą sama otworzyła. Szczękała zębami, choć próbowała nad tym zapanować. Jej stopy były teraz równie zdrętwiałe, jak górna część ciała – miała wrażenie, że cała zamienia się w lód.

W domu panowała absolutna cisza, bezruch i ciemność. Tylko wisior na jej piersi promieniował światłem. Zdołała jakoś oderwać zeszywniałe, zziębnięte palce od poręczy krzesła z wysokim oparciem. Zdobywając się na kolejny wysiłek, podniosła obie ręce i zamknęła je na medalionie.

Otoczająca ją cisza nie była ciszą śmierci; stanowiła pauzę przed dalszym działaniem. Zrozumiała to dzięki nowej, świeżo rozbudzonej świadomości. Jej ręce ogrzewały się powoli, wracało do nich życie. Wraz z tym życiem nie wracała jednak siła. Czowała się więźniem czyjejś woli, zmuszającej ją do wypełnienia zadania, którego świadomie nigdy by się nie podjęła.

Mogła tylko walczyć o to, by zachować panowanie nad własną wolą, bowiem jej ciało poddawało się mocy zawartej w tym kawałku

metal. Oddychała głęboko, powoli, podobnie jak wskrzeszony do życia strażnik. Kiedy jej rozszalałe serce uspokoiło się nieco, a ciało ogarnęło przyjemne ciepło, Gwennan zaczęła nasłuchiwać.

Nie słyszała nawet najbliższych podmuchów powietrza. Czuła wciąż zapach dymu. Okna szczególnie zasłonięte były grubymi kotarami. Na stole i na komodzie stały świece, ale nie miała siły, by wstać i je zapalić.

Po jakimś czasie poprawiła się na krzesło, oparła się ręką o poręcz, próbując wstać. W tej samej chwili ujrzała promień światła. Odwróciła głowę, patrząc na blask rozświetlający korytarz, w którym zniknął jej oprawca – bo za takiego musiała go uważać.

Światło nie przybierało na sile – była to rozmyta, rozproszona poświata. Wreszcie wszedł – ten drugi Tor. W wyprostowanych rękach trzymał przed sobą kryształową kulę, identyczną jak ta, w której widziała odległe czasy i miejsca, między innymi miejsce jego spoczynku.

Był teraz w ubraniu Tora, co jeszcze bardziej ich upodabniało. Kiedy jednak przyjrzała się jego twarzy, dostrzegła różnicę. W uśmiechu tego człowieka nie krył się nawet najmniejszy ślad szyderstwa, tak charakterystycznego dla Tora. Uśmiech ten przypominał raczej lady Lyle. Był taki zniewalający... Gwennan opadła z powrotem na krzesło.

– Mamy mało czasu – przerwał milczenie nieznajomy. – Zostały otwarte drzwi, które trzeba jak najszybciej zamknąć. Tylko ten, kto wzywa monstra z zaświatów, może je odparwić...

– Ty...

– Nie. – Usiadł na krzesło po jej prawej stronie i położył rękę na stole, tak że kryształowa kula znalazła się między nimi, pulsująca światłem, niczym małe słońce. – Tor jest tutaj... patrz!

Nie mogła oprzeć się temu poleceniu, tak jak przed chwilą nie mogła wstać i wyjść z pokoju. W kuli pojawiła się znajoma mgiełka, która przyciągała jej wzrok i uwagę. Mgła zaczęła przybierać coraz wyraźniejsze kształty...

Na łóżku leżał mężczyzna, jego ramiona i ręce pokryte były zieloną substancją – środkiem na oparzenia. Miał zamknięte oczy, bez ustanku jednak kręcił głową, jakby próbując zbudzić się z jakiegoś koszmaru.

– Zawołaj go! – To był rozkaz, któremu Gwennan nie była w stanie przeciwstawić się.

– Tor... – Początkowo z jej gardła wydobył się tylko chrapliwy szept. Potem jednak wypowiedziała to imię głośniej, z naciskiem, jakby rzeczywiście stała obok łóżka rannego i próbowała przywołać go do rzeczywistości.

Nie otworzył oczu, lecz jego ruchy stały się jeszcze bardziej gwałtowne. Nie miała pojęcia, gdzie teraz przebywa, przypuszczała jednak, że nie przewieziono go jeszcze do szpitala.

– Tor!

Otworzył oczy. Były nieprzytomne, niewidzące...

– Tor! – zawołała Gwennan po raz trzeci. Potem w kuli znów podniosła się mgła, obraz zniknął.

– Przyjdzie... – W głosie nieznajomego była niezachwiana pewność.

– Jak? – spytała Gwennan, odzyskując panowanie nad własnym ciałem. – Jest ranny... poparzony... Zatrzymają go.

Jej towarzysz pokręcił głową.

– Nikt go nie powstrzyma. Chodź... – Wyciągnął do niej rękę.

Ręka Gwennan, niezależna od jej woli, wyciągnęła się ku niemu, pozwoliła, by objęły ją jego palce. W tej samej chwili Gwennan poczuła ogromny przypływ energii. Przypomniała sobie, jak za czasów Orthy Głos wlewał Moc w tych, których pocieszał, którym przynosił spokój. Coś w niej sprzeciwiało się przyjmowaniu czegokolwiek, co nie pochodziło z tego świata. Zaszła już jednak zbyt daleko tą drogą, została wciągnięta zbyt głęboko w rzeczywistość odmienną od tego, czym kiedyś była i co robiła.

Wstała z krzesła i odkryła, że nie jest już zmęczona, że pozbyła się strachu, który dręczył ją od tak dawna. Potem, wciąż trzymając się za ręce, oboje ruszyli w głąb domu, w stronę tylnych drzwi, przez które dostała się tutaj pod osłoną nocy.

Kiedy stanęli na podwórzu, Gwennan stwierdziła, że jej oczy w jakiś niezwykle sposób przystosowały się do ciemności – że widzi to, co przedtem było przed nią zasłonięte. Widzi... słyszy... czuje!

To, co próbowało ją przedtem pochwyć, nie dobijało się już do bramy, nadal jednak czekało na zewnątrz. Było tam więcej tych pozaziemskich stworzeń.

– Idzie... – powiedział nieznajomy.

– Co może zrobić? – ośmieliła się zapytać.

– To on je wzywał, teraz musi stawić im czoło. Każdy ponosi konsekwencje swoich czynów.

– Kim... kim jesteś? – Musiała uznać, że nie był to Tor.

– Jestem tym, który spełnia obowiązek. Ja jestem tym, który musi czekać...

Odpowiedź była wymijająca, Gwennan nie miała jednak odwagi pytać o więcej. Onieśmiał ją tak, jak niegdyś Ramię onieśmiał Orthę. Tor posiadał Moc, której nawet nie mogła sobie wyobrazić. Jednak ten człowiek był od niego znacznie potężniejszy.

Kiedy umilkł, dokoła zapanowała absolutna cisza – cisza wyczekiwania.

Wreszcie przerwało ją głębokie, groźne warknięcie. Gwennan drgnęła, przestraszona. Nieznajomy mocniej ścisnął jej dłoń.

– Już czas...

Ruszył naprzód, pewnie, jakby nic nie mogło uczynić mu krzywdy. Gwennan szła z nim, dostosowując się do jego długich, zdecydowanych kroków. Stanęli przed bramą podwórza. Nieznajomy podniósł rękę i wycelował ją w ciężkie wrota, które otworzyły się do środka, uderzając o mur.

Jeszcze przed momentem Gwennan cieszyła się z nowo nabytej umiejętności widzenia w ciemnościach, teraz jednak chętnie by o niej zapomniała. Przerażająca, potworna gromada czekająca za bramą przypominała tę, którą widziała w zielonym świetle. Był tutaj potwór z głową sowy, wilkołak, owłosiony człowiek i cała reszta – upiorne nagromadzenia zła, jakiego nie widziała w najgorszym nawet koszmarze.

Ten, którego uwolniła, nadal jednak szedł naprzód z pewnością siebie, z niezachwianą odwagą. Stworzenia z innych światów odsunęły się na boki, tworząc wąską alejkę, którą strażnik poprowadził Gwennan.

Jego dotyk nadal działał na nią uspokajająco. Czuła, że potwory za ich plecami ponownie zwierają szeregi, idą ich śladem. Nie próbowały jednak atakować, nie wydawały też żadnych dźwięków.

Przedzierali się przez gęste krzewy zarastające większą część ogrodu. Gwennan zrozumiała nagle, dokąd zmierzają – do kamieni! Z pewnością mogły to być tylko kamienie! Jej przygoda musiała się skończyć tam, gdzie się zaczęła. Nie tylko to wielkie, gwiazdne koło dokonało właśnie pełnego obrotu.

Kiedy wyszli z lasu, ujrzeni przed sobą białą, nienaruszoną płaszczynę śniegu. Zza ich pleców dochodziło szuranie nóg, paskudny smród, będący znakiem rozpoznawczym wszystkich naznaczonych przez Ciemność.

Kamienie ożyły. Nad ich szczytami unosiły się wstęgi światła, które Gwennan widziała już kiedyś. Ciemność nocy ustępowała powoli przed szarością świtu, która pojawiła się już na wschodzie.

Doszli razem do wzgórza. Zasy py śnieżne rozstępowały się przed nimi jak woda. Wspięli się na szczyt wzgórza i stanęli pod największym kamieniem.

Na jego powierzchni widoczne były wszystkie znaki, ukryte przedtem przed ludzkim wzrokiem. Gwennan rozumiała, że może je teraz przeczytać, że nie stanowią już dla niej sekretu. Nie zrobiła tego jednak. Była zbyt przejęta atmosferą wyczekiwania, zbyt podekscytowana. Wie-

działa, że wkrótce wydarzy się coś, co nie należało do jej świata, przed czym, dopiero na wpół rozbudzona, odruchowo się wzdragała – a czego jednocześnie pragnęła, świadoma, że musi to zaakceptować.

Oboje odwrócili się plecami do kamienia, spoglądając w stronę alei. Przestrzeń pomiędzy wzgórzem a murem pokrywał śnieg – olśniewająco biały, czysty dywan. Znów usłyszeli głosy potworów – powarkiwania, piski, paskudny, zachrypły charkot. Ci, którzy szli za nimi, zgromadzili się teraz u podnóża pagórka. Oni także patrzyli na aleję.

Gwennan wzdragała się na widok tych monstrów, które kucaly, siedziały, stały ledwie kilkanaście kroków od niej. Zebrały się tutaj istoty przypominające dawne wyobrażenia ludzi, którzy próbowali czerpać inspirację z najciemniejszych zakamarków swej wyobraźni, wierząc w diabły i upiory.

Jakiś ruch na alejce wywołał poruszenie wśród potworów. Wilkołak skoczył do przodu, bliżej muru, i podniósł głowę, jakby chciał zawyć. Z jego paszczy nie wydobył się jednak żaden dźwięk – chyba że był zbyt wysoki, by mogli dosłyszeć go ludzkie uszy.

Ten, który szedł alejką, chwiał się na nogach, potykał. Trzymał głowę nisko opuszczoną, jakby przyciągany przez siłę, której nie mógł się oprzeć. Upadł, gdy próbował wspiąć się na mur, i przez dłuższą chwilę nie mógł wygrzebać się ze śniegu.

Był to Tor. Przychodził na jej wezwanie. Gwennan nie miała pojęcia, jak umknął tym, którzy mieli się nim opiekować. Poruszał się niezdarne, z pewnością wciąż obolały i słaby. Obok niego szedł wilkołak, niczym pies czekający na rozkazy, lecz Tor ani razu na niego nie spojrział.

Potwory znów rozstąpiły się na boki, podobnie jak chwilę wcześniej, za bramą domu, zostawiając otwartą przestrzeń u podnóża pagórka. Tor zatrzymał się, zachwiał lekko, poruszając przy tym bezwładnie ramionami. Pod grubą warstwą zielonej maści widać było plamy poparzeń. Wreszcie podniósł głowę, a jego oczy – oszołomione, martwe oczy – spojrzały na stojących na wzgórzu.

Jego usta wykrzywiły się w gniewnym grymasie, upodabniając go do potworów, które przysiadły u jego stóp. Powoli zaczęło doń wracać życie. W jego wnętrzu zapłonął ogień.

– Przeszedłem... – powiedział pewnym siebie wyzywającym głosem.

– Przeszedłeś – potwierdził towarzysz Gwennan.

– Jestem z Krwi... – W jego głosie znów pojawiła się duma, siła.

Nie chwiał się już, stał wyprostowany. Był okropnie poparzony, lecz te rany jak gdyby go nie dotyczyły.

– Jesteś z Krwi... – przyznał po raz drugi strażnik.

– Rozkazuję... – Tor uniósł ręce. Odpowiedziały mu gardłowe pomruki potworów. Ich czerwone oczy zwróciły się ku stojącym na pagórku. Czekwały tylko na gest czy słowo, które kazałoby im zniszczyć te słabe ludzkie istoty.

– To ja rozkazuję. – Dłoń, która tak długo trzymała Gwennan, przynosząc jej ciepło i spokój, puściła ją teraz. Strażnik odsunął się od niej, przeszedł pomiędzy dwoma niższymi kamieniami, zaczął schodzić.

Gwennan chciała krzyknąć, powstrzymać go, ale wiedziała, że na nic to się nie zda. Ta sprawa dotyczyła tylko tych dwóch mężczyzn, podobnych do siebie jak dwie krople wody, a jednak na swój sposób różnych.

Tor wpatrywał się w nadchodzącego. Jego poddani tłoczyli się wokół niego, szczyrzyli groźnie zęby, nie potrafili jednak przemóc siły, która nie pozwalała im rzucić się do ataku.

Strażnik dotarł do podnóża pagórka, przeszedł między dwoma potworami i zatrzymał się zaledwie o krok przed Torem.

– Nie możesz wziąć... – powiedział Tor. Jego pałające gniewem oczy upodobniły się do oczu otaczających go bestii.

– Nie mogę wziąć – zgodził się strażnik. – Ale ty możesz dać.

Poparzona twarz Tora wykrzywiła się w bolesnym grymasie. Podniósł wysoko ręce, zacisnął dłonie w pięści, jakby chciał wymierzyć potężny, zabójczy cios temu, który spokojnie stał przed nim.

– Nie! – krzyknął przeraźliwie, jakby go torturowano. – Nie zrobię tego! Tym razem to będę ja, ja!

Jego oponent przypatrywał mu się tylko, wciąż spokojny, nieporuszony. Gwennan mimowolnie postąpiła krok do przodu.

– Nie możesz użyć Mocy przeciwko mnie! – zawołał Tor.

– Nie użyję jej. Wybór należy do ciebie. Zawsze tak było.

Ręce Tora opadły bezwładnie, zaciśnięte w pięści palce rozprostowały się. Tylko oczy wciąż mu płonęły.

– Nie możesz mnie zmusić...

– Jedyne Krew może to zrobić. I dlatego właśnie nie chcesz stawić mi czoła, czy nie tak? Krew jest silna... potrafi nagiąć oporną wolę...

Tor wydał z siebie jakiś nieartykułowany krzyk.

– Nie odejdę! Jestem wolny!

– Naprawdę?

– Jestem wolny... – Jego głos był teraz przytłumiony, niewyraźny, zakrył bowiem dłońmi twarz. – Nie dam się zabrać... jestem...

– Jesteś panem stworzeń takich jak te – dokończył strażnik, wskazując ręką zgromadzone dokoła potwory. – Czy tego właśnie chcesz prawdziwa Krew? Czy chcesz dojść do Mocy przez Ciemność?

– Są jeszcze inni... byliśmy wolni...

– Wolni? O nie, byliście skrepowani bardziej niż jakikolwiek inny człowiek na tej planecie. Jesteście od wewnątrz zakuci w łańcuchy. Jak skończyli ci z was, którzy doszli do Mocy w ten sposób? Pomyśl, przypomnij sobie.

Tor wciąż stał z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Nie możesz...

– Gdyby koło się nie obróciło, być może nie mógłbym. Spójrz na mnie! – Głos strażnika zabrzmiał teraz gwałtownie, ostro, emanował Mocą, której nawet Tor nie mógł się oprzeć.

Opuścił ręce i spojrzał prosto w jego oczy.

Na jego twarzy pojawił się grymas, którego Gwennan nie widziała tam nigdy przedtem – ból, uległość, rezygnacja.

– Gdyby nie ty... – powiedział cicho. – Ty i czas.

– Tak, nas dwoje i gwiazdy, które zaklinają czas. Wybór wciąż należy do ciebie.

– A jaki mam wybór? Ty już dokonałeś go za mnie. Gdybym mógł powstrzymać cię, aż... Saris wygrała. Wezwała na pomoc ją... – Po raz pierwszy spojrzał na Gwennan. – A jakie szanse mam przeciwko wam dwojgu? Niech więc stanie się tak, jak chcesz...

Strażnik pokręcił głową.

– Nie, to musi być twoje pragnienie. Tu nie ma przegranej i nie ma zwycięstwa. Trzeba tylko naprawić błędy; to, co zoczyło na złą ścieżkę, musi z niej zawrócić.

– A ciemność, która ma wkrótce nadejść? Czy to nic nie znaczy? – spytał Tor. – Znow ciemność, potem może mozolna wędrówka w górę i znow kolejny upadek. Czy zawsze tak będzie?

– Nic nie jest na zawsze. Nawet ta ciemność nie jest całkowita, o czym dobrze wiesz. Nie możesz sam stworzyć nowego planu. Nikt nie może sobie usurpować najważniejszej roli.

Tor rozejrzał się na boki. Gwennan była pewna, że nie patrzy na potwory, lecz na pokryty śniegiem świat. Potem podniósł rękę i wskazał na las. Wśród potworów zapanowało poruszenie, popiskiwaly, powarkiwały, skomlały, jakby rozprawiając o jego niemym rozkazie. Potem odwróciły się i odeszły, trzepocząc skrzydłami, tupiąc łapami, stopami, kopytami. Szare niebo pociemniało nagle w kłębowisku chmur, które nadsięgnęły nieoczekiwanie ze wschodu, rozbłysła pierwsza błyskawica.

Potwory dotarły do krawędzi lasu. Tor opuścił gwałtownie rękę, jakby rozcinając niewidzialną barierę. W odpowiedzi niebo zapłonęło całą serią oślepiających błyskawic. Gwennan przez dłuższą chwilę mrugała powiekami, nim w pełni odzyskała wzrok. Potwory zniknęły.

Widziała ich czarne ślady na powierzchni śniegu – a dalej już nic prócz dziewiczej bieli. Wróciły do swych światów.

Tor skrzywił się i zachwiał.

– Stało się, więc kończmy. Jestem zmęczony...

– Nie w ten sposób. To nie jest twój koniec, lecz początek...

– Koniec tego, czym jestem. Kto wie, czym się stanę? Nawet ty musisz przyznać, że jestem sobą.

– Nawet ja – przytaknął strażnik. – Jednak nadal twierdzę, że to nie jest koniec. Chodź i przekonaj się... – Wyciągnął do niego obie ręce zwrócone wnętrzem dłoni ku górze.

Tor przeniósł spojrzenie na ręce nieznajomego, a potem ponownie na jego twarz. Zaciśnął usta jak ktoś, kto wyrusza w drogę, której się boi, ale musi ją przeżyć.

– Idę – powiedział głucho, kładąc swe poparzone dłonie na dłoniach strażnika.

Zastygli w bezruchu, czas jakby stanął w miejscu. Wreszcie Tor osunął się na ziemię, a strażnik nawet nie próbował go podtrzymać. Jego ciało spoczęło na śniegu, z głową opartą na ramieniu. Pomimo bolesnych ran twarz Tora była pogodna i spokojna – tak spokojna jak twarz lady Lyle zamkniętej w kryształowej trumnie.

– Czy on... – Gwennan zeszła ze zbocza i stanęła obok strażnika.

– Nie żyje? Nie. Spójrz na mnie!

Zwróciła na niego wzrok – i podniosła dłoń do ust, cofając się o dwa kroki. Spoglądała to na nieruchome ciało, to na mężczyznę, który stał pod wolnym już od chmur niebem.

– Jesteś...

– Jestem całością. Koło naprawdę zatoczyło pełny obrót. Jestem obiema częściami. Tą, którą owładnęła ambicja i pragnienie władzy, i tą, w której zgromadziła się mądrość. On mówił o sobie, że jest półkrwi. Nie, był raczej połową istoty, choć tego nie wiedział. Nie uciekliśmy przed szaleństwem Dnia Ostatecznego, choć tak się nam zdało. Niektórzy zostali dotknięci w inny sposób. Ja byłem...

– Byłeś Ramieniem... i Torem... i...

– I wieloma innymi. Nigdy jednak nie byłem całością, tak jak teraz.

– Tor...

Roześmiał się, a w jego głosie dzwięczała radość, której nie słyszała dotąd w żadnym głosie. Otworzył szeroko ramiona, jakby chciał objąć cały świat, uczynić go swoim, a jednocześnie oddać mu się całkowicie. Był rzeczywiście całością, w dziwny sposób, którego nie potrafiła opisać, wiedziała jednak, że był to stan istnienia, jakiego świat doświadczał bardzo rzadko, odkąd Ortha zobaczyła nadchodzącą śmierć.

– Takie jest moje imię w tym czasie.

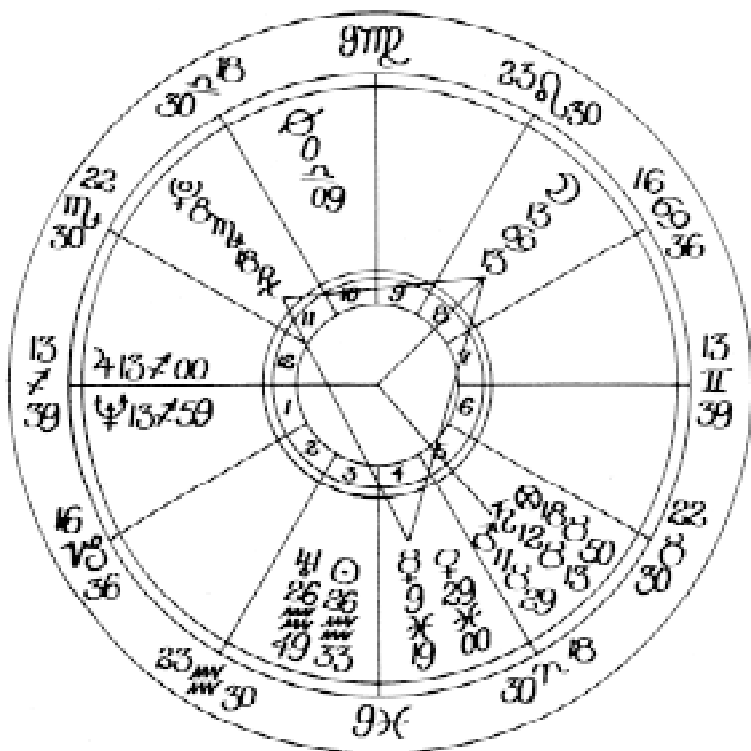
– A on... – Spojrzała na ciało Tora i omal nie krzyknęła. Skurczyło się, zapadło w sobie, pociemniało. Nie uległo zepsuciu ani rozkładowi, po prostu zamieniło się w popiół niczym drzewo spalone doszczętnie w wielkim ogniu.

– To zniszczone ubranie nie będzie już potrzebne – powiedział jej Tor. – Zgodnie z obietnicą dwie części złączyły się w jedność – koło dokonało pełnego obrotu. Znowu stoimy przed szansą i tym razem postaramy się lepiej ją wykorzystać...

– My?

– Krew znalazła nas w odległych częściach świata – odparł. – To Krew nami rządzi. Ludzie Krwi rozpoznają się bez względu na to, jak wiele lat i jak wielka przestrzeń będzie ich dzielić. Tak już jest, a ty o tym wiesz. Otwórz swoje serce i zobacz!

Wyciągnął do niej rękę, a ona ponownie ją ujęła, tym razem z własnej woli, czując, jak rośnie między nimi ciepła, silna więź.



1. dom: Strzelec w ascendencie. Strzelec daje wzrost – osoby spod tego znaku są wysokie i dobrze zbudowane. Koniunkcja Jowisza z ascendentem (jak w 12. domu) jeszcze to uwydatnia – Słońce także jest wysokie. Często rude włosy.

Neptun w 1. domu w Strzelcu sprawia, że osoba ta zajmuje się sprawami mistycznymi, fantazjuje. Często marzy na jawie, czuje się wyalienowana, samotna. Neptun uczynił z niej także sierotę, a ponieważ rządzi 4. domem, domem środowiska rodzinnego, podkreśla brak prawdziwego domu i tożsamości.

Jowisz jest władcą 1. domu oraz ascendentu w koniunkcji, dając jej rozszerzoną świadomość i filozoficzny umysł oraz pragnienie sprawiedliwości – siłę, która każe jej walczyć ze złem – wykonywać zadanie z poprzedniego życia. Jowisz rządzi snami, miewa więc sny, które ukazują jej prawdziwe powołanie i inne żywoty.

12. dom: Skorpion rządzi tym domem podświadomości, ukrytych wrogów, intuicji, ukrytej strony życia, samounicestwienia – drzwi do przeszłych żywotów. Jowisz w 12. domu (koniunkcja z ascendentem w odległości 1°) zapewnia ochronę jako anioł stróż. Jowisz ujawnia tutaj, że właścicielka horoskopu przyniosła do obecnego życia misję z innej egzystencji, którą musi teraz wypełnić. Jowisz otacza ją opieką i chroni przed wrogami. Skorpion, który rządzi tym domem, jest znakiem słonecznym mężczyzny, którego ma spotkać, który ją przyciąga, a któremu nie może zaufać. Jego bystre przenikliwe oczy są znakiem Skorpiona i kluczem do tego, kim jest. On także należy do jej 12. domu – pochodzi z przeszłości, jest ukrytym wrogiem. Ona nie widzi w nim wroga, bo 12. dom ukryty jest przed świadomym poznaniem. Będzie musiała dowiedzieć się sama, że powinna się go strzec. Władca ascendentu, Jowisz, zachodzący w 12. domu sprawia, że skłania się ona do życia w odosobnieniu.

8. dom: Rządzony przez Raka – Rak jest znakiem zdolności parapsychicznych – w 8. domu Księżyc także przebywa w Raku. Podczas gdy Koziorożec rządzi jej 2. domem, domem finansów i oszczędzania – dom 8. to dom spadków i dziedziczenia. Księżyc w tym domu i w aspekcie pozytywnym obdarza ją spuścizną. Księżyc daje jej zdolności parapsychiczne wzmocnione poprzez fakt, że jest on częścią Wielkiego Trygonu. To oznacza, że przetrwa jakiś poważny kryzys w jej życiu i umrze naturalną śmiercią. Jowisz i Księżyc pomogą jej przejść przez to doświadczenie karmiczne.

Wielki Trygon występuje tu w żywiole wody od Księżyca w Raku, poprzez Plutona w Skorpionie, do Merkurego w Rybach. Wielki Trygon to zdolności, talenty i dary przeniesione do tego życia z poprzednich wcieleń.

Pluton daje jej przyjaciela, który ją wspomże – przekáže jej spadek. Pluton jest mocno osadzony w swoim własnym znaku Skorpiona i rządzi transmutacją lub metamorfozą, wszystkimi witalnymi częściami właścicielki horoskopu i tym, co nazywane jest śmiercią, doświadczeniami i misją.

Trzecia część Wielkiego Trygonu to Merkury w Rybach w 4. domu. Merkury to komunikacja i w Rybach, które oznaczają inne wymiary, właścicielka horoskopu może komunikować się i rozwijać swoje zdolności parapsychiczne. Merkury rządzi podróżami, a w Rybach, jako części trygonu, będzie ona podróżować w czasie i przestrzeni.

3. dom: Słońce i Uran w Wodniku. Jako Wodnik w bliskiej koniunkcji ze swoim planetarnym władcą, Uranem, jest wyjątkowo szybka i bystra, często zagląda w przyszłość i przeszłość, podejmując dzięki temu szybkie decyzje. Uran rządzi przeszłością.

3. dom to dom umysłu i podróży – Uran daje jej niespodziewane i niezwykle podróże.

Uran rządzi błyskawicami.

Jedną z najważniejszych konfiguracji na schemacie jest YOD lub Palec Boży. Wygląda jak ogromne Y narysowane pomiędzy trzema planetami, które muszą znaleźć się pod odpowiednimi kątami do siebie, by stworzyć tę konfigurację. To rzadki aspekt, mówiący o tym, że dana osoba przeżyje coś, co zupełnie odmieni jej życie, skieruje je na inne tory. Na tym schemacie Palec Boży wskazuje na 12. dom karmiczny – dom sekretów: drzwi do innych wymiarów, klucza do innych żywotów.

Może być aktywowany przez przechodzące planety, kiedy te dotykają punktów pozycji planetarnych.

Księżyc, jako część YOD, jest na 13° Raka, dokładnie w położeniu gwiazdy Syriusz.